

James Hadley
CHASE

Zapłata za życie

Przekład:
DANIELA RALIŃSKA

1

Spali już chyba z godzinę, kiedy nagle Meg zerwała się ze snu. Uniosła głowę z plecaka, który zastępował jej poduszkę, i zaniepokojona rozejrzała się dokoła po pokoju zalanym księżycowym blaskiem. Gęsta pajęczyna zwisała jak girlanda z sufitu, po którym kroczył gruby pająk.

- Ciarki mnie przechodzą! Tu na pewno straszy - powiedziała do Chucka, kiedy wtargnęli do tego domu.

Ale Chuck, pozbawiony wyobraźni, odburknął z pogardą: - No to co? Spędzimy noc z duchami. Wszystko jest lepsze niż moskity.

W poszukiwaniu noclegu zeszli z autostrady numer 4 i natknęli się na to opuszczone domostwo. Posiadanych pieniędzy nie starczyło im na długo. Chuck próbował znaleźć pracę w Goulds, w skupie cytryn i kartofli, ale go nie przyjęto. Długie włosy, opadające mu na ramiona, broda, a przede wszystkim ohydny zapach, coraz intensywniejszy od chwili opuszczenia Jacksonville, gdzie mył się po raz ostatni - działały odstraszająco.

Opuszczony dom wznosił się w gęstwinie karłowatych palm i kwitnących krzewów. Zbudowany w tradycyjnym stylu kolonialnym dwupiętrowy budynek, ozdobiony sześcioma czworokątnymi filarami, sięgającymi aż po dach, był niegdyś rezydencją, którą pysznili się zapewne jej bogaci właściciele.

Meg z zaciekawieniem oglądała te wspaniałości. Zastanawiała się, do kogo należał ten dom i czemu nikt nie zatroszczył się o to, żeby go sprzedać.

- Co to kogo obchodzi? - odparł Chuck. Kopnął w masywny zamek, który ustąpił natychmiast. Jedno skrzydło drzwi wypadło z zawiasów i runęło na ziemię z głośnym hukiem, wzbijając chmurę kurzu, który zmusił ich do kichania.

Meg cofnęła się. - Nie chcę tu spać... już dostaję dreszczy!

- Och, zamknij się! - Chuck nie miał ochoty słuchać jej gadania. Był głodny, zmęczony i zniechęcony.

Chwycił Meg za ramię i siłą wciągnął ją do wnętrza budynku pogrążonego w ciemnościach.

Postanowili ulokować się na piętrze, na parterze okna były zabite deskami. Przy świetle księżyca, wpadającym przez zabrudzone szyby, mogli swobodnie rozpakować swoje rzeczy. Schody były imponujące, monumentalne. Oczyma wyobraźni Meg widziała damę podobną do Scarlet O'Hara, zstępującą po tych stopniach w całej krasie, a tłum wielbicieli zgromadzonych w hallu wpatrywał się w nią z podziwem. Ale nie zdradziła swych myśli Chuckowi, wiedziała, że naraziłaby się na drwiny. Obchodziła go jedynie chwila obecna.

Teraz zbudziła się nagle i nasłuchiwała uważnie, a serce waliło jej w piersi.

Dom jakby się ożywił. Wiatr wiejący z Biscayne Bay targał rynnami. Strzępy tapet szeleściły cicho. Belki skrzypiały, na parterze trzasnęły jakieś drzwi, ich zardzewiałe zawiasy zgrzytały przeraźliwie.

Meg słuchała przez chwilę, po czym położyła się z powrotem niechętnie, w nadziei, że zaśnie. Rzuciła okiem na Chucka. Leżał na wznak, z otwartymi ustami. Fala tłustych włosów zasłaniała mu twarz. Śmierdział, ale Meg nic sobie z tego nie robiła. Pewnie ona również nie pachniała różami. Skoro tylko dotrą do morza, wszystko się załatwi. Tam urzędzą sobie kąpiel.

Utkwiła wzrok w suficie, wyciągnęła długie kształtne nogi i rękę oparła na swym drobnym biuście, który okrywał kusy brudny sweter.

Przyzwyczała się już do tej egzystencji pozbawionej wszelkiego komfortu. Życie takie miało swoje dobre strony. Dawało swobodę poruszania się i robienia tego, na co miała

ochotę, pozwalało jej postępować według swego upodobania - a dla Meg miało to duże znaczenie.

Myślała o ojcu, nędznie zarabiającym na życie sprzedażą polis ubezpieczeniowych, o ogłupiałej matce. Do siedemnastego roku życia żyła w zgodzie z rodzicami. Ale już mając czternaście lat, przysięgła sobie uroczyście: w dniu, w którym będzie wystarczająco pewna siebie, ucieknie z domu. Mierzył ją przygnębiający styl życia ich rodziny. Choć dopiero kiedy poznała Chucka, dopięła swego.

Był o cztery lata od niej starszy. Któregoś dnia poszła sama do kina, rzadko jej się to zdarzało, miała bowiem mnóstwo przyjaciół. Ale tego wieczoru pragnęła być sama. Oświadczyła rodzicom, że umówiła się z Shirley. Musiała zawsze informować ich, z kim idzie; za każdym razem kłamała, wiedząc, że są zbyt naiwni, by sprawdzać prawdziwość jej słów. Jeśli nawet wychodziła z Shirley, mówiła, że idzie z Edną. Bawiło ją, że robi kawał rodzicom. Co prawda, nie była nawet pewna, czy słuchają tego, co do nich mówi. Kiedy siedzieli bez ruchu przed telewizorem, często zastanawiała się, czy zareagowałiby inaczej niż „baw się dobrze, kochanie, i nie wracaj późno”, gdyby im powiedziała, że ma się spotkać z Frankiem Sinatra.

Film był słaby, wyszła więc w środku seansu. Kiedy znalazła się na ulicy - była upalna noc - nagle zdała sobie sprawę, że jest dopiero dwudziesta pierwsza; żałowała, że nie została w kinie. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak wrócić do domu, choć perspektywa wpatrywania się w mały ekran w rodzinnym gronie budziła w niej niechęć.

- Czy pani nie nudzi się sama?

Chuck wyłonił się z mroku i stanął przed nią. Przyglądała mu się z uznaniem, z chłopcami robiła już wszystko, nie poświęcając jedynie swojego dziewictwa. Lubiła ścisnąć się w samochodzie z ciasno skrzyżowanymi nogami, gotowa na wszystko poza tym jednym. Wieczne napomnienia matki, która ostrzegała Meg przed obcymi mężczyznami, już ją jednak denerwowały i przez przekorę skłonna była przyjąć i to wyzwanie.

Chuck nie był pozbawiony pewnego uroku. Niedużego wzrostu, muskularny, mocno zbudowany. Jego długie włosy i ruda broda pociągały ją, jego brzydota i swoboda podobały się Meg. Był bardzo męski, i to ją podniecało.

Przypominała sobie teraz: poszli na plażę i kąpali się nago. Nagość Chucka była czymś tak naturalnym, że Meg rozebrała się również, nie czując najmniejszego wstydu. Gdy stanęli nad wodą, powiedział: - Chodźmy popływać - i rozebrał się, zanim się zorientowała, co się dzieje. Całkiem nagi zaczął biec i wszedł do wody. Po chwili wahania poszła za jego przykładem i uległa żądaniom chłopaka.

To pierwsze doświadczenie było oszałamiające. Mimo licznych luk w innych dziedzinach, Chuck umiał postępować z kobietami. - Ty mi odpowiadasz - wyznał, kiedy leżeli obok siebie odprężeni i zaspokojeni. - Masz jakąś forszę?

Dopiero później Meg zorientowała się, że jedynie pieniądze i seks interesowały tak naprawdę Chucka. Dysponowała trzystu dolarami oszczędności, na które złożyły się drobne upominki od bogatych krewnych, składała je całymi latami na „czarną godzinę”, jak mówiła matka. Teraz nie była to może czarna godzina, ale po co łamać sobie głowę?

Chuck zwierzył się jej, że zamierza się wybrać na Florydę. Tęsknił za słońcem. Nie, nic nie robi. Kiedy splecze się z forsy, przyjmuje byle jaką pracę, a gdy odłoży wystarczającą sumę, odchodzi. To jest piękne życie! Meg podzielała tę opinię. Trzysta dolarów to fortuna - orzekł. Dlaczego nie miałyby iść razem z nim?

Meg czekała na tę chwilę. Znalazła mężczyznę, mężczyznę pasjonującego, którego poglądy podzielała całkowicie. Był silny, szorstki, beztroski i umiał kochać. Nie wahała się ani przez chwilę.

Zdecydowali, że spotkają się jutro na przystanku autobusowym i wyruszą razem na Florydę.

Nazajutrz rano, kiedy matka wybrała się po zakupy, Meg przygotowała swój sprzęt campingowy. Napisała kilka słów, powiadamiając rodzinę, że odchodzi i nie ma zamiaru wrócić, zabrała też pięćdziesiąt dolarów ojca odłożonych na czarną godzinę - i opuściła dom.

Wbrew przewidywaniom Chucka trzysta dolarów uciulanych przez Meg, wraz z pięćdziesięcioma dolarami jej ojca, szybko się ulotniło. Do licznych wad młodego człowieka należała namiętność do hazardu, której nie potrafił się oprzeć. Meg patrzyła z bijącym sercem, jak radośnie potrząsa kostkami w towarzystwie dwóch chłopaków napotkanych przypadkowo w drodze do Jacksonville. Kiedy postawił ostatnie pięćdziesiąt dolarów, drżącym głosem szepnęła, że czas już skończyć z tym marnotrawstwem. Tamci zmierzli wzrokiem Chucka, a starszy rzucił: - Pozwalasz, żeby cizia prawila ci kazanie?

Mocna dłoń Chucka z krótkimi palcami wylądowała na twarzy Meg, jedno uderzenie wystarczyło, by upadła na ziemię bez tchu. Kiedy się wreszcie ocknęła, partnerzy Chucka zniknęli w ciemnościach nocy z resztą ich pieniędzy.

- I co z tego? - krzyczał, gdy urządziła mu scenę. - Na co są pieniądze? Zamilcz! Zdobędziemy je. O pieniądze zawsze można się postarać!

Zaangażowali się do zbioru pomarańcz. Przez cały tydzień pracowali pomimo upału, a kiedy zarobili trzydzieści dolarów, udali się w dalszą drogę w kierunku Miami.

Trzydzieści dolarów szybko wydali. Przejazdy, żywność... Teraz kieszenie ich były puste i Meg dręczył głód. Nie jedli już od dwunastu godzin. Ostatni ich posiłek stanowił przypalony hamburger. Ale Meg nie żałowała niczego. Wolała takie życie - brud, głód, brak dachu nad głową - niż ponure więzienie pod skrzydłami rodziców.

Co tam - mówiła sobie. Jutro coś się zmieni... Miała zaufanie do Chucka. Układała się do snu, ale nagle znów się zerwała.

Ktoś chodził na parterze!

Słyszała wyraźnie, jak skrzypią skórzane buty, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Przysunęła się ostrożnie do Chucka i dotknęła lekko jego ramienia. - Chuck!

Mruknął coś, odepchnął ją i chciał się obrócić, ale ona nalegała: - Chuck!

- Co jest, do cholery! - Zbudził się i podniósł na legowisku. Jego oddech wywołał grymas na twarzy Meg. - Co się stało?

- Ktoś jest na dole.

Poczuła, jak pod jej dłonią prężą się stalowe muskuły Chucka, i to ją uspokoiło. Ta jego siła fizyczna zawsze robiła na niej wrażenie.

- Słuchaj... - szepnęła.

Chuck wstał, w milczeniu ruszył ku drzwiom i ostrożnie je otworzył. Meg nie spuszczała oczu z potężnych pleców chłopaka. Przykucnął, przez dłuższą chwilę wyteżał słuch, potem zamknął drzwi i wrócił do niej.

- Tak, masz słuszność. Ktoś jest na dole. Może glina. Wpatrzyła się w niego. - Glina?

- Włamaliśmy się tutaj. Jeśli wywęszył nas jakiś policjant... - Zagryzł wargi. - Mogą nas wsadzić za włóczęgostwo.

- My nie robimy nic złego... Jakie włóczęgostwo?!

Ale Chuck nie słuchał. Wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i wsunął go Meg do ręki. - Włóż to do swoich spodni. Jeśli to glina, lepiej, żeby tego nie znalazł przy mnie.

- Cóż to takiego?

- Nóż, idiotko!

Podszedł znowu do drzwi i otworzył je cicho, potem wyszedł i znieruchomiał u szczytu schodów.

Meg wpatrywała się w nóż oprawiony w róg. Palcem przycisnęła nieopatrznie chromowany guzik i zadrżała, widząc wyskakujące lśniące ostrze. Nie potrafiła go zamknąć z powrotem, wstała więc, przeszła przez pokój i ukryła broń pod kawałkiem tapety zwisającej w strzępach okrytych pleśnią.

Wtedy zbliżyła się do Chucka, który gestem nakazał jej milczenie. - Zejdę na dół - szepnął.

Chwyciła się kurczowo jego ramienia. - Nie!

Nie musiała nalegać, żeby go powstrzymać. Przeszło jej przez myśl, że Chuck boi się tak samo jak ona, i to ją rozczarowało. Stali tak dłuższą chwilę, natężając słuch. Wreszcie usłyszeli kroki w pokoju na lewo od hallu i nagle ukazała się ciemna sylwetka. W ciemnościach dostrzegli żarzący się papieros i Chuck się odprężył. W każdym razie niepożądany gość nie był gliną: policjanci nie palą w takiej sytuacji.

- Kto tam? - zawołał Chuck, a Meg zdawało się, że trochę za szorstko to zabrzmiało.

Wszystko zastygło. Ciemna sylwetka znieruchomiła. A potem nagle strumień światła uderzył w nich tak, że musieli się cofnąć. To światło ponadto ich oślepiło.

- Podaj mi nóż - rozkazał Chuck półgłosem.

Meg, potykając się, przebiegła przez pokój, wsunęła rękę pod kawałek papieru i wyciągnęła broń.

W chwili kiedy zbliżała się do Chucka, usłyszała głos dobiegający z dołu: - Zobaczyłem otwarte drzwi. I wszedłem.

Palce Chucka, wilgotne i gorące, zacisnęły się na nożu.

- No, to wynoś się już stąd! - rzekł ochryplym głosem. - My byliśmy tu pierwsi! Znikaj!

- Ale chyba jest tu dość miejsca dla nas wszystkich? Mam żarcie i nie lubię sam się opychać.

Meg zaburczało w brzuchu na myśl, że nieznajomy ma coś do jedzenia. Ścisnęła ramię Chucka, który zrozumiał tę milczącą prośbę. On także umierał z głodu.

- Myślałem, że to glina - rzekł. - To chodź na górę. Tamten zniknął w pokoju przylegającym do hallu i wrócił z plecakiem na ramionach. Szedł po schodach, oświetlając je latarką.

Wciąż trzymając nóż w ręku, Chuck czekał na niego, odepchnąwszy Meg w głąb pokoju. Zatrzymała się na progu z bijącym sercem, kiedy nieznajomy wszedł na podest.

Chuck zmierzył go wzrokiem. Widział jedynie wysoką sylwetkę. Mężczyzna przewyższał go o głowę, ale był chudy i dość wąły. Nie wyglądał na siłacza zdaniem Chucka i to go uspokoiło nieco.

- Chciałbym ci się lepiej przyjrzeć - rzucił rozkazująco. - Daj mi swoją latarkę.

Tamten usłuchał i Chuck zaświecił mu prosto w twarz.

Meg zeszywniała. Był to Indianin. W drodze z Jacksonville spotykali wielu takich jak on. Poznała te gęste, gładkie włosy, czarne jak skrzydło kruka. Nie miał więcej jak dwadzieścia kilka lat, był przystojny, ale kamienny wyraz jego twarzy i surowość przejęły ją niepokojem. Zauważyła żółtą koszulę w białe kwiaty, niebieskie dżinsy i sandały.

Czekał spokojnie, aż para skończy mu się przyglądać. W blasku latarki oczy jego błyszcząły jak płonący węgiel.

- Jak się nazywasz? - spytał Chuck,niżając latarkę.

- Poke Toholo. A ty?

- Jestem Chuck Rogers. A to... moja żona Meg.

- To może byśmy coś zjedli?

Chuck ruszył pierwszy w kierunku pokoju, oświetlając przejście. Ale Meg wyminęła go. Usiadła szybko przy własnym plecaku i czekała z żołądkiem skurczonym z głodu.

Poke położył swój plecak na podłodze, ukląkł, żeby go otworzyć, wyjął dwie świece, zapalił je i przykleił do podłogi. Potem wyciągnął piezowego kurczaka i celofanową torebkę z plasterkami szynki.

- Coś takiego! Skąd to wszystko masz? - wykrzyknął Chuck i oczy mu się zaokrągliły. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy jadł kurczaka ostatni raz.

Poke spojrzał na niego. - Czy to ważne?

Zręcznie pokroił kurczaka na równe części nożem o rękojeści z rogu i wszyscy troje zaczęli jeść w milczeniu, chciwie, z rozkoszą. Meg zauważyła, że Indianin od czasu do czasu spogląda na Chucka z ukosa, a na nią wcale.

Kiedy skończyli posiłek, Chuck przechylił się w tył i oparł się na łokciach. - No! Ale to było dobre! Dokąd wędrujesz?

Poke wyjął pudełko papierosów. - Do Paradise City. A ty?

- Do Miami, prawdopodobnie. Zapalili papierosy od płomienia świecy.

- Masz tam na widoku jakąś robotę? - spytał Poke. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, z dłońmi na kolanach.

- Znajdę tam coś.

- Tak myślisz? Gliny nie kochają włóczęgów. Chuck zeszywniał. - Uważasz mnie za włóczęgę?

- A kim niby jesteś? Cuchniesz na kilometr.

Meg zadrżała, pewna, że Chuck rzuci się na Indianina ze swym nożem. Zdziwiła się, widząc, że nie ruszył się z miejsca.

- Wolę być włóczęgą niż kolorowym. Ty wyobrażasz sobie, że dostaniesz pracę?

- Mnie praca nie jest potrzebna.

Ta odpowiedź obudziła czujność Chucka. - W takim razie masz dość pieniędzy. Poke kiwnął głową.

- Ile? Dziesięć dolarów? Założę się, że nie masz nawet tyle!

- Jutro kupuję wóz.

Chuck lekko gwizdnął. - Wóz? Jakiej marki? Tamten wzruszył ramionami. - Coś taniego. Okazyjnego. Koniecznie potrzebny mi jest samochód.

- No! - Chuck spoglądał długo na Indianina. - Słuchaj! A dlaczego nie mielibyśmy dalej jechać wszyscy razem, w trójkę? Myślę, że możemy ci towarzyszyć aż do Paradise City... Co o tym myślisz?

Meg była zachwycona tupetem Chucka. Miał oczywiście słuszość. Jeśli niczego nie żądasz, nic nie dostaniesz.

- Po co niby mamy trzymać się razem? - odparł Poke po chwili milczenia.

- A co masz do stracenia? Podróżować samemu nie jest wcale wesoło. Dotrzemy ci towarzystwa.

Poke wstał, przeniósł plecak w głąb pokoju, daleko od nich dwojga, i usiadł.

- Głuchy jesteś? - nalegał Chuck. - Co masz do stracenia?

- Zastanowię się. Teraz chce mi się spać. Zgaście świece... one nie są za darmo.

Powiedziawszy to, Indianin wyciągnął się na podłodze. Chuck i Meg wymienili spojrzenia, kiedy tamten odwrócił się plecami, a głowę oparł na plecaku.

Meg zdmuchnęła świece. Ciemności zamknęły się nad nimi. Upłynęła dłuższa chwila, nim wzrok ich przyzwyczaił się do światła księżycy. Poke zdawał się być pogrążony we śnie. Oddech jego był spokojny i regularny.

Oboje, Chuck i Meg, poszli w jego ślady.

Meg po obfitym posiłku ogarnęło znużenie. Zaczęła zasypiać. W przeciwieństwie do Chucka, którego mózg dalej pracował intensywnie. Czy Indianin blefuje? - zastanawiał się. Czy naprawdę chce kupić samochód? Jeśli tak, to musi mieć pieniądze przy sobie albo w plecaku. Chuck oblał się potem... Co najmniej dwieście dolarów! Kolorowy z dwustu dolarami, cholera!

Jego palce, krótkie i grube, zacisnęły się na uchwycie noża. To nie będzie trudne. Trzeba tylko przeczołgać się na drugi koniec pokoju. Jedno uderzenie i po sprawie. Chuck nie był nowicjuszem.

Tylko pierwsze morderstwo jest trudne. On miał już dwa na swoim koncie. A jedno więcej...

Nagle przypomniał sobie o Meg i skrzywił się. Nie powinien był brać jej sobie na kark. Ona nie pozwoli mu wykończyć Indianina. Palce mocniej zacisnęły się na nożu... Ale dwieście dolarów! Jeśli ona się nie zgodzi, tym gorzej! Spotkają ten sam los. Będą go dzieliły kilometry od tego miejsca, zanim odkryją zwłoki, o ile kiedykolwiek je odkryją.

Wytał dłonią wilgotne czoło. Jasne, tak zrobi! Ale jeszcze nie teraz. Sen Indianina nie był chyba jeszcze głęboki. Gdy już będzie spał jak kamień, nadejdzie właściwy moment.

- Chuck?

Na dźwięk głosu Poke'a Chuck drgnął.

- Mam lekki sen i jestem uzbrojony. A po chwili ciszy Indianin dodał:

- Porozmawiamy jutro!

Ma broń! Palce Chucka rozluźniły się na nożu. Można by pomyśleć, że to bydlę czyta w jego myślach!

- Och, daruj sobie - odburknął. - Ja chcę już spać.

- No, to pogadamy jutro.

I skończyło się na tym, że Chucka zmorzył w końcu sen.

Na śniadanie Poke wyjął resztki szynki, czerstwy chleb i butelkę coca-coli. Jedli w milczeniu i Meg stwierdziła, że podobnie jak poprzedniego dnia Toholo ciągle obserwował Chucka. Jego oczy błyszczały, jakby rozgryzał jakiś problem.

Po skończonym posiłku Chuck spytał zniechęcony: - Jak kupisz już ten wóz, zabierzesz nas ze sobą?

Poke pogrzebał w plecaku i wyjął elektryczną maszynkę do golenia i kieszonkowe lusterko. Oparł je o ramę okienną i zabrał się do golenia.

Chuck zacisnął pięści i zrobił się purpurowy. - Słyszałeś, co powiedziałem? - warknął.

Poke spojrzał na niego i golił się dalej. Kiedy skończył, odparł: - Ciągle jeszcze się zastanawiam. - Oczyszczył maszynkę, złożył ją, potem wyjął kawałek mydła i ręcznik. - Kanał jest po przeciwnej stronie szosy. Idziesz ze mną?

Serce Chucka znieruchomiało na chwilę. Co za okazja! Meg nie będzie przy tym. Zabije Indianina, a potem jej powie, że Poke utonął. Może nie będzie w to wierzyła, ale w każdym razie wszystko odbędzie się z dala od niej.

- Jasne.

Ruszył schodami za Poke'em. Kiedy byli już na dole, zawołał nagle: - Cholera! Nie wziąłem ręcznika!

Poke popatrzył na niego, twarz Indianina była nieruchoma, jak wykuta z drewna. - Szkoda fatygi. Pieniądze mam przy sobie.

Indianin minął hall i wyszedł na słońce.

Czerwony z wściekłości Chuck wrócił do pokoju. Wyciągnął brudny ręcznik z plecaka.

- Myślisz, że będzie chciał nas z sobą zabrać? - spytała Meg.

- Do cholery, a skąd ja mogę to wiedzieć? - odparł szorstko Chuck i wyszedł.

Dogonił Poke'a i kroczył za nim.

Zabiorę się do niego, jak już będzie nagi - myślał. Jedno uderzenie kolanem w podbrzusze, a potem dokończę go nożem.

Zbliżyli się do kanału. Woda połyskiwała w słońcu. Na drugim brzegu widać było autostradę nr 27 wiodącą do Miami. O tej wczesnej godzinie nie było jeszcze żadnego ruchu.

Chuck zdjął koszulę czarną od brudu i zrobił kilka przysiadów. Poke oddalił się nonszalanckim krokiem, rozebrał się i podszedł do stromego brzegu. Pas z plastyku z wypchanym portfelem nosił na ciele.

Chuck zmrużył oczy. Nagle ogarnął go strach, gdy zaczął przyglądać się Indianinowi. W życiu nie widział tak atletycznej budowy. Można by powiedzieć: ciało z giętkiej stali. Chuck zwątpił w swoją siłę. Jednak nie będzie tak łatwo pokonać tego chłopaka... Wsunął rękę do kieszeni i ścisnął nóż.

Poke zanurzył się w wodzie i mocnymi ruchami popłynął zabką do przeciwległego brzegu.

Chuck odwrócił się plecami i wyjął z kieszeni grubą kauczukową bransoletkę, umieścił ją na przegubie i wsunął za nią nóż. Później zrzucił spodnie i buty i skoczył do kanału. Nie był dobrym pływakiem, nie czuł się w wodzie swobodnie.

Poke pływał na plecach, Chuck skierował się niezręcznie w jego stronę. Jedno silne uderzenie z dołu i nie będzie już o czym mówić. Ale trzeba będzie odpiąć pas, zanim ciało utonie.

Podpłynął trochę bliżej Indianina. Zamachał ręką.

- Świetna woda, co? - wykrztusił. Poke potwierdził skinieniem głowy.

Chuck pracował mocno nogami, żeby się do niego zbliżyć. Nagle Poke zniknął mu z oczu: w miejscu gdzie był jeszcze przed chwilą, widniały tylko kołyszące się fale.

Klnąc w duszy, Chuck obserwował uważnie powierzchnię kanału. Nagle poczuł, jakby stalowa obręcz zacisnęła się na kostkach jego nóg, a jakaś siła ciągnęła go w dół. Usta i nos zalała mu woda. Próbował się uwolnić, wykonując w wodzie nieskoordynowane ruchy. Po chwili poczuł, że stalowe palce uwolniły mu stopy. Kaszląc, bez tchu, wypłynął na

powierzchnię. Gdy otarł oczy, ujrzał Poke'a, który oddalał się szybko od niego. Nóż przymocowany do przegubu zniknął!

Chuck ruszył w stronę brzegu. Rozczarowanie i wściekłość odebrały mu rozsądek. Poke stał już na brzegu, w chwili kiedy Chuck na czworakach wdrapywał się na stok.

Z rykiem wściekłości rzucił się jak oszalały byk, z pochyloną głową, z rękami wygiętymi jak szpony. Ale Toholo odskoczył na bok i do tego jeszcze podstawił mu nogę.

Chuck runął ciężko na ziemię.

Wtedy Indianin przytrzymał go i kolanem przycisnął mu pierś. Chuck ujrzał w jego ręku swój nóż. Błyszczące ostrze dotknęło jego gardła.

Chuck skurczył się. Wbił wzrok w lśniące źrenice Indianina, przerażony, sądząc, że nadchodzi jego ostatnia godzina. Poke obserwował go, koniec ostrza oparł o szyję Chucka.

- Chciałeś mnie zabić? - spytał spokojnym głosem. - Tylko nie kłam. Chciałeś mnie zabić, co?

- Chciałem tylko zdobyć forszę - wyszeptał Chuck, ledwie dysząc.

- Tak bardzo chciałeś tych pieniędzy, że gotów byłeś mnie zabić?

Obydwaj patrzyli sobie prosto w twarz. Wreszcie Poke wstał i cofnął się. Chuck z trudem stanął na nogach. Trząśnięcie, pot spływał mu po policzkach.

- Chcesz moją forszę? Będzie należała do ciebie, jeśli potrafisz mi ją zabrać. - Poklepał swój pas plastikowy. - Dwieście dwadzieścia dolarów. - Spojrzał na nóż i trzymając za ostrze, wyciągnął go do Chucka. - Trzymaj...

Chuck, zdumiony, chwycił szybko broń. Tamten nie spuszczał go z oczu.

- Moja forsa będzie należała do ciebie, jeśli potrafisz mi ją zabrać - powtórzył.

Błyszczące oczy Indianina i ten jego spokój przeraziły Chucka. Nerwy go zawiodły. Palce chłopaka rozluźniły się i nóż spadł w trawę.

- No, nie jesteś taki głupi, jak myślałem. Teraz idź się umyć. Śmierdzisz okrutnie - wycedził Poke.

Chuck chwycił mydełko, które podał mu Poke, i wrócił do kanału. Umył się i osuszył. Tymczasem Poke ubrał się, usiadł na stoku i zapalił papierosa. Kiedy Chuck włożył z powrotem swe brudne łachy, Poke dał mu znak, żeby się zbliżył, a Chuck jak zahipnotyzowany usiadł koło niego.

- Szukałem kogoś takiego jak ty - zaczął Indianin. - Kogoś, kto nie ma zbyt wiele skrupułów. Zabiłbyś mnie dla dwustu dwudziestu dolarów... A ilu ludzi byś wykończył dla dwóch tysięcy?

Chuck przesunął językiem po wargach. Naprawdę ten Indianin jest całkiem pomyłony. Przypomniał sobie moment, kiedy Poke przytknął mu nóż do gardła, i zadrżał.

- Żyjesz jak świnia, która tarza się w gnoju - ciągnął Poke. - Jesteś brudny i głodny. Popatrz na mnie! Kiedy czegoś chcę, kradnę. Jeśli się gołę, to dlatego, że zwędziłem aparat. Kurczaka i szynkę buchnąłem w sklepie samoobsługowym. Tę forszę także ukradłem - poklepał się po pasie. - Dwieście dwadzieścia dolarów. Chcesz wiedzieć, jak to zrobiłem? Nic skomplikowanego. Jakiś frajer wziął mnie autostopem. Zagroziłem mu rewolwerem. Kiedy ludzie mają stracha, oddają forszę. Wystarczyło, że mu pokazałem pukawkę. To sprawa najprostsza w świecie. Strach jest kluczem, który otwiera portfele i torebki bogaczy. - Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Chucka. - Wiem, jak wzbudzić w ludziach strach.

Chuck był oszołomiony. Wiedział tylko jedno: trzeba uciekać od tego Indianina. To wariat, co do tego nie miał wątpliwości.

Poke wyjął paczkę papierosów z kieszonki koszuli i wyciągnął ją do Chucka. Ten po chwili wahania wziął papierosa i zapalił.

- Powiedz mi coś o sobie. Tylko bez kłamstw! Bo chyba mógłbyś mi się przydać.

- Mógłbym ci się przydać? Co ty wygadujesz?

- A chciałbyś zarobić dwa tysiące dolarów? Chuck czuł, że to nie był bluff. Dwa tysiące dolarów!

- A co mam robić?

- Powiedz mi najpierw coś o sobie.

Czując, że nie ma nic do stracenia, Chuck spełnił jego życzenie. Wyznał, że jest półanalfabeta, umie czytać, ale ma trudności z pisaniem. Matka była prostytutką. Ojca nie znał. Jako ośmiolatek był szefem bandy chłopaków wyspecjalizowanych w okradaniu wystaw. Później został sutenerem własnej matki. Na okrągło ścigany przez policję, mając osiemnaście lat, zabił glinę. Ów policjant był postrachem całej dzielnicy. Chuck zwabił go w pułapkę i żelaznym drągiem zatłukł na śmierć. Kiedy skończył dwadzieścia lat, wpadł w konflikt z innym chłopakiem, który chciał zająć jego miejsce na czele gangu. Pojedynkowali się na noże, Chuck zwyciężył. Trup przeciwnika wylądował na dnie betoniarki. Jego ciało i kości stały się częścią fundamentów nowych nędznych bloków. Matka Chucka zginęła gwałtowną śmiercią, któregoś dnia znalazł ją z poderżniętym gardłem. Odziedziczył po niej sto dolarów i ruszył w drogę. Już prawie rok włóczy się po świecie. Od czasu do czasu przerywa wędrówkę, żeby zarobić parę groszy...

Rzucił niedopałek do kanału. - To wszystko... O co chodzi z tymi dwoma tysiącami dolarów, o których mówiłeś?

- Więc zabiłeś dwóch ludzi? - Poke wpatrywał się w niego z natężeniem. - Jeśli zostaniesz ze mną, będziesz musiał zabijać.

- Nie mam ochoty na mokrą robotę - odparł Chuck po dłuższej chwili. - Opowiedz mi coś o tej forsie.

- To będzie twój udział.

Chuck odetchnął głęboko. - A jak wygląda ten twój plan?

- To taka sztuczka, którą obmyślam już całe miesiące. Można zgarnąć pieniądze, ale sam nie jestem w stanie tego zrobić... Powiedz mi coś o tej twojej dziewczynie. Może ona też będzie mi potrzebna.

- Meg? - Chuck wzruszył ramionami. - Uciekła z domu. Do łóżka się nadaje. Tyle o niej wiem.

- Może ona też mi się przyda...

Umysł Chucka pracował teraz intensywnie. Wreszcie podniósł głowę jakby z niechęcią. - Jak trzeba będzie zabijać, ona na to nie pójdzie.

- Ale potrzebna mi dziewczyna. To część mojego planu. Jak myślisz, potrafisz ją przekonać?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, o czym gadasz. Jak niby wygląda ta twoja sztuczka?

Poke przyglądał mu się uważnie, jego czarne, błyszczące oczy budziły niepokój. - Chcesz koniecznie wiedzieć?

- Jak to? Oczywiście, że chcę!

- Mówiłeś przed chwilą, że nie masz ochoty na mokrą robotę.

- Za dwa tysiące dolarów to co innego. W czym rzecz?

Poke nie spuszczał go z oczu. - Jak powiem ci wszystko, a ty później zmienisz zdanie i zrezygnujesz, nie wyjdiesz z tego żywy. Od dłuższego czasu obmyślam tę sprawę. Ja zdradzę ci mój plan, nie będzie on już moją tajemnicą, rozumiesz? Albo pójdiesz ze mną, albo zginiesz.

Rewolwer z krótką lufą błysnął nagle w ręce Indianina. Prawdziwa kuglarska sztuczka. Chuck cofnął się odruchowo. Broń palna robiła na nim wrażenie.

- Zdecyduj się. - Poke patrzył na rewolwer. - Jeśli masz ochotę wycofać się, idź sobie, znajdę kogoś innego. Ale jak chcesz się przyłączyć, nie możesz już potem zmienić zdania.

- A co z tego będę miał? - pytał Chuck, by zyskać na czasie.

- Powiedziałem już: dwa tysiące dolarów!

- A te zabójstwa... czy to nie będzie niebezpieczne?

- Będą trzy. Nie ma strachu, przewidziałem wszystko. Nie ryzykuję, chociaż mój udział będzie większy niż wasz.

- To idę z tobą. Gadaj!

Poke wsunął rewolwer do tylnej kieszeni. - A dziewczyna?

- Biorę to na siebie. Przekonam ją.

- Strach jest kluczem, który otwiera portfele i torebki - powtórzył Poke. - Ja wiem, jak się do tego zabrać, żeby wzbudzić w ludziach strach.

Na widok ogorzałej, pozbawionej wyrazu twarzy Indianina, jego czarnych, błyszczących oczu, Chuck zapragnął nagle, żeby zamilkł, żeby nie mówił już nic więcej. Ale potem pomyślał o pieniądzach. Strużka potu spłynęła mu z czoła, wzdłuż nosa, na brodę.

Poke mówił, on słuchał. Ta sztuczka była dziecinnie prosta.

- Potrzebna nam będzie dobra strzelba - zakończył Poke. - Znam taki sklep z bronią w Paradise City. To akurat całkiem łatwe. Kiedy zdobędziemy strzelbę, przejdziemy do rzeczy poważniejszych.

- Ty znasz tamte okolice?

Dziwny uśmiech zabarwiony goryczą pojawił się na ustach Poke'a. - Tak, mieszkałem tam. Znam te strony.

Odpowiedź ta wzbudziła ciekawość Chucka. Opowiedział historię swego życia Indianinowi, uważał za słuszne, by teraz on z kolei coś zdradził. - Pracowałeś tam?

Poke wstał. - Tak, a teraz już idę kupić wóz. - Spojrzał na Chucka. - Pójdiesz ze mną?

Chuck podniósł głowę. - Idę.

- Ty załatw lepiej sprawę z twoją panienką. Jak nie będziesz pewien, zostawimy ją. Znajdziemy inną.

- Zgoda. - Chuck patrzył, jak Toholo oddala się w kierunku autostrady. Potem wziął ręcznik i podenerwowany ruszył w stronę domu.

*

Meg wykąpała się w kanale, a teraz suszyła włosy. Chuck usiadł obok niej na stromym brzegu.

Pół godziny temu, po długim czekaniu, zapytała go w końcu z niepokojem, czy Poke zabierze ich do swego wozu.

- Idź się umyć - odparł. - Porozmawiamy później.

Teraz znowu postawiła to pytanie: - Pojedziemy razem z nim?

- Ja tak - odparł, nie patrząc na nią.

Meg wypadł ręcznik z ręki. Strach chwycił ją nagle za gardło, jak obręcz z lodu. - A ja?

Chuck wydarł garść trawy i wyrzucił ją w powietrze. - Może lepiej będzie, jak się rozstaniemy.

- Co? - Zerwała się z miejsca. - Porzucasz mnie?

Chuck uśmiechnął się skrycie na widok paniki w jej oczach. Położył się na wznak, skrzyżował ręce pod głową i pogрузzył się w kontemplacji obłoków.

- Słuchaj, mała. Mam dość takiego życia. Chcę mieć pieniądze. - Wyjął z kieszeni koszuli paczkę zgniecionych papierosów. - Zapalisz?

- Chuck, nie masz chyba zamiaru puścić mnie kantem, powiedz?

Zapalił papierosa, nie spiesząc się. - Posłuchaj mnie. Żeby zdobyć grubszą forszę, trzeba ryzykować - rzekł wreszcie, kiedy padła na kolana przy nim, wyraźnie przestraszona. - Nie chcę cię w to wciągać. Może będzie lepiej, jak się rozstaniemy.

Przymknęła oczy. - Nie chcesz mnie już, co? Masz mnie dość?

- Nigdy tego nie powiedziałem. - Chuck zaciągnął się dymem, wypuścił go przez nos. - Słuchasz mnie? Właśnie, że cię lubię. I dlatego nie mogę wciągać ciebie w to ryzyko. Nie chcę cię stracić, a do tych spraw, jak dobrze wiem, wcale się nie nadajesz. A więc lepiej będzie, jeśli się rozstaniemy.

- Lepiej? Co ty chcesz... robić? - spytała drżącym głosem.

- Poke ma cwany plan. I potrzebuje mnie do tego. Potrzebuje też dziewczyny. - Chuck był z siebie zadowolony, zachowywał się jak szef. - Ale możliwe, że potknie nam się noga. Ryzykujesz, że wsadzą cię do mamra na dwadzieścia lat.

Serce Meg zlodowaciało. Chuck i Indianin zamierzają popełnić przestępstwo! W ciągu dwóch miesięcy, które przeżyli razem, Chuck nie zrobił nic takiego, ale mówił dużo na ten temat. Wiedziała, że przy lekkiej zachęcie z jej strony, przeszedłby do czynów, ale błagała go zawsze, żeby tego nie robił, nawet jak byli głodni. Zdała sobie sprawę, że Chuck pozostawał pod wpływem tego Indianina; on nim kierował.

- Chuck! - chwyciła go za rękę. - Odejźmy stąd! Uciekajmy, zanim on wróci. To wariat, jestem pewna. Znajdziemy gdzieś pracę, obydwójce. Jakoś dotąd dawaliśmy sobie świetnie radę. Będę na ciebie pracowała, ja...

- Och, zamknij się! - przerwał jej Chuck ostro. - Zostałem jego kumplem. Znajdź sobie robotę, jak tak bardzo chcesz. Skoro masz ochotę zrywać te cholerne pomarańcze w takim skwarze, proszę bardzo, skarbie, nie zatrzymuję cię!

Na nic nie zdały się słowa perswazji. Z głębi serca Meg wydarł się szloch pełen rozpacz. Pomyślała o rodzicach: posiłki o stałych porach, codzienny kołowrotek, wstawać rano, iść do biura ojca, stukać na maszynie, kłaść się spać, wstawać, iść do biura...

- Ty też ryzykujesz dwadzieścia lat więzienia, prawda? Chuck zgniótł papierosa. - Och! Oczywiście, jeśli się nie uda.

Ale gwizdź na to. Chcesz szybko zdobyć forsz... wystarczy się tylko schylić! Poke powiedział, że da ci pięćset dolarów za tę robotę dla niego. Uważa, że się nadajesz, ale ja jestem innego zdania... To nie jest w twoim stylu, powiedziałem mu to. - Podrapał się w brodę. - Jesteś na to za mało odważna.

Prawdę mówiąc, pieniądze nie miały dla Meg znaczenia. Jedna rzecz tylko się liczyła: żeby Chuck jej nie rzucił. Po dwóch miesiącach tego ich życia, nie wyobrażała sobie świata bez niego.

- Co miałabym robić?

Odwrocił głowę, by nie zauważyła jego uśmiechu tryumfu. - To, co ci każe Poke. Zrozum, kotku, im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej dla nas obojga. Możesz jechać z nami pod jednym warunkiem: robisz, co ci Poke każe, nie stawiając pytań i nie dyskutując. Dostaniesz pięć setek, a potem ruszamy do Los Angeles.

- Ale to niesprawiedliwe, Chuck! Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Nie wiem, do czego się zobowiązuję. - Pięścią uderzyła w kolano. - Mówisz, że ryzykuję dwadzieścia lat, i nie chcesz mi wytłumaczyć, o co chodzi... Nie, to nie jest w porządku!

- Zgoda, ale tak właśnie jest. Trzeba się zdecydować albo się pożegnać. Zastanów się, kotku, za pół godziny możemy cię zabrać z Poke'em. Musisz sama zdecydować, czy pojedziesz z nami, czy nie.

Był pewien, że przyparł ją do muru. Wstał i odszedł.

- Chuck...

- Co takiego?

- Ty masz do niego zaufanie?

- Nie mam zaufania do nikogo, nawet do ciebie. Z zasady. Ale wiem, że jego kombinacja się opłaca, że obaj szybko zdobędziemy kupę forsy. I to jest tylko ważne. Masz pół godziny... - Zajrzał jej głęboko w oczy. - I zapamiętaj sobie jedno, mała: jak raz w to wejdiesz, musisz już zostać do końca. Nie ma innego wyjścia. Zrozumiałaś?

Powiedział to i oddalił się.

Meg długo jeszcze siedziała, wpatrzona w lśniąca wodę kanału. Poke przerażał ją. Wiedziała, że jest zły i jakiś wariacki. Wiedziała też, że jeśli odmówi, straci Chucka...

Skończyła wreszcie te rozważania - jeśli sprawy przybiorą fatalny obrót, może zawsze pożegnać się z życiem. Właściwie poza tym życiem nie miała nic. Jedyne ono należało do niej naprawdę. Kilka pastylek albo jeden ruch brzytwą, by przeciąć żyły u rąk, i po sprawie. Wszystko jest lepsze, niż być porzuconą przez Chucka. Bez grosza. Zdaną tylko na siebie.

Wstała i wróciła do Chucka, który spakował swój plecak i siedział na górze na schodach, z papierosem w ustach. Patrzył na nią, mrużąc oczy.

- Zapakuj moje rzeczy - oświadczyła Meg. - Pojadę z wami.

- A będziesz posłuszna? I bez żadnych pytań? Pokiwała głową.

Chuck spojrział na nią z uśmiechem, nagle pełnym czułości. - Brawo! Chcesz, żebym ci coś powiedział?

- Co?

- Byłoby mi cholernie przykro, gdybym miał cię stracić.

Meg czuła, jak jej oczy napęnlają się łzami. Nigdy jeszcze nie powiedział jej czegoś tak miłego.

Chuck, widząc, jak rozjaśnia się jej szczupła, blada twarzyczka, zrozumiał, że powiedział to, co trzeba było powiedzieć. Wstał. Meg rzuciła mu się w ramiona. Położył ręce na jej pośladkach i przycisnął ją mocno do siebie.

- Och! Chuck... Czy to się uda? - Meg drżała w jego objęciach. - Boję się. Ten Indianin to wariat, przecież wiesz.

- Pozwól, skarbie, że ja się tym zajmę. Idź na górę spakować plecak.

Dwadzieścia minut później Poke Toholo zatrzymał się przed nimi; siedział za kierownicą starego buicka, sfatygowanego, ale za to z błyszczącymi okuciami. Samochód nierzucający się w oczy: granatowy, czerwona skóra na siedzeniach wytarta. Nikt go nie zauważy wśród tysiąca wozów pędzących autostradą numer 4.

Na widok Chucka i Meg, siedzących na górze obok plecaków, Poke zrozumiał, że dobrze rozegrał partię. Wysiadł z wozu i zbliżył się do nich.

- I co, zgoda? - zwrócił się do Meg i spojrział jej w oczy. Skinęła głową. Czarne i błyszczące źrenice Indianina tak ją przeraziły, że najchętniej schowałaby się pod ziemię. Poke odwrócił się do Chucka.

- Pierwszy etap: Fulford. Tam pozbędziesz się tej twojej brody i obetniesz włosy. W Paradise City musimy sprawiać wrażenie trojga spokojnych znajomych na wakacjach. Dasz także do wyprania twoje ciuchy.

Chuck, który dumny był ze swoich włosów i brody, skrzywił się.

- Zgoda - powiedział, wzruszając ramionami. - Jak sobie zyczysz.

Zabrał obydwu plecaki i podszedł do wozu.

Meg przez dłuższą chwilę siedziała na miejscu, czując żar słońca na policzkach. Wreszcie, kiedy Poke uruchomił wóz, wzruszyła ramionami i zrezygnowana przyłączyła się do nich.

2

Inspektor Tom Lepski wszedł do biura komisariatu w Paradise City dumny jak paw. Jego awans - tyrał w pocie czoła przez osiemnaście miesięcy, żeby go zdobyć - nosił wczorajszą datę. Wiadomość przyszła w samą porę. Dla uczczenia tego dnia Carroll, jego żona, dostała kwiaty i zaprosił ją do drogiej restauracji. Lekko wstawiony, zakończył wieczór w sposób najwspanialszy: Carroll oddała mu się najczulej od czasu ich miodowych miesięcy.

Wysoki, szczupły, o stalowobłękitnych oczach, Lepski był policjantem bystrym i ambitnym, którego dotychczasowe osiągnięcia tylko częściowo usprawiedliwiały znakomitą opinię, jaką miał o sobie.

Sierżant Joe Beigler, szef ich ekipy, miał nocną służbę. Na widok Łepskiego oparł się o fotel i rzucił z sarkazmem: - No, to teraz Paradise City może spać spokojnie. Zajmuj miejsce, Tom. A ja idę coś przekąsić.

Lepski, niezduły na szyderstwa, poprawił mankiety i podszedł do biurka Beiglera. - Spokojna głowa, sierżancie. Już się zabieram do roboty. A jak tam Fred?

Sierżant Fred Hess, z ich wydziału, leżał w szpitalu ze złamaną nogą. Gdyby nie był filarem komisariatu, cały urząd zrywałby boki ze śmiechu. Fred Hess miał sześćioletniego synka, znanego w całej okolicy jako Potwór z Mulberry Avenue, gdzie mieszkał. Młody Hess podrzucił na drzewo małego kotka, własność zgryźliwej starej panny. Ojciec wdrapał się na drzewo, żeby ściągnąć zwierzątko. Wolał nie ryzykować spotkania oko w oko i wymówek jego właścicielki. Gałąź złamała się pod jego ciężarem i Hess wylądował na ziemi ze złamaną nogą. Oczywiście kotek zszedł sobie swobodnie bez niczyjej pomocy, a chłopak stanął nad jęczącym ojcem i spytał z najbardziej złośliwą miną: i po co było tyle zachodu? Hess, wyprowadzony z równowagi, natarłby swej pociesze uszu, gdyby smarkacz szybko nie umknął.

- Fred? - Twarz Beiglera rozjaśnił uśmiech. - Trochę się ośmieszył. Pielęgniarki skarżą się na jego słownik, ale kości mu się zrastają. Powinien wylizać się z tego za jakieś dwa tygodnie.

- Zadzwoń do niego. Żeby się nie denerwował. Jak się dowie, że ja go zastępuję, będzie spokojniejszy.

Beigler nie miał zachwyconej miny. - Może lepiej nie rób tego. Wolę, żeby wrócił jak najszybciej. A taka wiadomość może spowodować u niego zawał.

Beigler wyszedł, a Lepski zwrócił się do inspektora Maxa Jacoby'ego, który starał się opanować śmiech: - Słyszałeś? Myślisz, że to dlatego, że Joe mi zazdrości?

- Na pewno, Tom. Nawet ja ci zazdrozczę.

- Ty też? - odparł Lepski wniebowzięty. - No cóż... - wzruszył ramionami. - W końcu takie jest życie. A co tam nowego?

- Spokój absolutny. Teczka zgłoszeń jest pusta. Lepski rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Teraz chciałbym, żeby wydarzyło się jakieś piękne, eleganckie morderstwo. Takie dokonane przez maniaka. Podczas nieobecności Freda byłaby to dla mnie szansa. - Zapalił papierosa i ciągnął dalej, wpatrzony w przestrzeń: - Wiem, że on nie jest głupcem, ale mnie również nic nie brakuje. Dostałem awans, a Carroll już zaczyna mi suszyć głowę, kiedy zostanę sierżantem. Kobiety to chyba nigdy nie są zadowolone. - Westchnął i potrząsnął głową. - Masz szczęście, że nie jesteś żonaty.

- Jeszcze jakie! - przyznał Jacoby z uniesieniem. - I jestem za wolnością.

Lepski zmierzył go ostrym spojrzeniem. - Ty nie myśl, że ja mam coś przeciw małżeństwu, Max. Mnóstwo dobrego da się powiedzieć o takim układzie. Jesteś młody, powinienes się ożenić. Ty...

Przerwał mu dzwonek telefonu.

- Widzisz - Lepski uśmiechnął się znacząco. - Ledwie przyszedłem, zaczyna się ruch. - Podniósł słuchawkę. - Komisariat główny. Tu inspektor Lepski.

Jacoby znowu uśmiechnął się pod wąsem.

- Niech pan zawoła sierżanta Beiglera - szczechnął jakiś męski głos.

- Nie ma sierżanta Beiglera - odparł Lepski, marszcząc brwi. Coś takiego! Ten głupek wyobraża sobie może, że lepiej zwrócić się do Beiglera niż do niego? - Kto mówi?

- Hartley Danvaz. A zastałem może kapitana Terrella? Lepski wyprostował się.

Hartley Danvaz był nie tylko ekspertem od balistyki, ale też właścicielem luksusowego sklepu z bronią, dostawcą wszystkich miejscowych grubych szyszek, gdy chcieli sobie zafundować strzelbę do polowania. Można było u niego dostać wszelką broń, jaką tylko człowiek sobie wymarzył. Był jednym z najpoważniejszych obywateli Paradise City, a poza tym osobistym przyjacielem głównego przełożonego Łepkiego.

- Nie, panie Danvaz, szef jeszcze nie przyszedł - odparł Lepski, żałując, że podniósł słuchawkę. - Czym mogę służyć?

- Niech mi pan przyśle szybko kogoś kompetentnego. Włamano się do mnie. I niech pan powie kapitanowi Terrellowi, jak tylko przyjdzie, że chciałbym się z nim widzieć.

- Proszę na mnie polegać, panie Danvaz. Zaraz się zjawię osobiście, panie Danvaz. Już wyjeżdżam, panie Danvaz.

Odłożył słuchawkę.

- To był Hartley Danvaz? - rzucił Jacoby obojętnie.

- Tak... Ma kłopoty. Zadzwoń do szefa. U Danvaza było włamanie. - Lepski wstał i tak gwałtownie odsunął fotel, że ten upadł z wielkim hałasem. - Powiedz szefowi, że ma do niego zadzwonić jak najszybciej i że ja zajmę się tą sprawą.

I Lepski zniknął.

*

Wysoki, szczupły, zgarbiony, liczący około pięćdziesięciu pięciu lat Danvaz odznaczał się pewnością siebie i arogancją, charakterystyczną dla milionera.

- A kim pan jest, do cholery! - zawołał, gdy wprowadzono Łepskiego do pałacu, będącego biurem Danvaza. - Gdzie Beigler?

Lepski nie należał do ludzi, których można się łatwo pozbyć. Może ten typ jest ważniakiem, ale on, Lepski, jest inspektorem.

- Ja nazywam się Lepski - odparł głosem charakterystycznym dla glin. - Co to za historia z tym włamaniem?

Danvaz obserwował go, zmrużywszy oczy. - Och, no tak, słyszałem o panu. Czy Terrell przyjdzie?

- Został powiadomiony. Jeśli chodzi tylko o włamanie, mogę się tego podjąć. Szef jest zajęty.

Nagle Danvaz uśmiechnął się. - No jasne... Oczywiście... - Wstał. - Proszę iść za mną.

Prowadząc policjanta, ruszył przez rozległy sklep, potem kilkoma stopniami w dół, do magazynu.

- Tędy weszli.

Lepski oglądał małe okienko. Stalowa krata, która je zabezpieczała, została wyrwana wraz z cementowym obramowaniem.

- Mocny łańcuch, hak i samochód - mruknął Lepski. Okienko wychodziło na wąską uliczkę, tuż obok parkingu. - Łatwa robota. Co zabrali?

- Tak to zrobili, myśli pan? - Danvaz patrzył teraz na Łepskiego z pewnym szacunkiem. - Ukradli jedną z moich najlepszych strzelb. Ręczna robota, z lunetą i tłumikiem. Warta pięćset sześćdziesiąt dolarów.

- Czy jeszcze czegoś brakuje?

- Pudełka ze stu nabojami tego kalibru co strzelba.

- Gdzie znajdowała się ta broń?

- Zaraz panu pokażę.

Danvaz poprowadził inspektora znowu do sklepu.

- Strzelba leżała w tej witrynie - objaśnił, zatrzymując się przed wąską skrzynką o szklanych ścianach, stojącą na kontuarze. - Wyjęcie jej nie przedstawiało żadnych trudności. Wystarczyło podnieść wieko. Niczego tu nie dotykałem.

- To dobrze. Wezwę techników, panie Danvaz, zobaczymy, czy są jakieś ślady.

Wystarczył jednak rzut oka, by się przekonać, że to czysta formalność: ten, kto ukradł strzelbę, nosił rękawiczki.

*

Dwie godziny później kapitan Terrell, sierżant Beigler i inspektor Lepski pili kawę w gabinecie szefa.

- Żadnych śladów ani odcisków palców - mówił Beigler po zapoznaniu się z raportem Łepskiego. - Tb robota zawodowca. Najwidoczniej wiedział, czego szuka. Było mnóstwo innych strzelb, mniej cennych, które mógł zabrać.

Terrell, potężny, muskularny mężczyzna, o włosach przyprószonych siwizną, pocierał swoją kwadratową brodę. - Danvaz handluje bronią prawie wyłącznie sportową. Ta, którą skradziono, to raczej niebezpieczna broń snajperska. Dlaczego wybrał właśnie ją?

Lepski uczynił gest zniecierpliwienia. - Ta strzelba ma lunetę i tłumik. Możliwe, że jakiś łobuziak zobaczył ją na wystawie i poczuł na nią chętkę. Danvaz przyznał, że jakiś miesiąc temu stała w oknie wystawowym.

Terrell pokiwał głową. - Możliwe. Nie pomniejsza to jednak faktu, że jest to mordercza broń.

- A ja uważam dalej, że ukradł ją jakiś wyrostek.

- W takim razie był to wyrostek, który posługiwał się metodami zawodowca - odparł Beigler.

- No i co z tego? Każdy chłopak, który ogląda filmy, wie, że trzeba włożyć rękawiczki i w jaki sposób wyrywa się kratę - odparł z lekceważeniem Lepski.

- Powiadomcie prasę - rzekł Terrell. - Nie wiem, czy nam to wiele da, ale mimo wszystko zawiadomcie prasę. Dajcie dziennikarzom fotkę tej strzelby... Danvaz ma na pewno jakieś zdjęcie.

- Możliwe, że Tom ma słuszość - mruknął Beigler, kiedy Lepski sięgał po słuchawkę. - Może to istotnie jakiś wyrostek. Nie mógł się oprzeć pokusie, żeby nie zwędzić takiej strzelby.

Terrell zastanawiał się nad tą uwagą. Przypomniał sobie, że w dzieciństwie każdej soboty chodził podziwiać jedną taką strzelbę wystawioną u Danvaza. Wtedy to jeszcze Danvaz senior był właścicielem sklepu. Przez trzy tygodnie nie myślał o niczym innym, tylko o tej strzelbie, pożerany żądzą jej posiadania. A potem nagle przestał się nią interesować. Mogło tak być, że jakiś łobuziak nie mógł zwalczyć chęci przywłaszczenia sobie tej broni.

- Miejmy nadzieję, że on ma rację, ale ta historia wcale mi się nie podoba. Tb jest typowa broń mordercy.

*

Dean K. McCuen był prezesem Florida Canning and Glass Corporation, koncernu z kapitałem w wysokości miliona dolarów, który zaopatrywał w owoce wszystkie detaliczne sklepy w całym stanie. McCuen miał metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy siwe, cerę amatora whisky. Był twardy zarówno dla siebie, jak i dla swego personelu, no i powiodło mu się w interesach. Był też trzy razy żonaty, za każdym razem to żony opuszczały go, nie mogąc znieść przykrego charakteru McCuena, jego sposobu życia i wymagań.

Od zawsze żył z zegarkiem w ręku. Wstawał o siódmej, pół godziny spędzał w sali gimnastycznej, urządzonej w piwnicy jego wspaniałej rezydencji, otoczonej hektarem kwitnących ogrodów; o siódmej trzydzieści jeden brał prysznic, o ósmej jadł śniadanie i o dziewiątej trzy odjeżdżał do biura swoim rolls-royce'em. Zawsze dokładny co do minuty.

Martha Delvine, która od trzech lat była jego sekretarką, nie widziała, żeby chociaż raz się spóźnił. Również tego słonecznego ranka, kiedy wyłonił się u stóp majestatycznych schodów, w drodze do pokoju stołowego, nie musiała patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że jest punktualnie ósma.

Martha Delvine była wysoką, trzydziestosześcioletnią brunetką, pozbawioną wdzięku. Czekala przy stole zastawionym śniadaniem, z gazetą w ręku.

- Dzień dobry, panie McCuen - powiedziała, kładąc też listy obok talerza.

McCuen zadowolili się skinieniem głowy; nie lubili zbyt wielu słów. Usiadł, rozpostarł serwetkę na kolanach, podczas gdy Toko, jego japoński służący, nalewał kawę do filiżanki i podawał mu jajecznicę z cynaderkami.

- Co nowego w poczcie? - spytał McCuen po przełknięciu pierwszej cynaderki.

- Nic ważnego - odparła Martha. Umilkła, zawahała się, po czym mówiła dalej: - Chociaż jest coś ciekawego...

McCuen wbił drugą cynaderkę na koniec widelca i zmarszczył brwi: - Coś ciekawego? Co pani przez to rozumie?

Martha położyła przed swoim szefem pół kartki zwyczajnego papieru listowego. - Proszę. To było w poczcie.

McCuen włożył okulary i obejrzał kartkę. Przeczytał słowa wypisane dużymi literami:

REQUIESCAT IN PACE 9:03 MŚCICIEL

- Co to, do cholery, znaczy?! - wykrzyknął skrzeczącym głosem.

Toko, stojący za krzesłem McCuena, skrzywił się; sądząc po tonie szefa, zapowiadał się zły dzień.

- Nie wiem - odparła Martha. - Myślałam, że powinnam to panu pokazać.

- Po co? - McCuen spiorunował ją wzrokiem. - To napisał wariat, chyba jasne, co? Powinna pani wiedzieć, że nie chcę, żeby zwracano mi głowę takimi sprawami. Ktoś to zrobił, by mi zepsuć śniadanie!

Pstryknął palcem i papier wyleciał w powietrze.

- Proszę mi wybaczyć, panie McCuen.

Odwrócił się i spojrzał na Toko ponurym wzrokiem. - Ten tost jest zimny! Co się z wami dzisiaj dzieje? Przynieś mi inny...

Było akurat trzy minuty po dziewiątej, gdy McCuen, kipiąc jeszcze ze złości, wyszedł w ten piękny, słoneczny ranek i skierował się w stronę rollsa.

Brant, jego szofer w średnim wieku, który od lat znosił cierpliwie swe męczeństwo, czekał przy drzwiach auta. Martha Delvine zjawiała się na podeście, chcąc asystować przy odjeździe szefa. McCuen zatrzymał się, żeby udzielić jej ostatnich instrukcji: - Wrócę o osiemnastej. Halliday ma przyjść. Powiedział, że będzie o osiemnastej trzydzieści, ale pani go zna. Nigdy nie potrafi być punktualny...Ib były ostatnie słowa Deana K. McCuena. Martha na zawsze miała zachować w pamięci okropne wspomnienie tego, co się zdarzyło w następnej sekundzie. Szła tuż obok i patrzyła na niego. Nagle ujrzała, że czoło szefa zmienia się w gąbczastą, krwawą masę. Kawałek mózgu rozprysł się na jej twarzy i zaczął spływać wzdłuż

policzka. Krew trysnęła na jej białą spódnicę. McCuen zwałił się całym swym ciężarem na stopnie z marmuru, teczka otworzyła się, jej zawartość rozsypała się wokół.

Sparaliżowana ze strachu Martha patrzyła, jak masywne ciało szefa stacza się po schodach, a ona sama czuje na policzku tę okropną, lepką rzecz. I wtedy zaczęła krzyczeć.

*

Doktor Lewis, lekarz sądowy, zszedł po schodach do Terrella, Beiglera i Łepskiego, którzy czekali na niego w przedpokoju. Był to tłusty, łysy człowieczek, policzki jego usiane były piegami. Terrell wierzył w jego talent.

Wezwanie przyszło w momencie, kiedy Lepski odłożył słuchawkę po zawiadomieniu prasy o kradzieży strzelby. Posterunkowy Steve Roberts usłyszał krzyk dochodzący z rezydencji McCuena i udał się tam, żeby zobaczyć, co się dzieje. Po odebraniu jego raportu Terrell, Beigler i Lepski wskoczyli do wozów służbowych, pozostawiając Jacoby'emu troskę o zaalarmowanie innych policjantów. Z raportu wynikało, że chodzi o morderstwo - choć już od dawna nie zdarzyło się nic podobnego w Paradise City, a do tego zamordowany należał do najbardziej wpływowych obywateli tego miasta.

W trójkę przybyli równocześnie z ambulansem, wyprzedzając doktora Lowisa o kilka minut.

Ciało McCuena było teraz w drodze do kostnicy.

- Jak ona się czuje? - spytał Terrell.

- Dałem jej środek uspokajający - odparł Lewis, zatrzymując się przy schodach. - Nie ma mowy o przesłuchaniu przed upływem dwudziestu czterech godzin. Ona jest na pół obłąkana.

Terrell, który wstępnie przesłuchał już świadków i widział ciało denata, mógł to łatwo zrozumieć. - A jaka jest pana opinia, doktorze?

- Chodzi o strzelbę o bardzo dużej sile. Wyjmę kulę. Idę o zakład, że strzelano z broni nadzwyczaj precyzyjnej, zaopatrzonej w lunetę.

Terrell i Beigler wymienili spojrzenia.

- A orientuje się pan, pod jakim kątem padł strzał?

- Kula została wystrzelona z góry.

Komendant policji i lekarz wyszli na taras i rozglądali się po okolicy.

- Prawdopodobnie stamtąd - rzekł Lewis, wskazując kierunek pulchną dłonią. - No dobrze, to zostawiam was. Teraz wasza kolej.

Pożegnał się, a wtedy Beigler podszedł do Terrella.

Obydwaj studiowali okolicę. Rezydencję oceniały olbrzymie kasztany, za którymi biegła droga. Dalej rozciągała się zabudowana przestrzeń, w głębi wznosił się blok mieszkalny z tarasem na dachu.

- Jeśli strzelano stamtąd z góry, był to niezły strzał - zauważył Beigler.

- Nie mogli strzelać z innego miejsca. Zobacz sam. Słyszałeś też, co powiedział Lowis? Broń wysoce precyzyjna, zaopatrzona w lunetę. To mogła być strzelba Danvaza.

- Mogła. Przekonamy się, kiedy Lowis wyjmie kulę.

Terrell zwrócił się do Łepskiego: - Tom, weź tylu ludzi, ilu się da, i przetrząśnij ten budynek. Skontrolujcie dach i wszystkie puste mieszkania. Nie ma zresztą potrzeby, żebym wam mówił, co należy robić.

- Jasne, szefie!

Łepski wybrał czterech młodszych inspektorów, po czym wszyscy wpakowali się do samochodu.

- Trzeba przesłuchać też szofera i Japończyka - powiedział wtedy Terrell.

- Patrzcie, kogo diabli niosą - mruknął na to Beigler.

Z auta, które podjechało, wysiadł wysoki, szpakowaty przystojniak. Pete Hamilton we własnej osobie, redaktor kroniki kryminalnej gazety „Paradise City Sun” i ponadto lokalnej stacji telewizyjnej.

- Joe, zajmij się nim - rzucił Terrell półgębkiem. - Ani słowa o strzelbie. Najlepiej udawaj głupiego.

I sam szybko zniknął w drzwiach domu.

Herbert Brant, szofer McCuena, nie miał nic do powiedzenia. Jeszcze nie oprzytomniał z wrażenia, drżał cały i Terrell od razu się zorientował, że przesłuchiwanie go byłoby stratą czasu. Natomiast Toko, japoński służący, naoczny świadek, zachował całkowicie zimną krew. Podał Terrellowi kartkę, którą McCuen wyrzucił z takim lekceważeniem, nakreślił portret nieboszczyka szefa, mówił o jego zwyczajach i charakterze - informacje praktyczne i bardzo pożyteczne.

Tymczasem Beigler, wydany na pastwę Hamiltona, miał ciężki orzech do zgryzienia.

- Tak, wiem, co się stało - mówił dziennikarz niecierpliwie. - Ale wy na pewno macie jakieś zdanie o tym. McCuen był kimś ważnym. I nagle ktoś go zabija... jak Kennedyego! Czy pan zdaje sobie sprawę, że to jest najpotworniejsza zbrodnia, jaka od lat wydarzyła się w tym mieście?

- Że to jest nie byle jaka wiadomość, rozumiem - odparł Beigler, pakując sobie gumę do żucia do ust. - Ale co ma z tym wspólnego Kennedy? McCuen nie był prezydentem Stanów Zjednoczonych, o ile mi wiadomo...

- Da mi pan jakieś informacje czy nie?

- Pete, gdybym mógł panu coś dać, nie wahałbym się ani przez sekundę - odparł Beigler z goryczą. - Ale chwilowo niczego pewnego nie wiemy.

- A czy tej zbrodni nie dokonano czasem przy pomocy strzelby skradzionej Danvazowi?

Beigler wzruszył ramionami. - Tyle wiem o tym, co i pan. Tb jest ewentualność, której nie lekceważymy.

- A kiedy będzie pan mógł mi coś powiedzieć?

- Za dwie, trzy godziny. W południe zrobimy konferencję prasową w komisariacie głównym.

Hamilton z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu patrzył na sierżanta. - Dobrze. I to wszystko, co pan może dla mnie zrobić?

- Absolutnie wszystko.

Dziennikarz zbiegł ze schodów i wskoczył do samochodu. Beigler patrzył, jak odjeżdża, po czym wrócił do domu, by poszukać Terrella. Ten w milczeniu przysłuchiwał się właśnie zeznaniom Toko. Służący skończył. Terrell pożegnał go, a kiedy został sam z Beiglerem, podał mu kartkę otrzymaną od Japończyka.

Beigler przeczytał i zaklął półgłosem. - To jakiś wariat.

- Możliwe. Pod warunkiem, że nie jest to zmyłka. Obydwaj wiedzieli, że uzbrojonego furiata znacznie trudniej schwytać niż zwykłego przestępcę.

Beigler wsunął kartkę do plastikowej koperty. - Zaniosę to do laboratorium. - Chciał już ruszyć do swego wozu, kiedy nagle stanął. - Hamilton jest jeszcze bardziej wrogo nastawiony niż zwykle. Interesował się tą skradzioną bronią. Ładną nam zrobi reklamę...

- Na to wygląda.

To powiedziawszy, Terrell też podszedł do swojego wozu.

Pięć minut po odjeździe obu mężczyzn zjawił się znowu Pete Hamilton. Porozmawiał z Toko, jego fotograf zrobił zdjęcia i zniknęli, nim aleja wjazdowa wypełniła się tłumem konkurencyjnych dziennikarzy.

O jedenastej Hamilton podał wszystko w telewizji, urozmaicone zdjęciami skradzionej strzelby, rezydencji McCuena oraz bloków z naprzeciwka. Mówił także o ostrzeżeniu „Mściciela”. - Kim jest ten człowiek? - dociekał. - Czy uderzy po raz drugi?

*

Motel Welcome znajdował się na skraju marnej drogi, będącej odgałęzieniem autostrady numer 4, jakieś pięć kilometrów od Paradise City. Piętnastoma nędznymi bungalowami (każdy z oddzielnym garażem) zarządzała Bertha Harris, mąż jej zginął podczas wojny w Korei.

Motel pozwalał żyć tej grubej biednej kobiecie, zbliżającej się już do sześćdziesiątki. Pozwalał jej jeść, jak mówiła, a ponieważ jedzenie było niemal jedynym zajęciem pani Berthy, można było uważać, że przedsiębiorstwo dobrze prosperuje.

Czasem tylko zjawiali się tu przyjezdni klienci, toteż była mile zdziwiona, kiedy poprzedniego wieczoru zatrzymał się przed motelem zakurzony buick, z którego wysiadł nad wyraz przyzwoicie wyglądający Indianin i spytał grzecznie, czy on i jego przyjaciele, będący tu na wakacjach, mogliby wynająć dwa bungalowy na tydzień. A możliwe, że nawet na dłużej.

Bertha była jeszcze bardziej zachwycona, kiedy stwierdziła, że Indianin wcale się nie targuje. Tak łatwo przyjął jej warunki, że żałowała, iż nie zażądała więcej. Szczęście jej było kompletne, gdy zapłacił z góry za cały tydzień. Intrygował ją tylko jeden szczegół: przyjaciele, o których mówił, chłopak i dziewczyna, byli biali - powiedziała sobie jednak, że to ich sprawa, nie jej.

Indianin podpisał formularz nazwiskiem Harry Lukon. A ci dwoje zameldowali się jako Jack Allen z żoną.

Poszli do restauracji prowadzonej przez pomagiera Berthy, Murzyna o wełnistej czuprynie, który miał na imię Sam i w wieku osiemdziesięciu pięciu lat był jeszcze w stanie utrzymywać pokoje w umiarkowanej czystości oraz przyrządzać zjadliwe dania, których zresztą rzadko od niego żądano. Młodzi przełknęli szybko gąbczaste hamburgery, porcje gorącej leguminy z jabłkami, popijając piwem, po czym wrócili do swych bungalowów. A Bertha jakby zapomniała o nich.

O dwudziestej drugiej również pozostali klienci - troje starszych ludzi - poszli spać. W motelu zapanowała cisza. Wtedy Poke Toholo zawitał do bungalowu Chucka i obaj zaczęli rozmawiać szeptem. Meg na próżno starała się coś usłyszeć. Potem Chuck nakazał dziewczynie położyć się do łóżka i razem z Poke'em odjechali w kierunku Paradise City.

Indianin prowadził wóz z taką pewnością, że Chuck odgadł, iż znał on tu każdy kąt jak własną kieszeń. Okrążyli dwukrotnie domy dzielnicy handlowej, po czym Poke wyłożył wreszcie swój plan.

Zorganizował wszystko. Pod tylnym siedzeniem leżał hak i stalowy kabel. Wyrwanie kraty, zabezpieczającej okno tylnej części sklepu z bronią, było dziecinną zabawą.

Chuck - nerwowy i pocący się - stał na czatach w ciemnej ulicy, a Poke tymczasem dostał się do sklepu. Chyba minutę później podał współnikowi strzelbę, lunetę i tłumik w futerale. Chuck ukrył to wszystko pod siedzeniem i wrócili do motelu.

- Idź spać - nakazał Poke, zatrzymując się przed bungalowem Chucka. - I nie mów nic Meg, zrozumiałeś?

Chuck wysiadł z wozu. - A co ty chcesz z tym zrobić?

- Zobaczysz - odparł spokojnie Indianin, odjeżdżając w ciemnościach.

Meg była już w łóżku. Ale czekała z niepokojem na jego powrót.

- Gdzie byliście? - spytała, kiedy Chuck zaczął się rozbierać. Wsunął się do wielkiego łóża i przyciągnął dziewczynę do siebie.

- Gdzie byliście? - powtarzała Meg, broniąc się. - Zostaw mnie w spokoju! Nawet się nie umyłeś, świnię jedna! I nie wyplukałeś zębów!

- W czym nam to może szkodzić? - odparł Chuck i zmusił ją do położenia się na plecach.

*

Była za dziesięć dziesiąta, kiedy się obudzili. Meg przygotowała kawę i zobaczyła przez okno, jak wraca Poke i wprowadza wóz do garażu.

- Czy on całą noc spędził poza domem? - spytała, napełniając filiżanki.

- Możesz go przecież spytać. Wtedy umilkła.

Chuck ogolił się, umył pod prysznicem, podczas gdy Meg oglądała wiadomości w telewizji. Myślał teraz o Poke'u. I o strzelbie. Indianina nie było przez całą noc. Mają być trzy zabójstwa, tak mówił. I Chuck, bardzo nieswój, zastanawiał się, czy Poke użył już tej strzelby...

Czesał się, kiedy Peter Hamilton pokazał się na ekranie, mówiąc o zamordowaniu McCuena. W chwili kiedy Chuck wyskoczył z łazienki, reporter opowiadał o ostrzeżeniu, które otrzymała ofiara...

- Posłuchaj! - krzyknęła Meg podniecona.

- Pośród nas żyje morderca - mówił Hamilton. - Morderca, może nie o całkiem zdrowych zmysłach. Człowiek, który każe się nazywać Mścicielem. Jakimi kieruje się pobudkami? Czy będzie dalej zabijał? W nocy skradziono markową strzelbę w znanym

wszystkim składzie broni Danvaza. Czy to z niej zabito McCuena? Oto fotografia skradzionej strzelby, zaopatrzonej w lunetę i tłumik...

Strzelba pojawiła się na ekranie zamiast twarzy Hamiltona. Chuck zadrzał.

- Przyjrzyjcie się uważnie temu zdjęciu - ciągnął reporter. - Jeśli widzieliście już tę broń lub zobaczycie ją w czyichś rękach, zawiadomcie natychmiast policję. Dean K. McCuen należał do najlepszych obywateli naszego miasta. I...

Chuck przełączył kanał.

- Co to nas może obchodzić? - rzucił, siląc się na obojętny ton. - Chodź... zobaczymy lepiej, jak wygląda to całe ich miasteczko...

Meg patrzyła na niego uważnie. Uciekał wyraźnie ze wzrokiem, był czerwony, czoło pokrywał mu perlisty pot. Dreszcz przebiegł po plecach Meg.

- Co się dzieje? - spytała.

Chuck włożył koszulę. - Jak to co? Nic się nie dzieje. Chcesz przejechać się po mieście?

- To morderstwo... ten człowiek... Mściciel... to nie ma z nami nic wspólnego, prawda, Chuck?

Włożył spodnie.

- Zwariowałaś? Co by to miało z nami wspólnego?

Nie patrzył jej w twarz.

- To dlaczego masz taką minę? Skoro to nas nie dotyczy! - Meg odsunęła się od niego.
- Czemu on spędził noc poza motelem? I te pieniądze, które nam obiecał, niby skąd ma je wziąć?

To był moment kryzysowy. Trzeba zrobić z tym szybko porządek.

- Dobrze! - rzucił wściekle Chuck. - To pakuj manatki! Wiedziałaś, że masz nie zadawać pytań. A więc zmiataj! No już! Spakuj swoje ciuchy i w drogę!

Meg skuliła się i bezradnie uniosła ramiona ku niemu. - Nie. Chodź razem ze mną. Chuck! To ciemny typ, ja wiem. Chodźmy stąd!

- Słyszałaś, co powiedziałem? Pakuj manatki.

Meg usiadła na niezasałanym łóżku i chwyciła się za głowę. - Mam zostać sama? To niemożliwe. Chuck... Zgoda... zapomnij, co mówiłam. Nie będę już więcej o nic pytać. Ja nie chcę odejść...

Poke Toholo słuchał tego wszystkiego, przyłożywszy ucho do cienkiej, drewnianej ścianki.

Chuck zdawał sobie sprawę, że wygrał, ale nadszedł moment, żeby postawić kropkę nad „i”. - Zaczynam mieć ciebie dosyć. Nie brak panienek na świecie. Lepiej będzie, jak się spakujesz. No, zbieraj się!

- Proszę cię, Chuck... to jest mi już obojętne. Nie będę więcej o nic pytać. Chcę tylko zostać z tobą.

Spacerował po pokoju, jakby rozważał argumenty za i przeciw. - Pomówię z Poke'em. Musi wiedzieć, co się dzieje. A ja myślę, że powinnaś się wycofać.

Meg znalazła się przy nim jednym skokiem i chwyciła go za ramiona. - Nie! Nic mu nie mów. Przysięgam ci, przysięgam, że nie będę więcej pytać. Zrobię, co tylko zechcesz. Przysięgam!

Chuck udawał, że się waha, potem skinął głową. - Dobrze. Nie mówmy już więcej o tym. To jak, przejedziemy się po mieście?

- Tak. - Rzuciła mu spojrzenie pełne wdzięczności. - Tak, mam wielką ochotę.

- Zapytam tylko Poke'a, czy mogę wziąć samochód.

Meg zaraz znowu wpadła w panikę. - Ale ty mu nic nie powiesz, prawda?... Nic nie powiesz?

Chuck uśmiechnął się złośliwie. Niech się płaszczy przed nim, wyjdzie mu to tylko na korzyść.

- Nie, nic mu nie powiem.

Ujął Meg pod brodę krótkimi, wilgotnymi palcami. Zadrżała, kiedy ją uszczypnął.

- Ale zapamiętaj sobie, słonko, to twoja ostatnia szansa.

Po tych słowach wyszedł. I zapukał do bungalowu obok. Poke otworzył mu drzwi. Obaj spojrzeli na siebie.

- Słyszałem wszystko - przyznał cicho Indianin, zamykając drzwi. - Dobrze to rozegrałeś. Weź wóz i jedźcie na plażę. Urządź to jakoś, żeby ją czymś zająć. Ja idę spać. - Z tylnej kieszeni spodni wyjął banknot dwudziestodolarowy. - Weź to... i niech się zachowuje spokojnie... - Jego oczy czarne i błyszczące patrzyły badawczo na Chucka. - A dzisiaj w nocy będziesz mi potrzebny. Wyjedziemy o jedenastej.

Chuck zeszywniał. Nagle wyszło mu całkiem w gardle. - Drugi?

Poke potwierdził skinieniem głowy.

Chuck uciekł ze wzrokiem, mówiąc: - Pierwszego załatwiłeś sam. Dlaczego chcesz, żebym teraz poszedł?

- Bo tym razem będziesz mi potrzebny. I zabierz ją na plażę, niech się rozluźni.

Chuck kiwnął głową i po krótkim wahaniu wyszedł. Po jego odejściu Poke zamknął drzwi na klucz. Począł, aż Buick ruszy, po czym podniósł materac i wyjął ze schowka strzelbę. Usiadł na skraju łóżka i zaczął czyścić broń.

*

Minęła czternasta, kiedy Terrell skończył przeglądać raporty, które nagromadziły się na jego biurku od rana. Poleciał Beiglerowi odbierać telefony. Wieści Hamiltona wywołały burzę, telefon dzwonił bez przerwy. Bogacze z Paradise City byli jak rozpieszczone dzieci i denerwowali się ponad miarę. Uważali, że policja jest na ich usługi i stworzona została jedynie po to, żeby ich pilnować. Jakie kroki podejmie przeciwko temu szaleńcowi? - wrzeszczeli wściekli. Czy policja nie rozumie, że ten człowiek będzie dalej zabijał? Co robią władze?

Beigler odpowiadał spokojnie, flegmatycznie, jak to było jego zwyczajem, z wiecznym papierosem w ustach, kubkiem kawy w dłoni. Podczas gdy różne głosy rozrywały mu bębniaki w uszach, myślał o tym, że Hamilton niepotrzebnie wsadził kij w mrowisko; chętnie wymierzyłby mu kopniaka w tyłek.

Burmistrz, Lawson Hedley, człowiek rozsądny, przyszedł porozmawiać z Terrellem.

- Możliwe, że to wariat - tłumaczył mu szef policji. - Nie wykluczam też innych, racjonalnych motywów zabójstwa. Nie mogę się wypowiadać, zanim nie skończę studiowania raportów. Myślę, że około piętnastej będę gotów. Jeśli ma pan ochotę zostać, proszę bardzo.

- Może pan na mnie liczyć, Frank. To smutne, że ten diabelski Hamilton wywołał panikę, zanim mogliśmy się zorientować, o co chodzi. Wstąpię jeszcze potem.

O piętnastej zebrał się w trójkę - Hedley, Beigler i Terrell, przy biurku tego ostatniego.

- Broń, którą się posłużył, została skradziona tej nocy u Danvaza - zaczął Terrell. - Mamy analizy ekspertów od balistyki. Morderca strzelał z tarasu mieszkania na ostatnim piętrze rezydencji Connaught. Jej właścicielem, jak wiadomo, jest Tom Davis, który, co też wiecie, od trzech miesięcy przebywa w Europie. A morderca musiał znać ten szczegół. Winda z garażu wjeżdża prosto pod drzwi mieszkania. Przy użyciu odpowiednich narzędzi uruchomienie jej nie przedstawia specjalnych trudności. Sprawa była całkiem prosta. Morderca wjechał samochodem do garażu, dostał się do mieszkania i na tarasie czekał, aż McCuen wyjdzie z domu. Strażnik tego domu zaczyna służbę o szóstej. Według mnie zbrodniarz przyszedł w nocy. Strażnik o wpół do dziesiątej idzie na śniadanie.

I do dziesiątej piętnaście dom nie jest pilnowany. Morderca skorzystał z tej przerwy, żeby się ulotnić.

Hedley przesunął ręką po głowie, wyraźnie już łysiejącej.

- Wychodzi z tego, co pan mówi, że ten ktoś przygotowywał starannie swój plan. I to już od dłuższego czasu.

- Możliwe. Chyba że znał świetnie zwyczaje jednych i drugich. Sądzę, że wiedział dokładnie, kiedy strzelać, by potem spokojnie uciec. I że Davisa nie ma.

- Czyli ktoś z tutejszych!

- Mam takie wrażenie.

Hedley poruszył się nerwowo. - Coś jeszcze pan wie?

- Jest ta dziwna kartka. To ostrzeżenie. Została nadana na poczcie wczoraj wieczorem. Ale jej sens wymyka mi się. List ostrzega McCuena, że ma być zamordowany. Dlaczego?

- Dla rozgłosu - podsunął Beigler.

- Możliwe. W każdym razie, jak widać, zdobył już rozgłos. W laboratorium zbadano list. Żadnych odcisków palców. Piszący posługiwał się długopisem. Papier taki można kupić w każdym sklepie. A więc tylko analiza pisma pozwoli na wyciągnięcie jakichś wniosków.

Terrell podał kartkę Hedleyowi.

- Jak pan widzi, ostrzeżenie napisano dużymi niezręcznymi literami. Ciekawa jest też wskazana godzina: dziewiąta trzy. Morderca wiedział więc o zwyczajach McCuena. To, że był on maniakiem na punkcie punktualności i że o dziewiątej trzy niezmiennie wychodził z domu. Według naszych rozeznań jedynymi osobami, które znały ten szczegół, byli: sekretarka, szofer i służący. Wszyscy troje są niewinni, bez wątpienia. Możliwe, że McCuen chwalił się gdzieś u znajomych swoją punktualnością. To muszę sprawdzić. Morderca mieszka więc lub mieszkał w Paradise City i dobrze orientuje się w zwyczajach naszych współobywateli. Wiedział, że Davis przebywa w Europie i o której godzinie strażnik idzie na śniadanie. I że McCuen wychodzi co rano z domu o dziewiątej trzy. To jest już coś, ale niezbyt posuwa nas naprzód. Nie ma sensu, bym zasięgał informacji o McCuenie. Nie był szczególnie lubiany i miał wielu wrogów w środowisku biznesowym. Ale dałbym sobie rękę uciąć, że żadnemu z jego kolegów nie przyszłoby nawet na myśl, aby strzelać do niego. Chociaż mogą się mylić. Możliwe, że to ostrzeżenie jest zasłoną dymną, ale policyjny nos mi podpowiada, że mamy tutaj do czynienia z człowiekiem nie całkiem normalnym, który mści się za stare urazy. To jest ktoś, kto tu mieszka. I jeszcze o nim usłyszymy.

Hedley przetrwał te słowa, potem spytał: - To jaką podejmiemy inicjatywę?

Terrell przechylił się do przodu, potężne dłonie położył płasko na biurku. - Między nami mówiąc, sam nie wiem. Lepiej nie robić za wiele. Oświadczymy, że opanowaliśmy sytuację, że śledztwo się toczy. Ale nic więcej. Rozpowszechnimy zdjęcia strzelby, skupimy się na przeszłości McCuena, przesłuchamy jego przyjaciół, ale bardzo wątpię, czy posuniemy się naprzód. Morderstwo bez widocznego motywu, takie jak to, jest czymś bardzo zawiłanym. Trzeba czekać, mając nadzieję, że chodzi tylko o pojedynczą zbrodnię.

Hedley zeszytniał. - Czy pan rozumie przez to, że ten człowiek będzie dalej działał?

- Niech pan sam odpowie sobie na to pytanie. Machina zostanie puszczone w ruch. Przesłuchamy tych, którzy mieli jakieś zatargi z McCuenem. A takich jest sporo! Może ktoś był naprawdę wrogo do niego nastawiony, któryś z urzędników... Jeśli ma pan jakieś pomysły, Lawson, nadszedł moment, żeby je ujawnić.

Hedley zdusił cygaro w popielniczkę i wstał. - Nie. Rozumiem jednak sytuację. No cóż, niech pan robi, co może, Frank. Ja wracam do biura, żeby wyciszyć, co się da. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić.

Po odejściu burmistrza Terrell dokończył kawę, zapalił fajkę i spojrzał na Beiglera.

- Do roboty, Joe. Daj wszystkim naszym zajęcie. Wątpię w jakieś szybkie powodzenie, ale trzeba przecież coś robić.

- Tak jest. - Beigler wstał. - Czyli będzie jeszcze jedno morderstwo, szefie...?

- Mam nadzieję, że nie.

- A ja myślę, że tak. Mamy do czynienia z wariatem. - Potrząsnął głową. - Szczęściarz z tego Freda! W tej sytuacji chyba naprawdę lepiej leżeć w szpitalu z nogą w gipsie!

- Ten morderca na pewno popełni jakiś błąd. Oni zawsze popełniają błędy - powiedział Terrell bez głębszego przekonania.

- Ale kiedy?

- No tak, w tym właśnie sęk... kiedy?

Obaj wymienili spojrzenia i Beigler wyszedł, by skierować swoich ludzi do pracy.

*

Wiedząc, że o tej porze, blisko wieczora, sąsiedzi zajmują się w swych ogrodach tępieniem mszyc trutką albo stryżeniem trawników, Lepski postanowił dokonać tak efektownego wjazdu, żeby wszystkim aż dech zaparło. Z rykiem silnika przejechał ulicą i zahamował tak gwałtownie tuż przy swym ogrodzie, aż rozległ się pisk opon.

Zatrzasnął z hałasem drzwi samochodu i świadom, że sąsiedzi przerwali swe zajęcia i obserwują go zdumieni, pobiegł alejką do domu. Zaatakował kluczem zamek, jakby trzymał

w ręku sztylet, i stwierdził z zadowoleniem, że jego popis przyniósł efekt. Cała ulica wiedziała już od żony, że dostał awans. Nadeszła chwila, by pokazać tym głupcom inspektora w akcji!

Na nieszczęście chciał otwierać drzwi kluczykiem od samochodu. Gdyby tak wpadł jak wicher i z hukiem zatrzasnął drzwi za sobą, wrażenie byłoby jeszcze lepsze i wywołałoby liczne komentarze... Jednak nieporadne otwieranie drzwi nie tym kluczem zepsuło całą sprawę.

Klnąc, Lepski szukał klucza, kiedy otworzyły się te drzwi.

- Czy ty musisz tak po wariacku jeździć?! - wykrzyknęła srogo Carroll Lepski. - Nie widzisz, że dajesz zły przykład?

Lepski wparował do środka, odsuwając żonę, kopniakiem otworzył drzwi toalety i zniknął za nimi.

- Zaraz się chyba zsikam - zawołał jeszcze.

Carroll westchnęła. Wysoka, ładna, dwudziestosiedmioletnia brunetka nie dawała sobie pluć w kaszę. Zanim wyszła za męża, była urzędniczką filii American Express w Miami, gdzie miała do czynienia z poważnymi biznesmenami, którym służyła radą i pomocą. I dzięki temu stała się bardzo pewna siebie.

Męża uważała za najlepszego inspektora - i najinteligentniejszego z całego wydziału, lecz starała się nie zdradzać z tą opinią. Widziała go już, za jakieś sześć, siedem lat na miejscu komendanta. Z tym się również nie zdradzała, ilekroć jednak Lepski awansował, dopingowała go do kolejnego awansu. Teraz był inspektorem. Wkrótce powinien zostać sierżantem.

Lepski wyszedł z toalety, teatralnym gestem starł z czoła wyimaginowany pot. - Golnę sobie jednego - oświadczył, rzucając się na fotel. - Mam tylko pięć minut czasu... Tyle, żeby zmienić koszulę.

- Skoro jesteś jeszcze na służbie, nie będziesz pił, Lepski! Przyniosę ci coca-colę.

- Ależ ja chcę coś mocnego! Whisky i dużo lodu! Carroll poszła do kuchni i przyniosła coca-colę i dużo lodu.

- Dlaczego jesteś taki dziwny? - spytała, siadając na poręczu fotela.

- Ja? Wcale nie! Czemu tak myślisz? - wypił połowę szklanki i skrzywił się. - Nie dodasz do tego kropelki szkockiej?

- Nie! Masz taką minę, jakbyś był ledwo żywy... Ja zresztą także. Cały czas siedziałam przy telewizorze. Ten morderca... Mściciel... o co właściwie chodzi?

- To wariat i chyba nie trzeba ci mówić, że tacy nas najbardziej wkurzają. Ale pamiętaj, Carroll, ani słowa! Wiem, że te wszystkie twoje jędzowate koleżanki już czekają na informacje z pierwszej ręki, ale tym razem musisz trzymać gębę na kłódkę.

- Hm, tak jakby było o czym mówić! Nawet dziecko opóźnione w rozwoju zgadnie, że to wariat. Do czego jeszcze doszłście? Macie go już?

Lepski zaśmiał się ponuro. - Jeszcze nie. Ale całą noc będziemy węszyć. Taka rutyniarska robota. Paradise opanował strach. Ma to wyglądać, że roboty mamy w bród, chociaż to tylko strata czasu. I nie mów o tym nikomu.

- Ja jednak mam pewien ślad, Lepski... - Carroll czuła, że mąż jest w impasie, i z uwagi na przyszły awans należy mu pomóc. - Jak tylko usłyszałam Hamiltona w telewizji, zaraz poszłam do Mehitabel Bessinger. Wiedziałam, że ona jedna potrafi rzucić światło na tę sprawę.

Lepski zamarł, rozpinając kołnierzyk. - Do tej starej oszustki? Oszalałaś! A teraz, skarbie, przynieś mi lepiej czystą koszulę. Nie wrócę tej nocy do domu. I może zrobisz mi kilka kanapek? Co jest w lodówce? Zostało jeszcze trochę pieczeni?...

- Lepski, posłuchaj mnie - przerwała mu Carroll stanowczym tonem. - Mehitabel jest może stara, ale na pewno nie jest oszustką! Ona ma swój dar... Wy tłumaczyłam jej, jakie to ważne, żebyś ty...

- Chwileczkę... - Lepski wyprostował się z miną nagle podejrzliwą. - Czy przypadkiem nie dałaś jej mojej whisky?

Zerwał się i pobiegł do baru. Butelka Cutty Sark zniknęła. Odwrócił się i spojrzał na żonę wzrokiem pełnym wyrzutu.

- A więc to tak, dałaś moją whisky tej starej mumii, tej alkoholiczce!

- Mehitabel nie jest starą mumią ani alkoholizką. Lubi może tylko czasem wypić kieliszek... Cóż, dałam jej tę whisky w prezencie. Zresztą uważam, Lepski, że ty za dużo pijesz.

Lepski rozluźnił krawat. - Chyba nie w tym teraz rzecz. Ty chcesz powiedzieć...

- Posłuchaj! - Carroll podniosła głos. - Bądź przez chwilę cicho.

- No dobrze, już dobrze. - Lepski zanurzył rękę we włosach.

- Skoro musisz. - Rozwiązał krawat i zgniótł go w ręce. - Poszłaś do niej, ta idiotka wzięła kryształową kulę i w zamian za butelkę mojej najlepszej whisky powiedziała ci, kto zabił McCuena. Tak było?

- Tak właśnie było! Pewnie jeszcze nigdy żadna zagadka nie została tak szybko rozwiązana. Bo Mehitabel widziała tego mordercę w kryształowej kuli.

Lepski rzucił krawat na podłogę i zaczął go deptać nogami, wydając pomruki przypominające młot pneumatyczny.

- Możesz sobie darować te numery - rzuciła sucho Carroll.

- Czasem wydaje mi się, że masz mentalność rozkapryszonego dziecka.

Lepski przymknął oczy, udało mu się odzyskać zimną krew. - Cóż... może masz rację. Dobrze... zapomnijmy o Mehitabel. Może byś mi przygotowała kanapki? Z tą pieczenia, jeśli została...

- Ty myślisz tylko o jedzeniu. A może łaskawie wysłuchasz mnie przez chwilę? Mehitabel widziała tego człowieka. To Indianin. Miał na sobie koszulę w kwiaty, były z nim jeszcze dwie osoby. Biali, mężczyzna i kobieta. Ale nie mogła dokładnie rozróżnić rysów ich twarzy.

- No jasne! - odparł Lepski z pogardą. - Wcale mnie to nie dziwi. Kiedy ta stara pijaczka złapie butelkę, przestaje wyraźnie widzieć. - Wstał. - Idę się ogolić i zmienić koszulę. A ty przygotuj mi te kanapki, co?

Carroll zaczęła pięściami uderzać się po biodrach. W niektórych momentach - właśnie teraz nadszedł taki moment - była zdolna do równie teatralnych występów jak jej mąż.

- Ty kretynie jeden, czy nie widzisz, że to ślad... rewelacyjny ślad! - krzyknęła z wściekłością. - Chyba naprawdę jesteś ograniczony. Wiem, że Mehitabel jest stara. Ale ona ma nadprzyrodzoną siłę. Ona jest medium!

- Czy ty powiedziałaś „kretynie”?

- A czy ty w ogóle coś słyszałaś? - Oczy Carroll płonęły.

- Słyszałem, że powiedziałaś „kretynie”. I teraz już pójde włożyć świeżą koszulę. A ty, jeśli została pieczeń, przygotuj kanapki.

I dużymi krokami poszedł do sypialni.

Wrócił ogolony, odświeżony pod prysznicem, w świeżej koszuli. Carroll czekała z kanapkami. Spojrzał na torebkę, którą mu podała. - Z pieczenia?

- No tak!

- Iz musztardą?

- Tak.

- To do zobaczenia, skarbie - rzucił z uśmiechem. - I nie myśl już więcej o tej starej pijaczce.

CMoknął Carroll w policzek i wyszedł, śmiejąc się, po czym wskoczył do samochodu.

Miał spędzić noc na daremnym chodzeniu po ulicach, na stawianiu pytań, na zwiedzaniu klubów, których członkiem był McCuen. I podobnie jak inni policjanci, zajęci w ten sam sposób, przekonał się, że Paradise City strach chwycił w swe szpony.

3

Inspektor Max Jacoby miał nocną służbę. Dyżurował przy telefonie i segregował raporty w sprawie McCuena, napływające bez przerwy, dla Terrella, który miał je studiować od samego rana.

Dwóch młodych policjantów dotrzymywało mu towarzystwa; inteligentnych, choć brak im było doświadczenia. Rudzielec nazywał się Dusty Lucas, drugi, przysadzisty - Rocky Hamblin. Obydwaj ziewali, przeglądając raporty.

- Ci nasi nieźle zdarli buty, jestem już przy czterdziestym trzecim raporcie! - westchnął Dusty, sięgając po kolejną kartkę. - I co z nich wszystkich wynikało? Kompletnie zero!

Świadom tego, że jako najstarszy powinien służyć im przykładem, Jacoby uniósł głowę i popatrzył na niego z ukosa. - Niby tak, ale taka jest praca policji. Możliwe, że czterdziesty czwarty będzie zawierał to, czego szukamy.

- Tak myślisz? - rzucili chórem tamci dwaj. - No to szukajmy!

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon.

Jacoby, wyciągając rękę po słuchawkę, rzucił okiem na zegar na ścianie, którego szkło upstrzone było przez muchy. Była dwudziesta druga czterdzieści siedem.

- Komisariat główny, inspektor Jacoby - rzucił do aparatu.

- Potrzebuję pomocy. - Był to męski głos, drżący, ale zdecydowany. - Willa „Mewa”. Promenada Plażowa. Przyślijcie kogoś jak najszybciej.

- A kto mówi? - spytał Jacoby, notując adres na kartce w bloczku przed sobą.

- Malcolm Riddle. Mam tu zwłoki... kobiety... Niech ktoś szybko przyjedzie.

Jacoby znał nazwiska ważnych obywateli Paradise City. Malcolm Riddle był przewodniczącym Jacht Klubu, administratorem Opery, a fortunę jego żony uważano za siódmą na Florydzie. Czyli ktoś ważny.

- Zrozumiałem, panie Riddle - Jacoby wyprostował się odruchowo. - Już tam kogoś wysyłam - dodał, studiując równocześnie elektroniczną tablicę z aktualnym położeniem wozów patrolowych. - Może mi pan podać jakieś szczegóły?

- Chodzi o morderstwo - odparł Riddle sucho i odłożył słuchawkę.

Jacoby'emu wystarczyło kilka sekund, by skontaktować się ze Stevem Robertsem, patrolującym tamten sektor.

- Steve, jedźcie do willi „Mewa”, Promenada Plażowa. Tylko szybko. Malcolm Riddle zawiadomił nas o morderstwie. Już powiadamiam kryminalnych. Zajmijcie się wszystkim, nim oni przyjadą.

- No jasne - odparł wyraźnie zaskoczony Roberts. - Już jadę.

Przez kolejne minuty Jacoby zajęty był telefonowaniem, a Lucas i Hamblin patrzyli tylko na niego z zaciekawieni. Najpierw zadzwonił do Beiglera, który właśnie kładł się spać. Kiedy usłyszał, że chodzi o Malcolma Riddle'a, kazał Jacoby'emu zawiadomić Terrella.

- A gdzie jest Lepski? - dodał, tłumiąc ziewanie.

- Na pewno u siebie w domu. Przed dwudziestoma minutami skończył służbę.

- To niech też tam zaraz jedzie - Beigler zakończył krótko rozmowę.

Obaj z Łepskim zjawili się równocześnie przed luksusowym bungalowem. Było to najwyraźniej gniazdko miłosne; kto tylko skierował wzrok na roślinność, która osłaniała dom niemal do połowy, nie mógł sądzić, że jest inaczej. Willę, frontem zwróconą ku morzu, zabezpieczał od tyłu wspaniały platan, flanków broniły ozdobne rośliny. Roberts zatrzymał wóz pod drzewem palmowym. Wyłonił się z cienia i zbliżył do Beiglera. Miał szeroką, opanowaną twarz policjanta. - Zajrzałem tam już, sierżancie. Zainteresuje to pana... Nowe uderzenie Mściciela.

Beigler, tłumiąc przekleństwo, skreślił w alejkę prowadzącą do drzwi wejściowych. Gestem polecił Łepskiemu i Robertsowi, żeby zostali.

Malcolm Riddle, całkiem załamany, siedział w głębokim fotelu. Korpulentny, bliski sześćdziesiątki, miał opaloną twarz o pełnych policzkach, jeszcze tak urodziwą, że można go było wziąć za aktora filmowego. Beiglera wzruszyła rozpacz, którą odczytał w jego spojrzeniu. Znał Riddle'a, miał dla niego sympatię, znał również jego kłopoty - ożenił się z kobietą, która okazała się zwyczajną dziwką. I nawet przykucie do wózka po upadku z konia wcale jej nie zmieniło.

Riddle uniósł głowę, kiedy wszedł policjant. - O, JoeL. Dobrze, że to pan. Jestem w paskudnej sytuacji. - Wskazał ręką na drzwi. - Ona tam leży.

- Niech pan nie wpada w panikę, panie Riddle - odparł spokojnie Beigler, idąc we wskazanym kierunku.

W pokoju paliło się światło, olbrzymie łoże zajmowało niemal całe pomieszczenie.

Kobieta leżała na łóżku na brzuchu. Była naga.

Beigler wprawnym okiem odkrył najpierw pończochę nylonową zaciśniętą wokół szyi ofiary, później wzrok jego przesunął się na opalone plecy. Od karku do nasady pośladków biegł, wypisany czarnymi literami, napis: MŚCICIEL.

Beigler dłuższą chwilę stał i patrzył na zwłoki, rysy jego twarzy były twarde, nieprzeniknione. Potem, nie zwracając uwagi na Riddle, wyszedł w ciepłą noc.

- To znów nasz przyjaciel - powiedział do Łepskiego. - Sprowadź ekipę. Ja zabiorę stąd Riddle'a.

Łepski skinął głową i przez radiotelefon w samochodzie zadzwonił na komisariat, a Beigler wrócił do bungalowu.

- Za chwilę zaroi się tu od dziennikarzy - zwrócił się do Riddle. - Odprowadzę pana do domu.

Riddle podniósł się ciężko z fotela.

- Nie mam ochoty tam wracać... nie teraz. Musi mi pan przecież zadać parę pytań. Wezmę wóz. Proszę iść za mną. Pojedziemy do Mala Bay. Tam będziemy mieli spokój.

Dziesięć minut później Riddle zatrzymał się pod palmą. Plaża Mala Bay, chętnie odwiedzana w ciągu dnia przez zakochanych, nocą była niemal zawsze pusta. Mężczyźni usiedli obok siebie na piasku.

- Paskudna sytuacja, co? - mruknął Riddle po chwili milczenia. - Dla mnie to koniec kariery. Dlaczego ten łajdak mnie zaatakował? - Wziął papierosa, którym poczęstował go Beigler. - Gdyby nie pękła mi opona, to wszystko by się nie wydarzyło. Ale tak mi widać było przeznaczone... Zawsze przychodziłem pierwszy do willi, ale dzisiaj nawaliła mi guma i Liza zjawiła się przede mną.

- Opowie mi pan dokładnie całą sprawę, panie Riddle? Musimy to wiedzieć. Bardzo mi przykro, ale potrzebne są wszelkie szczegóły. Ten szaleniec może znowu zaatakować.

- No tak... Proszę pytać... o wszystko, co pan chce wiedzieć.

- Kim jest ta kobieta?

- Liza Mendoza. - Riddle wpatrywał się w rozżarzony koniec papierosa. - Pan wie, jak to wygląda z moją żoną. Oczywiście nie powinienem był tego robić. Ale przecież nie staję się młodszy. Spotkałem Lizę... Była urocza. I samotna. Jak ja... - głos Riddle'a zadrżał, przerwał na chwilę. - Dlatego, widzi pan, kupiłem tę willę. Nasze miłosne gniazdko... Tak będą pisały gazety, prawda?

- Kiedy pan kupił ten dom?

- Półtora roku temu... Jakoś tak. Wiedzieliśmy obydwój, że to nie będzie trwało wiecznie. Cóż jest wieczne?

- Widywaliście się często?

- Każdego piątku wieczorem. Tak to ustaliliśmy. A dzisiaj jest właśnie piątek...

- Ona nie mieszkała w tej willi?

- Na Boga, nie! Korzystaliśmy z niej tylko w piątki. Miała swój dom. Wybraliśmy ten dzień, bo żona kładzie się wcześniej spać. Przyjmujemy gości w soboty, chce przedtem wypocząć.

- Kto wiedział o tym związku?

Riddle spojrzał na policjanta pytająco. - Jak to... kto wiedział?

- Czy pan się komuś zwierzał? Któremuś z przyjaciół?

- Co za dziwne pytanie!

Beigler hamował się, żeby nie okazać zniecierpliwienia.

- Wcale nie takie dziwne. Pana szokuje to, co się stało, a mnie szokuje ten morderca. Zabił już dwa razy i pewnie na tym się nie skończy. Znał zwyczaje McCuena, zdaje się, że znał również pańskie. Czy ten wasz związek był tajemnicą? Czy mówił pan z kimś o tym?

Riddle zdusił papierosa w piasku i zastanawiał się. - Tak, rozumiem... Proszę wybaczyć ten mój... egoizm. Wiem, do czego pan zmierza. Istotnie, mówiłem o tym kilku zaufanym osobom, przyjaciołom, ale oni nigdy...

- Nie twierdzę, że jest inaczej, ale mogło się wymknąć komuś. Mogę poznać nazwiska tych przyjaciół?

Riddle pocierał czoło. - Harriet Green, moja sekretarka. To ona zajęła się wyszukaniem tej willi. David Bentley, z którym razem żeglujemy. Mój najlepszy przyjaciel. I Terry Thompson, dyrektor opery, dobry znajomy Lizy. Wiedział o nas i pochwalał to. - Riddle zastanawiał się przez chwilę. - I jeszcze Lukę Williams, dzięki któremu mam alibi na piątki. Nazywa się to, że gramy razem w kręgle. Moja żona nie ma nic przeciwko temu. Uważa, że nie zaszkodzi mi trochę ruchu.

Beigler przy świetle księżyca zapisał nazwiska w notesie.

- I mówi pan, że pękła panu opona?

- Tak. Kiedy wsiadałem do wozu, odkryłem, że prawa opona siadła. W tym dniu Bates, mój szofer, ma wychodne. I sam zmieniłem koło. A że nie mam wprawy, zajęło mi to więc trochę czasu. Zazwyczaj trafiam do willi o dziewiątej. Nie martwiłem się zbytnio, wiedziałem, że Liza będzie na mnie czekała. Miałem pół godziny spóźnienia. I tak ją znalazłem... Tb wszystko. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Beigler zawahał się. Czyżby pokłócił się z tą kobietą i ją zabił? A potem namalował to „Mściciel” na plecach ofiary, dla uniknięcia podejrzeń? Sierżant, widząc tragiczne oblicze swego rozmówcy, odrzucił to podejrzenie.

- Nie - odparł, wstając. - Niech pan wraca do domu. Szef zechce chyba jeszcze z panem pomówić. Poślę dwóch moich ludzi, żeby bronili pana przed dziennikarzami.

- Dzięki. - Riddle też się podniósł. Patrzył na Beiglera. - Co za cholerny pech, prawda? - Zachwiał się, po czym wyciągnął rękę do policjanta, który nieco zdziwiony uściśnął ją. - Jestem panu wdzięczny za tyle zrozumienia.

- Jakoś to się ułoży, panie Riddle.

- Jakoś tak...

Riddle odwrócił się, podszedł do wozu i odjechał. Beigler pokręcił głową. Usiadł za kierownicą i ruszył z powrotem do willi „Mewa”.

*

W maleńkim pokoiku, w którym panował upał nie do zniesienia, przed małym ekranem siedział Poke Toholo. Był sam, rozkazał bowiem Chuckowi, żeby poszedł z Meg potańczyć i wrócił jak najpóźniej.

Otyły komentator przy mówieniu potrząsał mikrofonem. W tle widać było „gniazdko miłosne”. Nieco wcześniej można było zobaczyć, jak wynoszą z „Mewy” ciało Lizy Mendoza, okryte prześcieradłem, prosto do karetki szpitalnej.

- Tak więc Mściciel uderzył po raz drugi - mówił podekscytowany komentator. - Wczoraj Dean K. McCuen, jeden z najznakomitszych obywateli naszego miasta, został zastrzelony. A dziś Lizę Mendoza, utalentowaną skrzypaczkę, cenioną przez melomanów z Paradise City, znaleziono uduszoną. A na jej ciele został podpis mordercy. Teraz jedno pytanie dręczy każdego z nas. Nikt już nie pyta, czy ten szalenciec uderzy znowu, lecz *kiedy* uderzy i *kto* będzie następną ofiarą. Obok mnie stoi szef policji, kapitan Terrell...

Poke uśmiechnął się. Sytuacja rozwijała się fantastycznie. Terrell ostrzegał ludność przed popadaniem w panikę, nie miał jednak zbyt wielkich złudzeń, wiedział bowiem, że jego słowa nie dodadzą otuchy bogaczom z Paradise City. Wystarczy jeszcze jedno morderstwo, by rozpętał się prawdziwy szal. I to ostatnie morderstwo było przewidziane w planie Poke’a. Potem będzie miał miasto w swym ręku.

Tym razem trzeba będzie wciągnąć w to głębiej Chucka. Dotychczas cała jego współpraca ograniczała się do pomocy przy kradzieży strzelby i do przedziurawienia opony Riddle’a. Poke zyskał przez to czas na dotarcie do willi, gdzie czekała ta kobieta. Ale

następne morderstwo odbędzie się zupełnie inaczej. Nadszedł czas, żeby Chuck zasłużył sobie na pieniądze, które mu Poke obiecał. Tym razem chodzi o to, żeby się splamił. Żeby mu definitywnie zamknąć usta.

Poke znowu skupił uwagę na ekranie.

Komentator rozmawiał z kimś szeptem, ale dało się usłyszeć jego słowa: „Boże, czy pan jest tego pewien?”. Tamten pokiwał głową i odszedł. Komentator wytarł chustką spoconą twarz i zwrócił się do kamery:

- Dostałem właśnie informację, że Malcolm Riddle nie żyje. Wstrząsnęło to mną, podobnie jak teraz wami. Jadąc do domu, po przesłuchaniu przez policję, Malcolm Riddle stracił prawdopodobnie panowanie nad wozem i stoczył się ze skarpy w West Point...

Poke wstał i przeciągnął się. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się aż tak wiele. Spojrzał na zegarek. Minęła północ. Wyłączył telewizor, zdjął koszulę w kwiaty, niebieskie spodnie i wszedł pod prysznic. Potem włożył różową, nieco spłowiała piżamę, zgasił światło i wyciągnął się na łóżku.

Przeżywał raz jeszcze niedawne wydarzenia. Zamek przy wejściu dla służby w willi „Mewa” nie stawiał specjalnego oporu. Poke czekał w ciemnościach. Jak przewidywał, przyszła o dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć. Wiedział, że spotykają się o tej godzinie, podsłuchał bowiem rozmowę Luke’a Williama z innym członkiem Klubu, prowadzoną szeptem w barze, gdzie ich obsługiwał. Ukryty w pokoju za zasłoną, widział, jak się rozbiera. Niedbałym gestem odrzuciła daleko od siebie pończochy, które upadły blisko miejsca, gdzie stał Poke. Miał zamiar posłużyć się własnymi rękoma, skoro jednak sama dostarczyła mu broni, dlaczego nie miał z niej skorzystać...?

Szum samochodu wjeżdżającego do garażu przerwał jego wspomnienia. Wstał i wyjrzał przez okno.

Chuck i Meg szli do swego bungalowu. Drzwi zatrzasnęły się i szmer ich głosów doleciał do niego.

Poke położył się z powrotem do łóżka.

Cóż, jutro... ostatnie morderstwo. A potem wystarczy już tylko zbierać owoce.

Jakiś czas leżał jeszcze i rozmyślał. Wszystko odbywało się dokładnie tak, jak przewidywał. Od dzisiaj za tydzień zacznie płynąć forsa!

Wciąż jeszcze myślał o tych pieniądzach, kiedy zmorzył go sen.

*

Światło paliło się w apartamencie służbowym burmistrza na samym szczycie ratusza.

Była druga trzydzieści. Hedleyowi udało się wreszcie pozbyć Pete Hamiltona i pięciu innych dziennikarzy, którzy zadali mu chyba ze sto pytań; był wściekły, blady, okryty potem.

Monica, jego żona - czterdziestotrzyletnia, wzorcowa pani domu - siedziała w fotelu, kapitan Terrell naprzeciw niego.

- Uspokój się, Lawson - mówiła Monica uspokajająco. - Zdenerwowanie szkodzi twemu zdrowiu. Wiesz dobrze...

- Mam się uspokoić! - wybuchnął Hedley. - Uspokoić się! Czy zdajesz sobie sprawę, że ta piekielna historia może mnie kosztować stanowisko? Uspokoić się, kiedy jakiś obłąkany morderca krąży sobie po mieście! Dobrze ci mówić!

Monica i Terrell wymienili spojrzenia.

- Nawet jeśli stracisz ten fotel, czy to warte tych nerwów?

Hedley zacisnął pięści i westchnął z rozpaczą. - Ty nic nie rozumiesz. Błagam cię, Monico, idź spać. Chciałbym porozmawiać z naszym komendantem.

- Ależ, Lawson, ja to wszystko rozumiem.

- Nic a nic! Tak wygląda, jakbyś nie była w stanie pojąć, że Paradise City żyje jak na wulkanie!

- Doprawdy? - Wstała i wdzięcznym krokiem podeszła do szerokich panoramicznych okien. Zapatrzył się tam w rząd drapaczy chmur otaczających ratusz. Tylko nieliczne okna były jeszcze oświetlone. - Jak widzę, większość ludzi śpi. Na tym wulkanie, o ile wiem, żyje tylko kilku dziennikarzy i ty...

- Monico, czy mogłabyś mi zrobić tę przyjemność i iść spać?

- Dobrze, już idę. - Uśmiechnęła się do Terrella i skierowała ku drzwiom. - Frank, jak pan widzi, nasz Lawson ma wielkie poczucie obywatelskiego obowiązku... - dodała, nim wyszła z pokoju.

Długie milczenie zapadło po tych słowach.

- Monica nie zdaje sobie sprawy ze wszystkich konsekwencji takiej historii - odezwał się wreszcie Hedley. - Nie muszę panu przypominać, że obaj możemy jutro znaleźć się bez pracy...

Terrell wyjął fajkę z kieszeni i zaczął ją nabijać. - Tak pan myśli? - Spojrzał na burmistrza. - Lawson, już od dłuższej chwili mam ochotę panu coś powiedzieć. Moniki nie ma, więc powiem. Według mnie zachowuje się pan jak stara baba, która wmawia sobie, że pod jej łóżkiem ukrył się jakiś drab.

Hedley zrobił się purpurowy.

- Pan mówi do mnie? - Widok obojętnej twarzy szefa policji sprawił, że się opanował.
- Nie może pan mówić do mnie w ten sposób!

- Pewnie nie - przyznał gładko Terrell. - A teraz moja kolej, żeby mnie pan wysłuchał.
- Przez chwilę zapalał fajkę. - Od piętnastu lat stoję na czele tutejszej policji. Pracuję uczciwie, pan wie o tym równie dobrze jak ja. Fakt, że mamy na karku szaleńca, który zamordował dwie osoby, nie jest jeszcze powodem do paniki. A pan właśnie to robi. Powinien pan wiedzieć, że od czasu do czasu w jakimś mieście grasuje jakiś furiat. To nie jest wypadek bez precedensu.

Hedley końcami palców ścisnął czoło. - Tylko że to się zdarzyło właśnie w Paradise City!

- Zgoda, ale co Paradise City ma szczególnego? Powiem panu. Jest to miejsce, które wybrała sobie gromadka ludzi najbardziej aroganckich, nieokrzesanych i próżnych chyba z całego kraju. I oto zjawia się morderca. Lis wśród kur znoszących złote jajka. Gdyby takie dwa morderstwa zdarzyły się w jakimś innym mieście, nawet nie zadałby pan sobie tyle trudu, żeby przeczytać gazety.

- To mój obowiązek bronić mieszkańców, którym służę - odparł Hedley, z trudem opanowując drżenie głosu. - Gwiżdżę na to, co jest gdzie indziej. Liczy się tylko to, co się dzieje u nas.

- No właśnie! A co się dzieje? Wariat zamordował dwie osoby. Uleganie panice nie ułatwi nam odnalezienia go.

- Gada pan i gada, ale co pan zrobił? - krzyknął burmistrz z wściekłością.

- Staram się go znaleźć. Na to potrzeba czasu, ale w końcu położę na nim rękę. Na razie mam wrażenie, sądząc po pana zachowaniu, że pan i prasa stwarzacie klimat, o który chodzi mordercy.

Hedley poruszył się gwałtownie w fotelu. - Co mi pan insynuuje? Trzeba uważać, co się mówi! Wysiłki pana i pańskich ludzi nie przyniosły dotąd żadnych rezultatów. Dwa morderstwa! I co pan odkrył? Nic! A jaką ja niby stwarzam atmosferę, której pragnie ten szaleniec? Co pan przez to rozumie?

Terrell, niewzruszony, skrzyżował swe masywne nogi. - Większą część życia spędziłem w Paradise City. Otóż po raz pierwszy poczułem woń strachu. Czuję dotąd zapach pieniędzy, seksu, korupcji, skandali i występków. Ale woni strachu - nigdy. Teraz ją wdycham.

Hedley uczynił gest zniecierpliwienia. - Gwiżdżę na to! Oskarża mnie pan, że stwarzam klimat, którego pragnie morderca... Lepiej by pan zrobił, gdyby zechciał się wytłumaczyć!

- Czy zastanawiał się pan, co jest motywem tych dwu zbrodni? Dlaczego mordercy tak bardzo chodzi o rozgłos? Kiedy mam do czynienia z przestępstwem, zastanawiam się, jaki jest jego motyw. Bo trudno jest wyjaśnić zbrodnię bez motywu. Dlatego stawiałem sobie pytanie, jaki jest ukryty sens tych dwu zbrodni...?

Hedley zagłębił się w fotelu. - Czemu pan tak na mnie patrzy! To przecież pana robota, na Boga!

- Słusznie. To moja robota. I nie ma zbrodni bez motywu. Kiedy ma się do czynienia z wariatem, motyw nie jest jasny, ale istnieje. Wystarczy zadać sobie trud, żeby go odszukać. McCuen to produkt typowy dla tego miasta. Liza Mendoza była skrzypaczką. Nic nie łączy tych dwojga, oprócz jednego - ich śmierć jest środkiem do zdobycia rozgłosu przez człowieka, który nazywa siebie Mścicielem. Chytry to pseudonim. Ma swój ciężar gatunkowy. Ten, kto go nosi, ma prawo do wielkich nagłówek w gazetach. Dzięki niemu posiał groźbę w mieście. Dopóki nie znajdę czegoś innego, uważam, że taki jest motyw: wywołać panikę w Paradise City.

- To śmieszne! - rzucił sucho Hedley. - Dlaczego jakiś wariat chciałby wywołać panikę?

- A jednak właśnie to robi - odparł spokojnie Terrell. - Nie twierdzą, że odkryłem prawdę, ale jest to najbardziej prawdopodobne.

Hedley rozmyślał przez chwilę, potem odsunął fotel. - Jestem zmęczony. Mam dość na dzisiejszy wieczór. Niepotrzebnie się zdenerwowałem, Frank... No dobrze... Staram się pana zrozumieć. Nie mam potrzeby mówić panu, co się jutro będzie działo...

Terrell milczał.

Hedley pomyślał o jutrzejszej prasie, o telefonie, który będzie dzwonił bez przerwy, o Peterze Hamiltonie, który doleje oliwy do ognia w wiadomościach o dziesiątej. W końcu spytał: - Pan naprawdę wierzy, że ten szaleniec chce sterroryzować miasto?

- Tak to wygląda.

- A co my powinniśmy zrobić?

- Teraz zależy to od pana. - Terrell przechylił się i wyrzucił zawartość fajki do popielniczki. - A nim wrócę do pracy, chciałbym wiedzieć, czy pan wciąż jeszcze jest po mojej stronie?

- Po pańskiej stronie? - Hedley przeszył go wzrokiem. - Oczywiście, że tak!

- Naprawdę? - upewniał się Terrell, a jego twarz wyglądała jak wykuta z granitu. - Przed chwilą chciał mnie pan prawie odwołać... Chce pan zmienić szefa policji?

Hedley obruszył się. - Wielkie nieba, dlaczego? Jeżeli ktoś w ogóle może położyć ręce na karku tego gnojka, tym człowiekiem jest pan.

Terrell wstał. - Istotnie, jeśli ktoś jest w stanie dopaść tego gnojka, to chyba tylko ja. A więc trzeba zażegnać atmosferę paniki.

- Święte słowa, Frank! - zawołała wtedy Monica, stając nagle w drzwiach. - Trzeba było, żeby mu ktoś powiedział kilka słów prawdy!

Obydwaj mężczyźni odwrócili się. Zdali sobie sprawę, że Monica nie uroniła ani jednego słowa z ich rozmowy.

Hedley odprężył się nagle. Choć miał zakłopotaną minę. - Ach, te nasze żony! Frank, niech pan uwolni mnie od tej kobiety!

Terrell mrugnął do Moniki. - Gdyby nie to, że mam już jedną, trzymałbym pana za słowo.

Kiedy zabierał się do odejścia, Hedley spytał z lekkim wahaniem w głosie: - Chce pan, żebyśmy wstąpił jutro do komisariatu?

- Jest pan zawsze mile widziany.

Terrell uścisnął rękę Moniki. Potem wszedł do windy, gotowy stawić czoło czyhającej na dole kamerze telewizyjnej.

*

Jack Anders, portier hotelu Plaża Beach, obserwował bulwar swymi zielonymi przenikliwymi oczami. Skrzyżował wielkie dłonie na plecach i stał tak na czerwonym dywanie przed majestatycznym wejściem do największego hotelu w mieście.

Anders, weteran drugiej wojny światowej, odznaczony medalami za męstwo, był popularną postacią na bulwarze. Od dwudziestu lat pełnił swą funkcję w Plaża Beach.

Od rana ruch był przeważnie niewielki i Anders korzystał z chwili wytchnienia. Za dwie godziny zacznie się gorączkowa krzątanina, jak zwykle przed śniadaniem. Otwieranie drzwi aut, wskazywanie szoferom miejsca postoju, udzielanie odpowiedzi, z ręką przy daszku, na różne idiotyczne pytania, obsługa gości i zgarnianie napiwków. Mieszkańcy Plaża Beach nie wyobrażali sobie, że mogą zwrócić się z czymś do niego i nie wsunąć mu do ręki bodaj dolara. Jednak o dziewiątej trzydzieści nic takiego nie absorbowало jego uwagi.

Policjant Paddy McNeil, Irlandczyk w dojrzałym wieku, o imponujących barach, który pełnił służbę na bulwarze - interweniował w razie tworzenia się korków, udzielał pomocy starszym ludziom - podszedł do Andersa, żeby z nim trochę pogadać.

Byli przyjaciółmi i przyjaźń ich pogłębiała się z biegiem lat. Pierwszy z nich, bez względu na pogodę - jak strażnik na wysuniętej placówce - pilnował hotelu, drugi - przemierzał bulwar tam i z powrotem. I co dwie godziny pozwalał sobie na chwilę wypoczynku i pogaduszki z portierem.

- Jak tam się ma twój przyjaciel... Mściciel? - spytał Anders, kiedy policjant zbliżył się do niego. - Słuchałem przed chwilą radia. Wszystkie moje staruszki aż susiają ze strachu.

- Nie tylko te twoje staruszki - odparł McNeil ponuro. - Oprócz kilku starszych policjantów, skierowanych do pilnowania ruchu ulicznego, cała reszta ściga to ścierwo. Dwie ciężarówki pełne posiłków przyjechały dzisiaj z Miami. I guzik to pomoże! Co te pedały z Miami wiedzą o Paradise City!

- Myślisz, że Hamilton ma rację? - spytał niewinnie Anders, który lubił przekomarzać się z McNeilem.

- Hamilton? - mruknął tamten z pogardą. - Nigdy nie słucham tego pyskacza. Tylko jątrzy niepotrzebnie. - Zerknął z ukosa na Andersa. - A co takiego znów powiedział?

- Że to jest pomyłony bandzior, który uwziął się na bogaczy.

McNeil zsunął czapkę na oczy, podrapał się w kark. - Nie trzeba być pomyłonym bandziorem, żeby nie lubić bogaczy. Ja też nie mogę powiedzieć, że bym ich kochał.

Anders uśmiechnął się pod wąsem. - Ale oni są także pożyteczni.

- O tak. Chciałbym mieć twój zawód...

- No, to nie najgorsza posada. - Anders silił się, żeby nie przybrać zarozumiałej miny.

- Rzecz w tym, żeby umieć sobie z nimi poradzić... A ty myślisz, że przyskrzynisz tego wariata?

- Ja? - McNeil potrząsnął głową. - W żadnym razie. Już od dawna sobie darowałem. Jestem taki jak ty: nie wysilam się. Ale szef go złapie. Terrell ma głowę na karku. Oczywiście zajmie to trochę czasu.

Lśniący rolls zatrzymał się przy krawężniku i Anders, zostawiając McNeila, pobiegł szybko i otworzył drzwi.

- Dzień dobry, Jack - padło wtedy. Potężny, okazały mężczyzna, który wyszedł z wozu, nazywał się Rodney Branzenstein i był sławnym tutaj adwokatem; każdego ranka przyjeżdżał z wizytą do swych klientów z Plaża Beach. - Widział pan już dzisiaj panią Dunc Browler?

- Jeszcze za wcześnie, proszę pana - odparł Anders. - Zejdzie dopiero za kwadrans.

- Jak zapyta o mnie, niech pan powie, że jeszcze nie przyjechałem. - Branzenstein wepchnął dolara w wyciągniętą już dłoń portiera i wszedł do hotelu.

Szofer siedzący za kierownicą rollsa odjechał, a McNeil zbliżył się do Andersa.

- Powiedz no, Jack, nie łapią cię od tego kurcze w palcach? - rzucił z uśmiechem.

- Jakoś nie, ale ty nie myśl, że to samo przyszło. To są lata całe praktyki.

- Poważnie? - Policjant potrząsnął głową. - Ja tam kręcę się tyle samo lat tutaj i nikomu nigdy nie przyszło na myśl, żeby mi wsunąć bodaj jednego marnego dolara.

- Coś widocznie we mnie widzą - odrzekł Anders. - Kwestia szczęścia...

Drobniutka staruszka z włosami o niebieskim odcieniu, z wymalowaną twarzą, z palcami ociekającymi brylantami, wyszła chwiejnym krokiem z hotelu. Anders natychmiast znalazł się u jej boku.

- Pani Clayton... - zaczął Anders, a McNeil zdumiał się na widok niedowierzania malującego się na ogorzałej twarzy portiera. - Ależ dokąd pani idzie, pani Clayton?

Staruszka, mizdrząc się, spojrzała w górę na Andersa wzrokiem pełnym adoracji i uśmiechnęła się. - Mam ochotę na maleńki spacer.

- Ależ, pani Clayton! - rzucił Anders z takim niepokojem w głosie, że nawet McNeil przestraszył się. - Czy doktor Lowenstein wyraził zgodę na ten maleńki spacer?

- Prawdę mówiąc, Anders - odparła z miną winowajczyny - nic takiego nie powiedział.

- Bardzo by mnie to zdziwiło! - Anders ujął delikatnie za ramię maleńką damę i skierował ją z powrotem do hotelu. - Pani usiądzie grzecznie w środku, pani Clayton. Poproszę pana Bevana, żeby zatelefonował do doktora Lowensteina. Nie ma mowy, żeby pani pozwolił na takie szaleństwo!

- Jezu słodki! - mruknął McNeil, zostając sam. Scena ta zrobiła na nim naprawdę wrażenie.

Kilka minut później Anders zjawił się z powrotem. Stał na czerwonym dywanie, by pozwolić wypocząć obolałym nogom. McNeil ciągle jeszcze nie odchodził, oddychał z pewnym trudem, a jego małe oczy błyszczały jak lustro.

- To była wdowa po Henrym Claytonie - objaśnił mu Anders. - Mąż odwalił kite kilka lat temu i zostawił jej pięć milionów dolarów.

McNeil otworzył szeroko oczy. - Co? Ten chodzący trup wart jest pięć milionów?

Anders spojrzał na niego poważnie. - Pat! Nie powinno się mówić o niedoszłych zmarłych tak bez szacunku!

- No cóż... - Milczeli przez dłuższą chwilę, po czym McNeil odezwał się znowu: - Ale ty poszturchiwałaś ją trochę?

- Tak trzeba ich traktować. Ona to ubóstwia. Wie, że tylko ja jeden nią się interesuję.

- A masz więcej takich jak ona w tej chacie?

- Hotel jest nimi zapchany. - Anders kiwał głową. - Stare niedołęgi nadziane forsą... to coś bardzo smutnego.

- Co do mnie, to wcale bym się tutaj nie smucił. No dobrze... chyba już cię zostawię z tymi twoimi wariatkami... - Wahał się przez chwilę, po czym zapytał: - A ile ona ci wsunęła?

Anders mrugnął do niego z wyższością. - To tajemnica zawodowa, Paddy.

- No cóż! Ja chyba pomyliłem się w wyborze zawodu!

I McNeil oddalił się, wzdychając. Jego duże buty stuknęły głośno o bruk.

*

Wyciągnięty na tarasie nocnego klubu Pelota Club, Poke Toholo widział to odejście przysadzistego policjanta. Obserwował go przez lunetę strzelby.

Od trzech godzin siedział skulony na dachu. Trzypiętrowy budynek wznosił się w odległości stu metrów od Plaża Beach. O szóstej rano przyjechał tu buickiem; był pewien, że o tej porze nikt nie zauważy, jak wychodzi z samochodu z bronią w rękę.

Znał Pelota Club, jeden z najstarszych budynków w mieście. Drabina pożarowa, znajdująca się na tylnej fasadzie, uważana była za obiekt godny obejrzenia, podziwiali ją wielu turystów. Wdrapanie się na dach nie przedstawiało żadnych trudności, ale Poke, leżąc na brzuchu na tarasie, za niską balustradą, rozmyślał o tym, że zejście na ulicę będzie znacznie bardziej niebezpieczne. Bulwar zapełni się ludźmi, także w sąsiednich budynkach będzie ich mnóstwo, ktoś może go zobaczyć. Był przygotowany na to ryzyko.

Spojrzał na zegarek. Dziewięta czterdzieści trzy. Znów przytknął oko do lunety i oglądał uważnie bulwar.

Ruch uliczny wzrastał. Przechodnie szli w zwartych szeregach w jedną i drugą stronę. Nagle Indianin odkrył Chucka i potrząsnął głową z aprobatą. Wspólnik zjawiał się zgodnie z umową. Nieco za wcześnie co prawda, ale to nie miało znaczenia. W czystej koszuli w białą i czerwoną kratę i w szarych spodniach nie różnił się niczym od młodych turystów, którzy w tym sezonie masowo nawiedzali Paradise City. Spacerował powolnym krokiem i czytał gazetę.

Poke tak ustawił lunetę, by zobaczyć wyraźnie twarz Chucka. Chłopak pocił się. Było to zrozumiałe. Miał wykonać delikatne zadanie. Niemal tak niebezpieczne jak zadanie Poke'a.

Indianin zerknął znowu na zegarek. Jeszcze kilka minut - orzekł i skierował strzelbę w stronę wejścia do Plaża Beach, celując prosto w głowę Andersa. Świetnie! Był pewien, że nie spudłuje.

*

Portier, nieświadomy tego, co się knuje, obserwował bulwar, odpowiadał na ukłony, podnosił rękę do daszka, jeśli ktoś zasłużył na ten honor, i wygrzewał się w słońcu.

Odkąd pojawiły się spódniczki mini, odsłonięte pępki i przezroczyste sukienki, egzystencja Andersa stała się bardziej interesująca. Z prawdziwą radością patrzył na paradujące dziewczęta. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, jego byt materialny zabezpieczali starcy, grubasy i bogacze, ale wcale mu to nie przeszkadzało doceniać w sposób właściwy pary smukłych nóżek, zgrabnego tyłeczka, piersi uwypuklonej nowomodnym stanikiem.

Wtedy właśnie ukazała się pani Dunc Browler.

Anders czekał na nią. Wychodziła niezmiennie o tej porze. Uhonorował ją unizonym ukłonem, któremu towarzyszył stosowny uśmiech.

Pani Dunc Browler była kobietą krępą i dość korpulentną, zbliżała się już do siedemdziesiątki. Ta jej „korpulentność” wynikała z tego, że od lat raczyła się pięć razy dziennie solidnymi posiłkami, w efekcie czego kościec jej pokryła tak gruba warstwa tłuszczu, że słoń mógłby jej pozazdrościć. Stałe mieszkanie w hotelu stanowiło jedno z jej licznych dziwactw. Rozumie się, że była bogata. Jak wielka była jej fortuna? Nikt nie wiedział. Ale fakt, że apartament pani Dunc Browler, jeden z najpiękniejszych w Plaża Beach, kosztował trzysta dolarów dziennie, wskazywał na niebagatelne dochody.

Kiedy owdowiała przed czterema laty - a była szaleńczo zakochana w mężu - nabyła tłąstą sukę z obwisłym brzuchem za całe trzy dolary. Anders uważał, że sporo przepłaciła. To prawda, że było to miłe stworzenie, ale portier w swoim snobizmie zarzucał jej całkowity brak rasy. Dla jego bogatej klientki suczka Lucy była jednak najdroższym skarbem, najukochańszym dzieckiem, przyjaciółką i towarzyszką, i Anders, znawca słabostek ludzkich, pogodził się w końcu z tym.

Kiedy pani Dunc Browler zjawiła się - w białych powiewnych woalach, które wprawiłyby w zachwyt właściciela pomniejszej przedzalni, w olbrzymim kapeluszu na

głowie, naszpikowanym sztucznymi czereśniami, brzoskwiniami i cytrynami - żeby wyprowadzić na spacer Lucy, Anders przeszedł do akcji.

- Dzień dobry - zawołał, pochylając się w ukłonie. - Jak się dzisiaj czuje nasza Lucy?

Pani Dunc Browler była zachwycona. Ten Anders to doprawdy czarujący człowiek. Taki uprzejmy... Zainteresowanie, jakie okazywał Lucy, napełniło jej serce radością.

- Dobrze. Całkiem dobrze. - I patrząc radośnie na suczkę, która stała z wywalonym ozorem, dodała: - No, powiedz dzień dobry miłemu Andersowi, Lucy najdroższa.

Suczka popatrzyła na Andersa zblazowanym wzrokiem przeżartego zwierzęcia, przykucnęła i na czerwonym dywanie utworzyła się mała kałuża.

- Och! - krzyknęła pani Dunc Browler z rozpaczą. - Powinnam była wyprowadzić wcześniej mój skarb. To moja wina.

Trzeba było zdjąć dywan, kazać go wyczyścić, położyć inny, ale to wcale nie zdenerwowało Andersa. Stara płaciła przecież trzysta dolarów dziennie, dlaczego więc miałby się martwić.

- Takie małe wypadki zdarzają się, proszę pani. A przy tej pogodzie będzie pani miała miły spacer.

- Tak. Cudowny poranek. Kiedy Lucy jadła śniadanie, słuchałam śpiewu ptaków. One...

I to były ostatnie słowa pani Dunc Browler.

Kula przedziurawiła śmieszny kapelusz i utkwiała w jej mózgu. Staruszka zwała się na czerwony dywan jak słoń rażony piorunem.

Przez ułamek sekundy Anders patrzył na ciało leżące u jego stóp, później wyszkolenie żołnierskie wzięło górę. Swego czasu widział tak wielu ludzi, którzy padali z czaszką roztrzaskaną od kul ukrytych w zasadzce wyborowych strzelców, że natychmiast zrozumiał, co się stało. Odwrócił się na pięcie, uniósł głowę do góry i zaczął wzrokiem przeszukiwać przeciwległe dachy.

Dookoła niego kobiety piszczały, mężczyźni potracali się łokciami, samochody zatrzymywały się z przeraźliwym piskiem opon. A sam Anders zauważył sylwetkę znikającą za balustradą Pelota Club.

Nie tracił czasu na podniesienie ręki czy wołanie. Roztrącił tłum i pobiegł w kierunku nocnego lokalu na końcu bulwaru.

- Jack!

Nie zatrzymując się, portier odwrócił głowę i zobaczył McNeila, który pędził za nim.

- On tam jest na górze, ten drań - rzucił zadyszany, wskazując klub nocny. - Chodź, Paddy! Złapiemy go!

Ale wiek, dobre życie i umiarkowane rozkoszowanie się Cutty Sark sprawiły, że nogi zaczęły mu ciążyć. Kiedy McNeil go dogonił, tempo biegu Andersa zmniejszyło się.

- Widziałem go! - dyszał. - Drabina pożarowa, Paddy!

McNeil z pomrukiem wyprzedził portiera i zanurzył dłoń w kaburze. Na widok pistoletu gapie wytrzeszczyli oczy i pospiesznie zrobili mu miejsce. Nikt nie miał ochoty mu pomóc. To była sprawa policji. Po co mieszać się do tego?

Poke Toholo był już prawie na dole drabiny, kiedy zza budynku wyłonił się McNeil. Obydwaj spostrzegli się równocześnie. Policjant patrzył na strzelbę Indianina. Zdyszany skierował na Poke pistolet. W momencie kiedy zaciskał palec na cynglu, poczuł jednak brutalne uderzenie w pierś i upadł na plecy.

Zwinnym ruchem Poke zeskoczył na dół i czym prędzej pobiegł w stronę parkingu. A McNeil wyprostował się z trudem i podniósł do góry pistolet. Indianin odwrócił się na ten ruch. Na widok broni wymierzonej w niego odskoczył na bok i McNeil chybił. Wtedy Poke zatrzymał się, wycelował starannie w głowę policjanta i wypalił.

Biegł dalej, pilnie bacząc, czy nie grozi mu jakieś kolejne niebezpieczeństwo.

Na parkingu było nie więcej niż tuzin samochodów. Właściciele zostawiali je tam na noc. Nie tracąc ani chwili, Poke wsunął się do pierwszego wozu, który dał się otworzyć, zamknął drzwi za sobą i położył się na podłodze przy tylnym siedzeniu.

Anders, dysząc ciężko z wysiłku, wbiegł akurat na parking i zobaczył ciało McNeila. Krótkie spojrzenie wystarczyło mu, by stwierdzić, że nic nie może już zrobić. Zabrał pistolet zmarłego i pobiegł do wyjścia w przekonaniu, że tamtędy uciekł morderca. W ślad za nim trzej obywatele, sini ze strachu, ociągając się, weszli na parking. Kiedy dostrzegli, że Anders ściska w ręku pistolet, i rozpoznali uniform portiera z Plaża Beach, nabrali odwagi i pobiegli za nim.

Poke czekał spokojnie, aż znikną mu z oczu, potem wytarł starannie chusteczką strzelbę, myśląc ze smutkiem, że będzie musiał się z nią rozstać. Ukrył broń pod siedzeniem.

Teraz na parkingu zrobił się zamęt. Syreny policyjne i karetki pogotowia ostrymi dźwiękami wypełniły powietrze. Poke wysunął się z wozu i bez pośpiechu wmieszał się w tłum, który zgromadził się przy zwłokach McNeila. Ciekawscy uważali go za jeszcze jednego gapia. Kiedy przyjechała policja, stał spokojnie, wybałuszając oczy tak jak wszyscy. Pozwolił się odepchnąć razem z innymi. Gdy dotarł do bulwaru, odłączył się od podnieconego tłumu i spokojnym krokiem podszedł do buicka.

Tymczasem Chuck, z twarzą okrytą potem, wcisnął się w gromadę przechodniów, którzy tłoczyli się wokół zwłok pani Dunc Browler. Nikt nie zwracał uwagi na Lucy. Otluszczona suka, przerażona, skuliła się na brzegu chodnika. Chuck pochylił się nad nią, chcąc ją złapać za obrożę. Lucy nie lubiła obcych i cofnęła się. Chuck zaklął i chwycił ją szybko. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

Kiedy potem tłum rozproszył się, policja przywróciła porządek i pracownicy hotelu nakryli prześcieradłem zwłoki pani Dunc Browlei, dyrektor hotelu, również miłośnik zwierząt, przypomniał sobie o Lucy. On to właśnie odkrył tabliczkę - taką jak przy walizkach - przyczepioną do obroży Lucy, na której widniało wypisane dużymi literami jedno słowo: MŚCICIEL.

4

Wiadomość, że w azylu dla próżnujących bogaczy, jeszcze bardziej renomowanym niż Monte Carlo, grasuje bezkarnie morderca, narobiła hałasu w prasie całego kraju. Dziennikarze, reporterzy różnych telewizji i inni zlecieli się do Paradise City jak stado sępów, zajęli wszystkie hotele, motele, gotowi nawet z braku miejsca do biwakowania w namiotach.

Przedmiotem podziwu był portier, Jack Anders, on jeden widział Mściciela, lecz ulotnił się, zanim udało się dziennikarzom dotrzeć do niego. Burmistrz Hedley odbył krótką naradę z dyrektorem Plaża Beach i przekonał go, że bezpieczeństwo Andersa wymaga, żeby na jakiś czas ukrył się u swego brata w Dallas.

Beigler przesłuchiwał teraz portiera w obecności Terrella i Hedleya. Sierżant wiedział, że ma do czynienia z byłym żołnierzem, człowiekiem bystrym i spostrzegawczym, któremu można zaufać. Anders w przeciwieństwie do wielu ludzi, którzy znaleźliby się na jego miejscu, nie miał skłonności do koloryzowania, żeby zrobić się ważnym. Beigler był pewien, że informacje podane przez portiera są prawdziwe.

- Jack, nie musimy się już z niczym spieszyć. Zacznijmy jeszcze raz od początku - powiedział i zajrzał do notatek. - Pani Browler wychodziła zawsze z hotelu o dziewiątej czterdzieści pięć... Czy tak?

Anders skinął głową.

- To był jej stały zwyczaj? Anders znowu skinął.

- Od dawna?

- Odkąd pani Browler mieszkała w hotelu. Mniej więcej od pięciu lat.

- Była osobą powszechnie znaną. Uchodziła za ekscentryczkę, czy tak?

- Jak najbardziej.

- A więc dużo osób wiedziało, kiedy wychodzi z hotelu?

- Tak.

- Dobrze. Ten punkt mamy ustalony. Powróćmy do morderstwa. Pan z nią rozmawiał, kiedy do niej strzelano. Niech pan nam jeszcze raz opisz tę scenę.

- Mówiłem już panu. Na widok rany na głowie i ze sposobu, w jaki upadła, zrozumiałem natychmiast, że oddano strzał z broni o dużej sile. Rozejrzałem się dokoła. Było kilka miejsc, które mogły stanowić dobrą kryjówkę dla wyborowego strzelca, ale najodpowiedniejszy był dach Pelota Club. Podniosłem oczy i zobaczyłem mordercę.

- Wróćmy jeszcze raz do tego szczegółu i zastanówmy się. Spróbujmy ustalić szczegóły. Tym razem nie interesują mnie fakty, lecz pana wrażenia. Czy pan rozumie, o co chodzi? Czy będą prawdziwe, czy nie - nie ma znaczenia. Proszę mi opisać po prostu, jak to było?

Anders zastanawiał się chwilę. - Zauważyłem jakiś ruch. Ale nie człowieka... coś się poruszyło. Zrozumiałem, że ktoś jest tam na górze. Po sposobie, w jaki się ustawił, odgadłem, że to był ten, który strzelał. Puściłem się w pogoń...

- Ja nie o to pytam - wtrącił Beigler, tłumiąc zniecierpliwienie. - Już mi pan to opowiadał. Zauważył pan ruch i zrozumiał, że na dachu znajduje się jakiś człowiek. To jasne. Chciałbym usłyszeć, jakie wrażenie zrobił na panu ten człowiek.

Anders zakłopotany patrzył to na Terrella, to na Hedleya, po czym wzrok jego powrócił do Beiglera.

- Ale to są fakty.

- I mamy je tutaj zanotowane - Beigler poklepał notes. - Teraz niech pan mówi swobodnie. Zauważył pan człowieka, który skulił się za murkiem. Białego czy kolorowego? Niech się pan długo nie zastanawia... Proszę tylko podzielić się z nami swym wrażeniem. Pali licho, czy prawdziwym, czy fałszywym. A więc to był biały czy kolorowy?

- Kolorowy. - Anders przerwał i potrząsnął głową. - Nie wiem, dlaczego tak myślę. Naprawdę... Zauważyłem tylko jakiś ruch. Powtarzam, że nie widziałem tego człowieka.

- Ale ma pan wrażenie, że to był kolorowy?

- Nie wiem... Chyba tak... Ale może był opalony. Nie mogę przysiąc. Zdaje mi się, że miał ciemną skórę.

- Jak był ubrany?

Anders tym razem zachmurzył się. - Skąd mogę wiedzieć? Mówiłem już panu...

- Czy miał czarną koszulę, czy białą? Albo fantazyjną?

- Chyba fantazyjną. - Świadek pocił się. - Robię, co mogę, żeby panu pomóc, ale nie chcę, żeby mnie pan zmuszał do kłamstwa.

Beigler zwrócił się do Terrella, który dał znak, że ma odpuścić.

- Doskonale, Jack, dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Tymi słowami zakończył przesłuchanie.

- To ma być posuwanie się naprzód?! - krzyknął Hedley, kiedy Anders wyszedł. - Tymi pytaniami zmusiliście go tylko do fałszywych zeznań!

- Anders ma wyćwiczony umysł - powiedział spokojnie Terrell. - Jego przeszłość wojskowa ma swoje znaczenie. Wolę się opierać raczej na jego wrażeniach niż na konkretnych zeznaniach innych naszych świadków. Anders nam naprawdę pomógł.

Hedley wstał, wruszając ramionami. - Trzy morderstwa! I do czego doszliśmy? Do niczego!

- Pan ma swoje zdanie, ale niech pan posłucha mojego - odparł Terrell. - Lawson, pan nie orientuje się w pracy policji. Chwilowo mamy jeden ślad konkretny i jeden abstrakcyjny. Wiemy już, że ten człowiek nie pracuje sam, ktoś przedziurawił oponę Riddle'a, żeby morderca mógł się spotkać z Lizą Mendoza bez świadków. Ktoś przypiął tabliczkę do obroży suczki pani Browler. A więc morderca ma współnika. Istnieją pewne podstawy, żeby przypuszczać, że jest to kolorowy. Wbrew temu, co pan myśli, nasze ręce nie są tak całkiem puste.

- Ale dokąd nas to zaprowadzi? Ten maniak...

- Proszę się nie denerwować, Lawson. Niech pan idzie ze mną.

Terrell ujął Hedleya za ramię i zaprowadził go do biura na końcu korytarza. Przy wszystkich biurkach gromadzili się ludzie. Każdy z inspektorów zajęty był jakimś świadkiem, który widział, jak upadła pani Browler, albo słyszał o zamordowaniu McCuena lub też wiedział coś o Riddle'u i jego kochance. Przejęci mieszkańcy gotowi bjdli służyć informacjami przeważnie bezwartościowymi. Ale mogła się znaleźć wśród tych zeznań wskazówka, która pozwoliłaby policji zbliżyć się do Mściciela. Kolejka czekających ciągnęła się przez korytarz i schody aż na ulicę.

- Jedna z tych osób, jeśli się uda, udzieli nam być może jakiejś wskazówki - zaczął Terrell. - Lawson, to jest właśnie praca policji. Prędzej czy później go złapiemy.

- A do tego czasu będzie może dalej zabijał.

- Prędzej czy później popełni jakiś błąd. Wszyscy je popełniają.

- A więc co mam powiedzieć prasie?

- Ze śledztwo trwa. Ani słowa więcej... Ach! To bardzo ważne... Jeśli potrzeba panu jakiejś ofiary, proszę ze mnie zrobić kozła ofiarnego. Niech pan tylko powie, że robimy wszystko, co jest w naszej mocy.

Hedley kiwnął głową, potem zszedł schodami, na których ludzie złani potem stali cierpliwie, prosto do dziennikarzy. Terrell wrócił tymczasem do biura, gdzie czekał na niego Beigler. Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Świetnie! Teraz, kiedy sobie poszedł, podsumujemy wszystko - powiedział Terrell, siadając.

Chwycił kartkę papieru, na której robił notatki podczas przeglądania zeznań od współpracowników.

- Chyba potrafimy nakreślić jakąś koncepcję. Może nie całkiem odkrywczą, ale chociaż po części. Intrygują mnie zawsze motywy zbrodni... Te wszystkie trzy ofiary były znakomitymi brydżystami i należały do Klubu Pięćdziesięciu - podniósł głowę znad notatek. - Co wiemy o Klubie Pięćdziesięciu?

Beigler znał lepiej Paradise City niż Terrell; szef policji wiedział, że wystarczy zadać mu jakieś pytanie dotyczące miasta, by otrzymać wyczerpującą odpowiedź.

- Klub Pięćdziesięciu? Tb takie snobistyczne towarzystwo, starannie dobierane. Stawki dla wstępujących wynoszą jakieś piętnaście tysięcy dolarów, a składki są dwukrotnie wyższe. Wybrani mogą się uważać za śmietankę elity Paradise. Nikt jednak nie zostanie przyjęty, jeśli nie gra w brydża jak zawodowiec.

- Rozumiem, a McCuen, Riddle i pani Browler byli członkami Klubu Pięćdziesięciu. To może mieć jakieś znaczenie. Albo też nic nie znaczy. Trzeba pogadać z kimś z tego klubu. Możliwe, że tam właśnie kryje się motyw zbrodni. Inny ważny punkt: ten morderca orientuje się doskonale w zwyczajach swych ofiar. Wiedział, że pani Browler wychodzi z hotelu o dziewiątej czterdzieści pięć, że McCuen wyjeżdża zawsze o dziewiątej trzy i że znajdzie Lizę Mendoza w willi w piątek wieczorem. Wniosek: to ktoś z tutejszych mieszkańców.

Beigler potwierdził skinieniem głowy. - A więc musimy szukać człowieka, który miał możliwość zdobycia informacji z pierwszej ręki, kogoś wtajemniczonego... może pracownika klubu... Przesłucham osoby, które wymienił Riddle, nim się zabił...

Terrell wyciągnął rękę po fajkę. - Joe, ty przypuszczasz, że to mógł być kolorowy?

- Obaj możemy tak sądzić, ale wygląda na to, że Anders tak naprawdę myśli.

Zadzwoił, telefon. Terrell podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę i chrząkał przy tym, w końcu rzekł: - Jasne, dzięki... tak, przyslijcie mi raport. - Odłożył słuchawkę. - To był

Melville. Porównali kule. Tymi samymi strzelano do McCuena i pani Browler, to jedyne, co dało się ustalić. Danvaz rozpoznał też kaliber. Co nam jednak mało daje...

- Tyle że ten bydlak może już nie mieć tej broni - zauważył Beigler.

- Ale może też gdzieś ukraść kolejną, co? - odparł Terrell, zapalając fajkę.

*

Lepski nie lubił wielu rzeczy, ale tak najbardziej to nienawidził dwóch - przesłuchiwanie ludzi i pisanie raportów. W jego oczach każdy, kto zgłaszał się dobrowolnie jako świadek, nadaje się do zakładu dla debilów. Pogodził się jednak, że zbieranie tego rodzaju informacji stanowi część pracy policji. Jeśli mógł uniknąć tej pańszczyzny, wymigiwał się, ale gdy musiał się tym zająć, tak jak teraz, potrafił przezwyciężyć swą niechęć. Patrzył tylko zrozpaczonym wzrokiem na wciąż rosnącą kolejkę tych czekających cierpliwie na przesłuchanie.

Max Jacoby urzędował przy sąsiednim biurku. Skończył właśnie ze starym gadatliwym jegomościem, który był obecny przy śmierci pani Browler. Stary potrafił powiedzieć tylko tyle, że nosiła kapelusz zdobiony sztucznymi owocami, i usiłował przekonać Jacoby'ego, że morderca był... wrogiem takich nakryć głowy! Jacoby'emu udało się pozbyć swego rozmówcy w momencie, kiedy Lepski żegnał się wreszcie ze starą damą, która tłumaczyła mu, że skoro uroczy piesek pani Browler widział mordercę, to czemu policja nie działa w tym kierunku?

Obaj policjanci spojrzeli na siebie.

- Życie nie jest takie proste, co? - zauważył Jacoby z nutką znużenia w głosie.

Świadom wyższości swego stopnia służbowego Lepski spiorunował kolegę wzrokiem.

- Taka jest praca policji - odpowiedział. - Jeśli się chce znaleźć wodę, trzeba kopać głęboko.

Jacoby potrząsnął głową z udanym zdumieniem. - A my szukamy tutaj wody?

Jakiś stary pocziwiec, tłuściutki, biednie ubrany, siadł ociężale przy stole Jacoby'ego, który tłumiąc wyrazy niechęci, sięgnął po nowy druk zeznania.

- Teraz pana kolej, tak? Nazwisko i adres?

Same tępaki - myślał Lepski. - Już trzy godziny takiego trucia! I tylko kretyni szukający okazji do zabicia czasu!

Wbił ostatnie zeznanie na szpikulec. W momencie kiedy wyciągnął rękę po papierosa, woń perfum uderzyła go w nozdrza. Podniósł oczy. Jakaś dziewczyna zajęła miejsce na krześle na wprost niego i przyglądała mu się ze współczującą miną wielkimi oczami.

- Wygląda pan na kompletnie wyczerpanego, mój biedny przyjacielu. W tym upale...

Lepski zadrżał. Podobne kociaki widuje się tylko w *Playboyu*. Taka dziewczyna może zmarłego postawić na nogi: blondynka, kapitalne ramiona, wielkie fiołkowe oczy, rzęsy takie, że krowa pękałaby z zazdrości. Lepski gwizdnął cicho na widok wspaniałości biustu, którym była obdarzona, i nagle uświadomił sobie, że Jacoby, tłusty stary jegomość, czterech inspektorów przydzielonych przez komisariat w Miami i trzech policjantów pilnujących porządku w kolejkach właśnie wpatrywało się w dziewczynę z otwartymi ustami. Gniewnym wzrokiem obrzucił pokój i koledzy bez entuzjazmu powrócili do pracy.

- Proszę? - warknął swym głosem policjanta.

Zazwyczaj ten ostry ton wywierał miażdżący efekt, na dziewczynie nie zrobił jednak najmniejszego wrażenia. Poprawiła tylko sobie jakby coś niewygodnego pod biustem, pogłaskała pukiel włosów koloru miodu i powtórzyła: - Pan wygląda na kompletnie wyczerpanego. W tym upale...

Lepski wydał jakiś dziwny głos. Rzekłbyś dźwięk muchy uwięzionej w kopercie. Stary brzuchaty facet, z obliczem jak na etykietkach holenderskiego sera, pochylił się, zapach czosnku owionął Łepskiego.

- Niech pan wybaczy, proszę pana - odezwał się tamten z uśmiechem. - Młoda dama ma słuszną rację. To prawda. Pan wygląda jak człowiek kompletnie wyczerpany.

Lepski zgniótł kartkę papieru i skrzeczącym głosem rzucił do Jacoby'ego: - Może zajmiesz się swoim świadkiem...

Jadowity ton inspektora speszył brzuchacza. Lepski skierował uwagę na młodą kobietę.

- Pani chce złożyć zeznanie?

Spojrzała na niego zachwyconym wzrokiem. - No nieźle! Słyszałam dużo o tutejszych glinach, ale nie przypuszczałam, że mogą być tacy jak pan, słowo daję!

Lepski poprawił krawat.

- Jesteśmy bardzo zajęci, proszę pani - odparł łagodniejszym tonem. Szczery podziw dziewczyny pochlebił mu. - Co chciałaby pani zeznać?

- To koleżanki poradziły mi, że bym przyszła do pana. Lepski westchnął, wziął nowy druk zeznania. - Pani nazwisko i adres proszę.

- Nazywam się Mandy Lucas. Pracuję w klubie i tam mieszkam.

- W jakim klubie?

- No... W Pelota Club, rozumie się.

- Pani ma tam mieszkanie?

Jej uroczy nosek zmarszczył się. - Mieszkanie... to za dużo powiedziane. Mam tam pokój.

- I pani ma jakieś wiadomości dla nas?

- Tak, koleżanki mówiły, że powinnam tu przyjść, ale ja nie bardzo... I niezbyt tu pachnie, co? Tyle ludzi... Ale gdybym się spodziewała, że spotkam kogoś takiego jak pan! O rany! Kiedy opowiem o panu koleżankom, posusiają się!

Oczy Łepskiego wyszły z orbit. Zerknął w stronę Jacoby'ego, który cały zafascynowany zamienił się w słuch. Stary grubas zbaraniał.

Lepski przypomniał sobie, że jest tu świeżo awansowanym inspektorem, przechylił się i przybrał urzędowy ton:

- A więc, panno Lucas, słucham pani zeznań. Dziewczyna poprawiła znowu sobie biust i odparła: - Proszę mi mówić Mandy. Nikt z moich znajomych nie nazywa mnie panną Lucas...

- Zgoda, Mandy. - Lepski skrzyżował nogi, gwałtownym ruchem przełożył długopis z prawej strony na lewą; miał uczucie, jakby coś się zapadło w jego wnętrzu. - A teraz proszę mi wytłumaczyć cel tego pani przyjścia tutaj...

- Pan chce naprawdę wiedzieć? Mówiłam dziewczynom, że stracie tylko przeze mnie czas, słowo daję. - Jej długie rzęsy trzepotały. - Wiem, że pan pracuje tutaj jak wół, inni także. Ale koleżanki... to one powiedziały...

- Hm, no cóż... - Lepski obawiał się, że już długo nie wytrzyma - Taka jest moja praca. Niech się pani nie troszczy o mój czas. Proszę mówić, co pani ma do powiedzenia.

- O rany! Ależ tu gorąco! - Wstała, okręciła się dokoła, żeby poprawić nieco minispódniczkę, która przykleiła się jej do ciała, potem usiadła z powrotem, pytając: - Czy pan jest żonaty, panie inspektorze?

- Tak, jestem żonaty - odparł Lepski zrezygnowanym głosem.

Wtedy pochyliła się i wyszeptwała skrycie: - To pewnie pan rozumie. *Te* podpaski są tragiczne.

Oczy Łepskiego powędrowały na wzór jego skarpet.

- Pana żona nigdy się nie skarży? - dociekała dziewczyna. Zdławionym głosem Lepski rzekł: - Mandy, czy zechce pani podać mi cel swojego przyjścia tutaj?

- O rany! Niech się pan nie gniewa. Ja gadam i gadam... Pan chce naprawdę wiedzieć? Bez żartów?

- Słucham panią - powiedział lodowatym tonem.

- No więc ja widziałam tego typu. Całkiem przystojny koleś! - Teraz nachyliła się, dekolt jej się rozchylił i Lepski mógł ujrzeć jej piersi. - Co do mnie, nie jestem tak bardzo za kolorowymi. Niech pan nie myśli, że mam jakieś uprzedzenia. Ale na ogół nie pociągają mnie. Ale czasami... chłop to chłop. Aten to prawdziwy klejnocik!

Tym razem Lepski wydał taki dźwięk, jakby ktoś otworzył ul.

- Kiedy dokładnie widziała pani tego człowieka, Mandy?

- No, tuż po tej okropnej strzelaninie. To mnie zbudziło... to znaczy ta strzelanina. Usłyszałam krzyk. - Przesunęła na właściwe miejsce ramiączko stanika. - Kiedy mnie się zbudzi, jestem nieprzytomna. Czy pan także? Wie pan, jestem jak nieżywa, oczy zaklejone, w głowie mi się kręci...

Lepski zacisnął pięści. - I widziała pani tego człowieka na parkingu?

- No właśnie, mnóstwo ludzi biegło tam w różne strony... wyobraża pan to sobie?

- Niech pani mówi dalej.

- Ci ludzie przypominali mi taką zabawę... wie pan, takiego berka... jak to dzieci lubią się gonić.

Lepski wydał odgłos podobny do dźwięku piły, kiedy natrafi na sęk. Mandy przyjrzała mu się uważnie.

- Hm, mnie to zawsze matka mówiła, że kiedy się zrobi coś takiego, trzeba powiedzieć przepraszam.

Lepski pochylił się nad kartkami, po chwili jakoś opanował się i podjął na nowo przesłuchanie.

- No dobrze, ci ludzie biegali na różne strony. Co potem się stało?

- Ten biedny glina... Hm, to znaczy ten policjant, który leżał na ziemi... To mnie dobiło. Pan rozumie! Oczy wyskoczyły mi prawie z orbit. I wtedy zobaczyłam tego pięknisia, jak wychodził z samochodu...

Lepski osunął się na oparcie fotela i odśpiewał w duchu kilka taktów hymnu państwowego, żeby odzyskać spokój.

- Pani widziała mężczyznę, jak wychodził z samochodu stojącego na parkingu?

Mandy otworzyła szeroko oczy.

- Czy nie powiedziałam tego? Mówiłam coś innego? Przyznam, że czasem sama nie wiem, co plotę. - Uniosła się lekko, zakręciła się, żeby poprawić spódniczkę pod uważnymi spojrzeniami wszystkich obecnych, i usiadła z powrotem na krześle. - Panu to się chyba nigdy nie zdarza, żeby coś powiedzieć i potem zaraz zapomnieć, co się plotło... Pan nie ma takich problemów, co?

Lepski rozluźnił krawat. - Nie mam.

- A ja tak. I muszę panu powiedzieć, że jest to bardzo deprymujące.

- Pani oświadczyła, że widziała kogoś, kto wychodził z samochodu stojącego na parkingu. To chciała pani powiedzieć?

- No tak, a koleżanki mówiły, że powinnam to panu opowiedzieć. - Usiłowała opanować nerwowy uśmiech. - Naprawdę, proszę mi wybaczyć. Wiedziałam, że to będzie dla pana strata czasu. Tylko te koleżanki...

- Ja z nikim nie tracę tu czasu. Jestem tu po to, żeby zbierać informacje. - Lepski szybko napisał kilka słów na kartce papieru i podał ją swojej rozmówczyni. - Zrobiłem notatkę, że widziała pani kolorowego człowieka wychodzącego z samochodu stojącego na parkingu, akurat gdy został zabity policjant McNeil. Czy tak?

Mandy przeczytała - wyraźnie była krótkowidzem - i skinęła głową.

- Myślę, że tak. Powinnam była może panu powiedzieć, że to był mój wóz. Nawalił mu akumulator. Już od paru tygodni go nie używam.

Pot zwilżył twarz Łepskiego. Nagle uprzytomnił sobie, że ludzie, którzy przychodzili z bezwartościowymi informacjami, tak go znudzili, że omal nie przeoczył kapitalnego śladu.

- Czy może pani powtórzyć?

Mandy spełniła jego życzenie, dodając: - To dlatego koleżanki kazały mi przyjść. A ja byłam pewna, że mnie pan weźmie za wariatkę.

- Wcale nie. Proszę mi tylko dokładnie wytłumaczyć, co pani widziała.

Znowu szeroko otworzyła oczy. - Ależ dopiero co powiedziałam.

- Chcę, żeby pani powtórzyła.

- Matko święta! Myśli pan, że to jest ważne?

- Możliwe - odparł inspektor, wycierając twarz chusteczką. - Możliwe.

*

Dwie godziny później kapitan Terrell wszedł do biura burmistrza.

Hedley, błądy i zdenerwowany, odkładał słuchawkę. Od trzech godzin atakowali go bez przerwy telefonicznie jego bogaci przyjaciele, oszaleli ze strachu, i domagali się ochrony policji. Egoizm tych ludzi, którzy myśleli tylko o swoim bezpieczeństwie, doprowadzał go do wściekłości; na widok Terrella westchnął z ulgą.

- Boże! Czy pan wie, że mnóstwo ludzi opuszcza właśnie nasze Paradise City... jak jacyś uchodźcy!

- Czy to nas jakoś powinno martwić? - zapytał Terrell, siadając.

- To rzecz katastrofalna! Co pan tu opowiada? Oczywiście, że nas to powinno martwić!

- A my znaleźliśmy ślad.

Hedley spojrział na Terrella, nachylił się. - Ślad? Jaki ślad? - krzyknął niecierpliwie.

- Mamy rysopis mordercy. Mówiłem panu, że jeśli wytrwamy, prędzej czy później znajdziemy jakiś ślad, ale nie spodziewałem się, że tak szybko to nastąpi...

- Niechże pan mówi, na litość boską!

Terrell rozsiadł się wygodniej w fotelu. - Pelota Club zatrudnia sześć fordanserek. Mieszkają na ostatnim piętrze, a ich okna wychodzą na parking, na którym został zabity McNeil. Jedna z tych dziewczyn, niejaka Mandy Lukas, ma forda, który od tygodni stoi nieużywany na parkingu. Spała, gdy zbudził ją odgłos strzałów. Podbiegła do okna i zobaczyła tłum ludzi cisnących się wokół ciała McNeila. Twierdzi, że jakiś mężczyzna wyszedł wtedy z jej samochodu i wmieszał się w grupę gapiów. Zabraliśmy samochód do nas i pod tylnym siedzeniem znaleźliśmy strzelbę, z której zabito McNeila. Osobnik zauważony przez tę Mandy Lucas ukrył się prawdopodobnie w fordzie, uciekając przed Andersem. Potem, kiedy portier oddalił się i przy zwłokach McNeila zaczęli gromadzić się ludzie, schował broń pod siedzenie, wysiadł z wozu i zmieszał się z tłumem. Ten facet ma głowę na karku. Ale nie mógł przewidzieć, że ktoś, czyli ta Lukas, stoi przy oknie.

- Mój Boże! - Hedley opadł na fotel. - I ta kobieta podała jego rysopis?

- Tak. Nie jest wprawdzie zbyt mądra, ale twierdzi, że poznałaby go wszędzie. Zawsze odnoszę się sceptycznie do takich deklaracji. Zdarza się, że świadkowie, którzy twierdzą, że potrafią zidentyfikować mordercę, nie są w stanie ich rozpoznać podczas grupowej konfrontacji. Według niej ma około dwudziestu pięciu lat, gęste czarne włosy, dobrze zbudowany. I do tego Indianin, co się zgadza z sugestiami Andersa. Ona się przy tym upiera. Nie żaden czarny, tylko Indianin. Ubrany w koszulę w żółte i białe kwiaty, a do tego niebieskie dżinsy.

Hedley uderzył pięścią w stół. - Nareszcie coś! Czy znaleziono odciski na strzelbie?

- Nie. Nie jest taki głupi. Żadnych odcisków nie było.

- Czy przekazał pan prasie jego rysopis?

Terrell spojrział na burmistrza. - Nie. Trzeba oczywiście to zrobić, ale wydawało mi się, że powinienem najpierw porozmawiać z panem. Nie muszę przypominać, że w Paradise City mieszka blisko stu Indian, trudniących się różną pracą. Przeważnie młodzi i większość z nich nosi koszule w kwiaty i dżinsy... Jest to jakby ich mundur. W oczach białych ci wszyscy

Indianie wyglądają jednakowo. Rysopis, który otrzymaliśmy, jest rzeczą pożyteczną, ale może nam również sprawić kłopot.

Hedley zastanawiał się, zmarszczył czoło. - Istotnie. Rozumiem, do czego pan zmierza, Frank. Ale nie mamy wyboru. Ludzie zarzucają nam, panu i mnie, że nic nie potrafimy zrobić. Zwołam natychmiast konferencję prasową. Takiej wiadomości nie możemy chować dla siebie.

Terrell skinął głową i dodał: - Skoncentrowałem już moich ludzi w dzielnicy indiańskiej. To ktoś z tutejszych, jestem pewien. - Wstał. - I wołałbym, żeby ta dziewczyna powiedziała, że widziała białego.

- W każdym razie mamy już jakiś ślad - skwitował Hedley i sięgnął po słuchawkę.

Wychodząc, Terrell słyszał, jak tamten wzywa swego rzecznika prasowego.

*

Meg, wyciągnięta na łóżku, obserwowała muchę, spacerującą po suficie. Spojrzała na zegarek, zbliżało się południe. A może było już później? Jej zegarek spóźniał się zwykle o dziesięć minut na godzinę, a kiedy zapomniiała dać mu prztyczka, po krótkim czasie godzina, którą pokazywał, w ogóle nie miała żadnego sensu.

Ona sama była bardziej zaniepokojona niż znudzona.

Kiedy Chuck wyszedł, jeszcze spała, i dotąd nie dał znaku życia. Nie miała nawet odwagi wstać i zrobić sobie kawy. Chętnie wypiłaby filiżankę, ale wymagało to zbyt wielkiego wysiłku. O ile prościej było leżeć i patrzeć na muchę, nie ruszając się z miejsca.

Mucha jednak w końcu odleciała. Meg jej zazdrościła. Gdyby mogła zrobić to samo! Odlecieć... To musi być wspaniałe. Lecieć, nie myśleć, usiąść na kawałku mięsa, kiedy jest się głodnym, i potem znowu do lotu... Szczęściara ta mucha!

Zamknęła oczy i zdrzemnęła się. Nie wymagało to żadnego wysiłku. Była to jedyna rzecz, którą potrafiła zrobić...

Kiedy się zbudziła, mucha znowu siedziała na suficie. Meg było gorąco, leżała spocona. Popatrzyła leniwie na zegarek. Czternasta trzydzieści pięć. Jeszcze nie może być tak późno - myślała, obserwując dalej spacerującą muchę.

To cudownie móc robić coś takiego. Chciałaby mieć takie zdolności. Spacerować po suficie, z głową opuszczoną w dół... I nagle przeszył ją lodowaty strach. Gdzie jest Chuck? Wyprostowała się na swym legowisku, odrzuciła prześcieradła. Upłynęły już całe godziny od chwili jego wyjścia! Czyżby ją porzucił?

Rozgorączkowana wyskoczyła z łóżka i rzuciła się do okna. Otworzyła je. Zobaczyła bungalow, w którym znajdowało się biuro, i krzątającą się panią Berthę Harris. Parking był pusty. Dokąd poszedł Chuck? Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Zbliżyła przegub do ucha. Niemożliwe, żeby była ta godzina. Ten parszywy zegarek stanął! Może jest jeszcze później, niż myślała! Ogarnięta paniką, włożyła spodnie pełne plam, potem równie brudny sweter, sandały i pobiegła do drzwi. Mijając lustro przymocowane do ściany, zobaczyła swe odbicie i znieruchomiła.

Boże! Co za potwór z niej?!

Weszła do łazienki i umyła twarz. Przejechała grzebieniem po swych długich, zmierzwionych włosach. Kiedy wyszła, ujrzała Chucka na progu bungalowu.

- Gdzie ty byłeś? - krzyknęła przenikliwym głosem. - Czekałam i czekałam... Gdzieś ty był?

Zamknął drzwi. Jego wygląd przeraził Meg.

- Spakuj wszystko! - powiedział oschle. - Zabieramy się stąd.

Otworzył szafę, żeby wyjąć stamtąd rzeczy, i rzucił je na łóżko.

- Gdzie jedziemy?

Chwycił Meg za ramiona, okręcił w kółko i uderzył ją tak mocno w siedzenie, że aż krzyknęła.

- Pakuj plecak!

Meg cofnęła się, wbiła w niego wzrok.

- Mam ci jeszcze przyłać? - rzucił, przysuwając się z groźną miną.

- Nie!

Wyjęła spieszenie plecak spod łóżka, pootwierała szuflady komody i wszystko, co do niej należało, wyrzuciła na łóżko.

Drzwi się otworzyły i Poke Toholo wsunął głowę do pokoju. - Chuck!

Dał znak, żeby za nim poszedł, i zniknął.

- Zajmij się moimi rzeczami - powiedział Chuck. - Za pięć minut wyjeżdżamy.

I poszedł do bungalowu Poke Toholo. Plecak Poke'a był już gotowy.

- Udało się z dziewczyną? - spytał Toholo.

- Jasne!

- Wiesz, dokąd teraz masz iść i co masz robić? Chuck skinął głową.

- Stara zażąda może dopłaty. Zajmij się tym. Ale spokojnie.

- Mówiliśmy już o tym - odparł Chuck zdenerwowany.

- Skoro pamiętasz... - Poke sięgnął po plecak. - Idę! Nie zapomnij: dziesiąta rano któregoś najbliższego dnia.

- Będę czekał.

Poke zarzucił plecak na ramię.

- Z tym naszym trzecim były kłopoty - szepnął jakby do siebie - ale trudno... - Spojrzał na Chucka. Jego czarne oczy błyszczały. - Ten glina sam tego szukał.

Chuck nie odpowiedział.

- Oni nie lubią, gdy się jednego z nich sprzątnie. - Poke poprawił rzemienie plecaka. - To znaczy, że nie będą się z nami cackali, ani z tobą, ani ze mną... jeśli nas znajdą.

Chuck zmrużył oczy. - Czy musisz naprawdę psuć mi wątrobę?

Toholo zmierzył go wzrokiem. - Chciałem tylko, żebyś o tym pamiętał... Ona także w tym siedzi.

- Dobrze, już dobrze... nie jestem głuchy.

- No, to dam ci znać. - Poke wyminął Chucka i wyszedł.

Chuck patrzył za nim długo, aż stracił go z oczu. Wtedy poszedł do biura motelu.

Pani Harris pożerała hamburgera, którego trzymała w papierowej serwetce.

- Odjeżdżamy, proszę pani.

Pani Harris podniosła głowę i straciła natychmiast dwa z czterech podbródków, które zwisały jej na dekolt. - Mówiliście, że zostanieie dłużej.

Chuck miał przygotowaną dla niej bajeczkę. - Spotkaliśmy przyjaciół, chcąc, żebyśmy z nimi zostali. Zapłaciliśmy pani za tydzień, prawda? Czy jesteśmy coś winni, czy też pani nam?

Pani Harris ugryzła znów kawałek hamburgera i przeglądała książkę kasową, nie przestając żuć. - Nie. Myślę, że jesteśmy kwita. Macie jeszcze zapłacone za dwa dni, ale ponieważ nie uprzedzaliście, niech tak będzie.

- I bardzo dobrze! - Chuck położył dolara na kontuarze. - A to dla starego. Dziękujemy. Było bardzo komfortowo. Jeśli kiedyś znajdziemy się w tych stronach, na pewno wstąpimy.

Pani Harris była zachwycona.

- Będziecie zawsze mile widziani - powiedziała, zabierając banknot. - Czy ten Indianin też wyjeżdża?

- Tak. Odjeżdżamy wszyscy troje.

Końcem języka usunęła kawałek czosnku, który przylgnął jej do wargi. - Czy to wasz przyjaciel?

Chuck, który dobrze wyuczył się swojej roli, potrząsnął głową.

- To w zasadzie miły chłopak, zabraliśmy go po drodze - uśmiechnął się. - No cóż, komu w drogę... Do widzenia!

Wrócił do Meg, która czekała już w bungalowie. Oba plecaki były gotowe. Chuck podniósł je.

- Chodźmy.

- Dokąd idziemy?

Odwrócił się i rzucił dziewczynie gniewne spojrzenie. - Czy nie nauczysz się nigdy trzymać jadaczki na kłódkę?! - warknął.

- Więc nie mam prawa się odezwać! - krzyknęła Meg, nagle zbuntowana. - Nawet nie mogę zapytać, dokąd idziemy?

- Och, chodź już.

Chuck podszedł do buicka, rzucił plecaki na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą. Meg zajęła miejsce obok niego.

- Gdzie Poke? - spytała. - Nie czekamy na niego?

Chuck zmierzył ją wzrokiem. Tym razem jego spojrzenie zmroziło jej krew w żyłach.

- Poke? Kto to taki? O kim ty mówisz? - odparł i zapuścił silnik.

Meg chciała coś powiedzieć, ale opanowała się.

- Sama widzisz - usłyszała od Chucka. - Tak jest dużo lepiej.

Wóz ruszył i wjechał na drogę prowadzącą do Paradise City.

Kiedy przybyli do miasta, Chuck, unikając głównych arterii, wjechał do portu bocznymi uliczkami. Zatrzymał się przy nabrzeżu, wyłączył silnik i wysiadł z wozu.

- Chodź! - nakazał, wyjmując plecaki. - Zabieraj swoje rzeczy, pójdziemy dalej pieszo.

Uginając się pod ciężarem plecaków, szli brzegiem morza, gdzie panował gorączkowy ruch. Znajdowali się w handlowej części portu, z barkami łowców gąbek i skrzyniami na żółwie.

Meg szła ślepo za Chuckiem. Wyglądało na to, że ten nie bardzo wie, dokąd iść.

Przechodzili obok fabryki konserw. Nad warsztatem obok palił się neon przedstawiający lśniącego węża. Gdzie indziej migocące litery głosiły: „Same Przymaki”. Meg i Chuck, torując sobie drogę przez tłum, okrążyli targ owocowy, po czym Chuck skręcił w obskurną uliczkę, wzdłuż której wznosiły się piętrowe, nędzne, drewniane domy. Stał przed jednym takim i zrzucił plecak.

- Zostań tu! - nakazał i wszedł za jakieś drzwi osłonięte przed muchami firanką z nylonowych różnokolorowych wstążek.

Na końcu małego, ciemnego korytarza stało biurko, za którym otyły Indianin zajadał kawałek kury.

Chuck zawołał do niego: - Ta ma być zamówiony pokój dla małżeństwa Jones.

Indianin schował kość, uniósł się lekko w krzesło, wytarł palce o spodnie i usiadł z powrotem z uśmiechem, który ukazał jego złote zęby.

- Pokój jest gotowy, panie Jones. Pierwsze piętro na lewo, numer trzy.

- To idę po żonę.

Tamten ciągle uśmiechał się promiennie. - Ależ oczywiście, panie Jones. Proszę iść po żonę.

Z okna pokoju, w którym stało łóżko na dwie osoby, kulawa komoda, szafa i rzecz zdumiewająca - telefon na nocnej szafce, widać było port. Coś w rodzaju łazienki i cuchnący klozet znajdowały się na podeście w pobliżu schodów.

Meg rzuciła plecak na podłogę i rozglądała się dokoła.

- Dlaczego wyprowadziliśmy się z motelu do tej ohydnej nory? - spytała zrezygnowana i rzuciła się na łóżko.

Chuck stanął przy oknie, gdzie trwał tak przez kilka chwil, zafascynowany ruchem i hałasem panującym w porcie. Wreszcie odwrócił się i zbliżył do Meg.

- Chuck, szczerze mówiąc, zastanawiam się czasem, czy jesteś przy zdrowych zmysłach. Dlaczego opuściliśmy tamten motel? Był bardzo przyzwoity. Dlaczego wprowadziliśmy się do tej plugawej dziury?

Chuck patrzył na nią lodowatym wzrokiem. - O jakim motelu mówisz?

Meg zadrżała, chwyciła się obiema rękami za głowę. - Co to znaczy, Chuck? Czy chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa? Pytam o Poke'a, a ty odpowiadasz: kto to taki? Teraz... mówisz: jaki motel? Nic nie rozumiem. Co ci się stało?

- Nic mi się nie stało, dziecino - odparł spokojnie Chuck. - Nigdy nie znaliśmy Poke'a. Nigdy nie mieszkaliśmy w żadnym motelu.

Meg szarpała bezradnie zmierzwione włosy. - Chcesz przez to powiedzieć, żebym tak mówiła policji?

Chuck uśmiechnął się. - No widzisz, mała! Nie jesteś wcale taka głupia... Jaki Poke? Nie znaliśmy takiego. Jaki motel? Nic o tym nie wiemy!

Meg pomyślała nagle o swoich rodzicach: ponurych i nudnych; ich smutne mieszkanie wydało się jej cudownym azylem.

- Nie, Chuck - uderzyła się pięściami w czoło. - Tego nie można już wytrzymać. Odchodzę. Idź dalej swoją drogą razem z tym zwariowanym Indianinem. Ja nie chcę o niczym wiedzieć. Nic nikomu nie powiem, ale odchodzę.

- Doprawdy?

Powiedział to takim tonem, że zmartwiała. Wyjął nóż sprężynowy.

Na widok lśniącego ostrza skuliła się.

- Siedzisz w tym po uszy, mała! - powiedział złowróżbnym głosem. - Uprzedzałem cię i zgodziłaś się. Jeśli zwiejesz teraz, uszkodzę ci gębusię. Czy masz ochotę być oszpecona do końca twoich dni?

Meg przerażona wpatrywała się w nóż. Chuck obserwował ją. Nagle roześmiał się i schował nóż do kieszeni.

- Chodźmy, mała, przejdziemy się po mieście.

Nie ruszyła się... Po chwili wybiegła na korytarz. Kiedy Chuck usłyszał spuszczenie wody, opuścił pokój, zamknął drzwi na klucz i wyszedł na schody, gdzie zaczekał na Meg.

Zeszli na dół, jedno obok drugiego. Minęli otyłego śmiejącego się Indianina, potem zanurzyli się w portowy zgiełk.

*

Poke Toholo siedział skulony w ciężarówce w kącie kabiny. Szofer, piegowaty i silnie zbudowany, był bardzo rozmowny. Chciał koniecznie z kimś pogadać, obojętne z kim. Kiedy zobaczył Poke'a na skraju drogi z kciukiem podniesionym do góry, zatrzymał się i pomógł autostopowiczowi umieścić plecak. Potem, w drodze do Paradise City, zaczął gadać.

- Stary, nie powinienes tam jechać! Nie słuchałeś radia? Nie? Bo ja to słucham na okrągło. No, chyba że jestem w domu, to wtedy muszę słuchać tylko żony. Nie słyszałeś, jak mówili o Mścicielu? Zawsze to coś innego, niż te głupoty, które zwykle puszczają... O Nixonie i inne dyrdymały. Zaraz nastawiłem uszu. Bo to coś zupełnie innego! Wszędzie dokoła nie mówi się o niczym innym, tylko o tym mordercy... A ty skąd pochodzisz? Z Jacksonville? Znam, rozumie się... Wzdłuż tej całej trasy znam chyba wszystkie miejscowości. Pewnie jesteś na wakacjach, co? No, to uważaj, narażasz się na kłopoty. Bo ten Mściciel... Jestem przekonany, że jest świrnięty. Słyszałem właśnie przed chwilą, jak mówili przez radio, że gliny szukają Indianina. Chociaż im nie wolno chyba wierzyć... Oni są chytry. Nie mówiliby tego, gdyby nie mieli pewności, że to Indianin, któremu pomieszały się klepki w głowie... A ci Indianie... lubię ich, ale dla mnie wszyscy są do siebie podobni, rozumiesz, co przez to chcę powiedzieć? No, wyobraź sobie! Indianin, który zabija te

pasożyty nadziane forsą?! Wiesz, co o tym myślę? Powiem ci: co nas może obchodzić, że sprzątnął tych troje wypchanych kasą? Mówili o tym przez radio. I że jedna dzidzia widziała go. Jakaś Mandy Lucas. Pracuje w Pelota Club. Mógłbym ci opowiedzieć fajne kawałki o tym burdelu... I ona niby widziała, jak wychodził z jej wozu! *Z jej wozu!* A ja akurat zatrzymałem się w knajpce, żeby coś przekąsić.

I pokazali ją w telewizji... Naprawdę, dziwkę w telewizji! Chociaż nie powiem o niej nic złego. Całkiem niezła. I te cyce... Gliny jej pilnują. Ona, jak mówi, potrafi zidentyfikować tego typu. I teraz gliny aresztują w Paradise wszystkich Indian, żeby potem mogła go wskazać. Co o tym myślisz? Wedle mnie, stary, jeśli jest się Indianinem, powinno się unikać Paradise City... Ja bym tam uważał!

Poke z nieprzeniknioną twarzą odparł, że będzie uważał. Ale w jego oczach zalśnił złowrogi błysk.

*

Z szerokim ziewnięciem policjant Wargate przeciągnął swe muskularne ramiona. Strasznie mu się chciało palić. Była druga czterdzieści pięć. Już od dwóch godzin pilnował parkingu za Pelota Club.

Sierżant Beigler dał mu taki rozkaz. Powiedział: - Słuchaj uważnie, Mike. Jest tylko jeden sposób, żeby się dostać do pokoju, kuchenne schody. Ta dziewczyna jest naszym jedynym świadkiem. Uważaj, żeby nikt do niej nie wszedł...

Wargate czuł ból w nogach. Nie wierzył, żeby dziewczynie coś groziło, ale płacono mu za to, pełnił więc straż, marząc o papierosie i użalając się nad sobą.

Poke jak duch obszedł budynek dookoła, przylgnął do ściany, pochłoneły go ciemności. W rękę trzymał nóż. Znieruchomiał, całą uwagę skierował na Wargate'a, który krążył na wyznaczonym odcinku.

Z nocnego klubu dobiegały dźwięki perkusji i saksofonu.

Wargate zatrzymał się i oparty o drabinę pożarową, ogarnął spojrzeniem parking wypełniony samochodami. Księżyc świecił jasno. Nikt się nie zjawił przed zamknięciem klubu, czyli za pół godziny. Wreszcie uległ pragnieniu zapalenia papierosa. W chwili kiedy pocierał zapałkę, Poke rzucił nóż.

Dźwięk saksofonu zagłuszył krzyk policjanta. Toholo skoczył do przodu, wyciągnął broń, wytarł ją o rękaw Wargate'a i zaczął wchodzić na schody.

Nazwisko każdej z sześciu fordanserek, mieszkających przy klubie, było wypisane na drzwiach. Zażądał tego ich impresario. „Te dziewczyny chcą uchodzić za gwiazdy -

tłumaczył kierownikowi klubu podczas podpisywania kontraktu. - A panu przecież zależy na tym, by było im tu dobrze, prawda?"

Poke nie miał więc żadnych trudności ze znalezieniem pokoju Mandy Lucas.

Owionął go zapach perfum i potu. Blask księżycy oświetlał śpiącą dziewczynę. Odkąd stała się świadkiem numer jeden, Mandy nie pracowała, przeważnie drzemała, co było dla niej zupełnie czymś nowym.

W tej właśnie chwili przeżywała we śnie swoje tryumfalne wkroczenie na ekrany telewizyjne, ten cudowny moment, kiedy po raz pierwszy w życiu stanęła naprzeciw kamery...

Zbudziła się, kiedy Poke zasłonił ostrożnie ręką w rękawiczce jej nos i usta. Ciało dziewczyny wyprężyło się ze strachu. Indianin zwiększył brutalnie ucisk. Nóż ostry jak brzytwa wbił w pierś Mandy, ostrze sięgnęło serca.

5

Walton Walbeck pierwszy otrzymał pocztą wezwanie. W najbliższych dniach wielu innych członków Klubu Pięćdziesięciu miało otrzymać takie samo pismo.

Walbeck - wysoki, blady, zniewieściały, odziedziczył po ojcu dość znaczną fortunę, dzięki której nie musiał pracować. Jedynym jego zajęciem była gra w brydża, którą opanował po mistrzowsku. Miał sześćdziesiąt pięć lat i zanudzał wszystkich znajomych - z braku przyjaciół. Sam zresztą uważał się za nudziarza i do tego żył stale w lęku przed śmiercią.

Tego poranka siedział przy stole nad jajkiem i bardziej nerwowo niż zwykle przeglądał otrzymaną korespondencję. Straszny koniec pani Dunc Browler wstrząsnął nim do głębi. Nienawidził serdecznie starej damy, ale cenił ją jako partnerkę do brydża. Umrzeć w ten sposób! To straszne! I ten bezczelny komentator z porannych wiadomości. „Wydaje się, że policja jest bezsilna” - powiedział. To była prawda, która przerażała Walbecka. A teraz ta zamordowana dziewczyna... Mandy... Jak się tam nazywa?... Zasztyletowana! I zaszlachtowany nożem policjant, który miał jej pilnować. Tak wygląda opieka policji!

Jackson, jego służący, upuścił właśnie w kuchni jakiś przedmiot na podłogę. Walbeck aż podskoczył w górę. Był u kresu wytrzymałości nerwowej.

Wyciągnął rękę po następny list. Koperta, na której jego nazwisko i adres wypisane były dużymi, niechlujnymi literami, wywołała grymas niesmaku na jego ustach. Po chwili wahania otworzył ją i wyjął kawałek papieru. List napisany był również dużymi literami. Nagle gwałtownie zaczęło bić mu serce, lodowaty strach zmroził go aż do szpiku kości.

CZY CHCE PAN ŻYĆ?

NIECH PAN WYKONA DOKŁADNIE NASTĘPUJĄCĄ INSTRUKCJĘ:
WŁOŻYĆ DO KOPERTY PIĘĆ STUDOLARÓWEK I PRZYKLEIĆ TAŚMĄ POD
AUTOMATEM W KABINIE „A” W POCZEKALNI PORTU LOTNICZEGO, DZIŚ W
POŁUDNIE.

CHYBA ŻE WOLI PAN UMRZEĆ.

POMOC POLICJI? NIECH PAN ZAPYTA MANDY LUCAS. MŚCICIEL.

DLA WŁASNEGO BEZPIECZEŃSTWA NIECH PAN DOŁĄCZY TEN LIST DO
ZŁOŻONYCH PIENIĘDZY.

Walbeck jak oparzony wypuścił papier z ręki. W panice skoczył na równe nogi i
podbiegł do telefonu, ale nagle znieruchomiał. Serce waliło mu w piersi, myślał, że zemdleje.

- Jackson! - krzyknął, osuwając się na fotel. - Jackson!... Lokaj, który od dziesięciu lat
znosił jego humory, przyszedł, nie spiesząc się. Młodszy o rok od Walbecka, nie był tak
dobrze zakonserwowany jak jego chlebowdawca.

- Pan mnie wołał?

Walbeck przyjrzał mu się uważnie i pojął z pewnym niesmakiem, że Jackson w
niczym mu nie pomoże, a nawet dramat, jaki przeżywa, sprawiłby mu radość. Nie miał
żadnych złudzeń co do uczuć, jakie żywił dla niego służący.

- Nie!... Już nie!... Znikaj! Nie stój tak ze wzrokiem wbitym we mnie! Zajmij się
pracą!

- Tak, proszę pana.

Walbeck, kiedy został sam, wstał z niechęcią. Podszedł do barku i wypił duży
kieliszek koniaku. Potem czekał, aż alkohol zacznie działać. Myśli jego biegały we
wszystkich kierunkach.

Mściciel!

Pomyślał o McCuenie, o pani Dunc Browler, tej kobiecie, która była przyjaciółką
Riddle'a. A teraz ta Mandy!

To wariat, a policja jest bezsilna.

Niepewnym krokiem podszedł do stołu i jeszcze raz przeczytał list.

Czy powiadomić policję? Wezwać swego adwokata? Ale po co?

Nie... Najlepiej i najbezpieczniej będzie zapłacić. I to bez zwłoki. Najpierw trzeba iść
do banku po pieniądze, potem na lotnisko! Nie chodzi tu przecież o jakąś ogromną sumę.
Pięćset dolarów to drobiazg!

*

Poke Toholo z plecakiem na ramieniu wszedł do poczekalni i zmieszał się z tłumem podróżnych, czekających na samolot. Znalazł wolne miejsce obok kabin telefonicznych i usiadł. Plecak postawił między nogami. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Czekowało sporo Indian w koszulach w kwiaty i dżinsach. Poke otworzył gazetę na stronie z wiadomościami sportowymi.

Było wpół do dwunastej, kiedy zjawił się Walton Walbeck. Toholo, który często widywał go w Klubie Pięćdziesięciu, poznał go od razu. Walbeck skierował się w stronę kabiny A, zajętej przez młodą dziewczynę. Czekając, Walbeck rozglądał się niespokojnie i wycierał skronie jedwabną chusteczką.

Wreszcie dziewczyna odwiesiła słuchawkę i wyszła szybkim krokiem. Walbeck wszedł do kabiny, zamknął oszklone drzwi. Plecy jego zasłaniały ruchy rąk. W kilka chwil później wyszedł, rozejrzał się ukradkiem w prawo i w lewo, potem szybko skierował się ku wyjściu.

Poke badawczym wzrokiem obserwował hall. Miał ochotę iść i sprawdzić, czy pieniądze są w kabinie, ale się opanował. Już samo przyście na lotnisko było poważnym ryzykiem.

Może Walbeck powiadomił policję? Powiedziano mu, żeby wykonał instrukcję, a gliny czekają w ukryciu, by skoczyć na kark temu, kto zgłosi się po kopertę?

Poke wciąż rozglądał się dokoła. Nie widział nikogo, kto mógłby być gliną, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Jeśli Walbeck doniósł policji, ich ludzie będą obserwowali kabinę.

Powrócił do lektury gazety. Od czasu do czasu ktoś wchodził do kabiny A, żeby zatelefonować. Pieniądze - jeśli tam były - są przyklejone pod automatem. Było mało prawdopodobne, żeby ktoś niewtajemniczony mógł je zabrać.

Wreszcie Toholo wstał. Niedbałym krokiem skierował się do wyjścia, gdzie stały autokary czekające na lądujących pasażerów.

Był już w progu, gdy nagle stanął, jakby sobie o czymś przypomniał. Wrócił i zamknął się w kabinie naprzeciw budki, z której korzystał Walbeck.

*

Chuck patrzył na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć. Siedział na brzegu łóżka i palił papierosa. U jego stóp nagromadziło się już sporo zgaszonych niedopałków.

Meg, na krześle przy oknie, obserwowała tłum spieszących się do portu. Wiedziała, że Chuck na coś czeka, ale od niedawna nauczyła się nie stawiać żadnych pytań.

Na dźwięk telefonu obydwójce podskoczyli do góry.

Chuck sięgnął po słuchawkę.

- Chuck?

Poznał głos Poke'a. - Tak.

- Port lotniczy. Kabina A - rzucił Poke i skończył rozmowę.

Chuck odłożył słuchawkę. Przebiegł go dreszcz podniecenia. Poke nie telefonowałby, gdyby nie był pewien, że pieniądze tam są, co do tego nie może być wątpliwości.

Zwrócił się do Meg: - Będziesz musiała wyjść. Słuchaj dobrze. Pojedziesz autobusem na lotnisko. Wiesz, gdzie jest przystanek?

Pokiwała tylko głową, oczy jej były pozbawione wszelkiego wyrazu.

- Kiedy tam już będziesz, wejdiesz do dużego hallu. Na prawo jest kilka kabin telefonicznych. Każda z nich jest oznaczona literą: A, B, C... Pójdiesz do kabiny A. I teraz uważaj! Nakręcisz ten numer - podał jej kawałek papieru. - To jest telefon Centrum Informacji w Paradise City. Zapytasz, gdzie jest bezpłatna pływalnia.

Meg słuchała. Oczy jej zrobiły się duże jak podstawki.

- Musisz mieć pretekst, żeby wejść do kabiny - ciągnął Chuck. - Jakiś policjant może się zainteresować, co masz do roboty na lotnisku. Wytłumaczysz mu wtedy, że jesteś na wakacjach i uwielbiasz lotniska. - Spojrzał na nią badawczo. - Żaden glina nie będzie żądał od ciebie wielkich wyjaśnień, trzeba tylko przygotować jakąś bajeczkę, gdybyś przypadkiem miała pecha. Czy skapowałaś wszystko? Skinęła głową.

- Dobrze. To słuchaj. Przy kręceniu numeru wsuniesz rękę pod automat telefoniczny. Znajdziesz tam kopertę przymocowaną taśmą klejącą. Włóżysz ją do torebki, tak żeby nikt nie zauważył. Zrozumiałaś?

Meg zwilżyła wargi językiem. - Dlaczego ty sam nie pójdiesz? - spytała ochryłym głosem. - Dlaczego to właśnie muszę być ja? Zmierzył ją wzrokiem. - Co, wykręcasz się?

- Nie - szepnęła znużona. - Pójdę.

- Świetnie! Kiedy już będziesz miała kopertę, wrócisz prosto tutaj. Poke będzie cię pilnował, nie zapominaj o tym.

Patrzyła na niego z martwą twarzą. - A kto to jest Poke?

Chuck uśmiechnął się z wyrazem uznania. - Robisz postępy. Ale pamiętaj, że inni będą cię mieli na oku. Teraz idź.

Wzięła zniszczoną torebkę i wyszła z pokoju. Chuck słyszał stukanie jej drewnianych obcasów na schodach. Gdy był już pewien, że Meg nie ma w hotelu, zbiegł na dół, skinął głową otyłemu Indianinowi siedzącemu za biurkiem i wyszedł na ulicę, skapaną w słońcu.

Torując sobie energicznie drogę w tłumie, skierował się w stronę przystanku autobusowego, a gdy był już dość blisko, ukrył się za straganem z bananami. Meg stała w niewielkiej gromadce, która ustawiła się w kolejkę. Autobus nadjechał. Meg wsiadła.

Wóz ruszył. Chuck zaczął biec w wyścigowym tempie i wskoczył do buicka. Szybko jechał potem bocznymi uliczkami i do portu lotniczego przybył jakieś dziesięć minut przed autobusem. Wszedł do hallu, rozejrzał się za miejscem, z którego mógłby dyskretnie obserwować kabiny.

W momencie kiedy usadowił się za kioskiem z gazetami, Meg weszła do hallu. Szła szybkim krokiem w kierunku kabiny A. Chuck skinął z aprobatą głową.

Bez paniki... Ani śladu strachu.

Wsunęła się do kabiny, zamknęła drzwi. Wtedy właśnie Chuck poczuł ściskanie w żołądku. Nie wiadomo skąd, wyrosło nagle dwóch policjantów. Byli wprawdzie w cywilu, ale to nie mogło nikogo zmylić. Obaj wysokiego wzrostu, nieposzlakowany ubiór, zapięci na ostatni guzik, szerokie bary, pewny krok. Wymachując rękami, szli prosto do kabin. Chuck czuł, jak pot spływa mu z czoła.

Czy Meg uda się wyprowadzić ich w pole? Taka była jego pierwsza myśl. Lepiej chyba już wiać jak najszybciej z tego miasta. Ale był tak przerażony, że nie potrafił ruszyć się z miejsca. Skamieniały, patrzył.

Tamci, nie interesując się wcale kabinami, zatrzymali się przed młodym Indianinem, który właśnie nadszedł z boku.

Chuck wytarł mokry podbródek i odetchnął głęboko. Policjanci zatrzymali Indianina protestującego gwałtownie. Pasażerowie przyglądali się tej scenie. Tamci dwaj zaprowadzili go do kąta i zasypali pytaniami.

Chuck spostrzegł Meg, jak opuszczała kabinę i szła ku wyjściu. Nie wiedziała, co się dzieje, ale jej chód nie był już swobodny.

Chucka znów przeszył lęk.

Jeśli któryś z tych policjantów zobaczy ją, zainteresuje się, skąd ten pośpiech? Meg prawie biegła! Ale obawy Chucka były nieuzasadnione: tamci byli zbyt zajęci przesłuchiowaniem Indianina.

Chuck wyszedł z lotniska. Nogi miał jak z ołowiu. Czekał, aż Meg wejdzie do autobusu, po czym szybko podszedł do buicka.

W autobusie było tylko pięć osób. Meg kupiła bilet i usiadła w głębi wozu. Nie chciała, żeby ktoś jej przeszkadzał. Kierowca patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Wiedziała, że pewnie okropnie wygląda. Zimne dreszcze przebiegały jej ciałem. Żeby tylko żaden z

pasażerów nie zauważył jej zdenerwowania! Przez kilka minut walczyła ze sobą, żeby opanować drżenie. Wreszcie, kiedy autobus ruszył w drogę, odprężyła się trochę; nikt się nie odwracał, nikt na nią nie patrzył.

Poczekwała do chwili, kiedy autobus zaczął przebijać się przez tłok uliczny. Otworzyła torebkę i wyjęła kopertę, którą znalazła przyklejoną pod telefonem. Oglądała ją i obracała na wszystkie strony. Wahala się. Ale musiała wiedzieć. Potem zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu pilnika do paznokci i otworzyła kopertę.

Było w niej pięćset dolarów. Na widok pieniędzy skurczyła się ze strachu. Później odkryła list Mściciela i strach zamienił się w przerażenie. Ślina napłynęła jej do ust. Przez chwilę pełną grozy myślała, że dostanie torsji, ale udało jej się to opanować. Jeszcze raz przeczytała list. Ciało jej oblał zimny pot.

Teraz wiedziała! To, co podejrzewała, było faktem.

Mściciel!

Czyli Poke!

Ilu ludzi zabił? Próbowała sobie przypomnieć, ale jej myśli płątały się. Zresztą ilość nie miała znaczenia. Wystarczył jeden! Drżącymi rękoma włożyła z powrotem pieniądze i list do koperty i schowała do torebki.

Tak więc Chuck był w zмовie z tym straszliwym Indianinem... I ona przecież także była w to wmieszana!

Odwróciła się do okna pokrytego kurzem i sparaliżowana strachem obserwowała przesuwające się przed jej oczyma palmy, plaże, kąpiących się plażowiczów. Wreszcie zmusiła się do zastanowienia.

Poke posyłał listy z pogrózkami, by zmusić ludzi do dawania mu pieniędzy, i posługiwał się nią do zainkasowania okupu. Na lotnisku mogła być policja! Mogła ją aresztować w chwili, kiedy zabierała kopertę.

Chuck wiedział doskonale o wszystkim i posłał ją tam! Chyba go zabije!

Nie! Nie zasłużył na to, żeby splamiła się morderstwem!

Rozszalałe myśli kłębiły się w jej głowie. Co zrobić? Znowu ślina napełniła jej usta i jeszcze raz musiała powstrzymać się od wymiotów.

Iść na policję?

Zadrzała. Policja?! Próbowała sobie wyobrazić, jak wchodzi do komisariatu i opowiada glinom, co tu się święci. Zakładając nawet, że jej uwierzą, co zrobią? Odeślą ją do rodziców. A bardziej prawdopodobne, że przekażą ją raczej do jednego z takich domów, gdzie mogłaby być bezpieczna. Miała wrażenie, że jej mózg obija się o ściany czaszki jak

piłka. Zakładała nogę na nogę, potem znowu ją zdejmowała. Zaciskała pięści i uderzała nimi o kolana, potem znieruchomiła i rzuciła trwożne spojrzenie na innych pasażerów. Nikt się nie odwrócił. Chciało jej się krzyżeć z całych sił: „Na pomoc!”

Tylko jedno można tu zrobić - mówiła sobie, starając się uspokoić. Uciec natychmiast do Miami. I potem pojechać na północ, jak najdalej od Paradise City. Zniknąć. Zapomnieć o Chucku. Zacząć od zera.

Teraz, kiedy powzięła już decyzję, panika zniknęła i Meg była zdolna do logicznego myślenia.

Dobrze. Jakies trzy kilometry stąd znajduje się dworzec autobusowy. Poprosi więc kierowcę, żeby się tam zatrzymał. Kupi bilet do Miami. A stamtąd...

Rozpacz znowu chwyciła ją za gardło.

Wszystkie jej rzeczy zostały w tej ohydnej norze. Jak dostanie się do Miami? Nie miała w torebce nawet dwóch dolarów!

Kilka sekund siedziała nieruchoma ze wzrokiem wbitym w szybę autobusu.

Dwa dolary? Przecież to nie tak! Ma przy sobie pięćset dolarów! Czy odważy się skorzystać z tych pieniędzy? Czy nie stanie się przez to współniczką, to tak chyba nazywają gliny?

Ale przecież musi odjechać! Uciec od tego koszmaru! Nie wydać tej forsy byłoby szaleństwem!

Wzdychała ciężko i zalewała się łzami.

Mając pięćset dolarów, będzie mogła pojechać do Nowego Jorku. Tam będzie bezpieczna. I znajdzie sobie pracę.

Przestała się trząść, wróciła jej pewność siebie. Otworzyła ukradkiem torebkę i przerzucała banknoty, nie wyjmując ich z koperty.

Tak. Tak zrobi! Szloch ulgi wstrząsnął nią do głębi.

Koniec z Chuckiem! Koniec z Poke'em! Koniec z policją!

Postanowiła nie zmieniać już swej decyzji. Zamknęła torebkę, wstała i podeszła do kierowcy.

- Czy mógłby pan wysadzić mnie przy dworcu autobusowym? Bardzo proszę - powiedziała zdumiona, że jej głos był tak mocny. - To niedaleko, prawda?

Kierowca miał pięć córek, pięć uroczych dziewczynek, grzecznych i zadbanych. Najstarsza była mniej więcej w wieku tej dziewczyny - myślał. No tak! Miał szczęście, dzięki Bogu, jego córki były dobrze wychowane. A ta tutaj... cuchnęła wyraźnie. Woń potu. Spojrzał na pasażerkę. Miała brudną odzież. Szczęście, że nie jest jej ojcem.

- Będziemy tam za dwie minuty - rzekł, odwracając się. - Zatrzymam wóz.

- Dziękuję.

Meg usiadła z powrotem.

W chwilę później autobus zatrzymał się przed dworcem. Zanim stanął, Meg zbliżyła się do drzwi. Schodząc z trzech stopni, zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję.

- Ja pani także - odparł szofer ironicznym tonem. Włączył pierwszy bieg i autobus odjechał.

Meg, ściskając z całych sił torebkę, poszła w stronę okienka.

- Cześć!

Miała uczucie, jakby ktoś zadał jej cios nożem w samo serce. Odwróciła się. Poczwała nagle chłód przejmujący całe jej ciało.

Chuck stał przy drzwiach buicka i patrzył na nią, uśmiechając się szyderczo.

- Może taksóweczkę, dziecinko? - spytał.

*

Elliott Hansen uchodził za jednego z najlepszych brydżystów świata, ale jako jawny homoseksualista był zadowolony, że jest sekretarzem Klubu Pięćdziesięciu, i kpił sobie szczerze z turniejów brydżowych.

Tego dnia, w upalne popołudnie, Hansen siedział za biurkiem i obserwował inspektora Łepskiego takim wzrokiem, jakby patrzył na włochatego pająka, który wpadł do wanny.

Hansen był wysokiego wzrostu, elegancki, sprawiał dobre wrażenie. Biała czupryna sięgała mu do karku, doskonałe sztuczne zęby, które czyścił przynajmniej trzy razy dziennie, błyszczały przy każdym jego uśmiechu. Przyznawał się do sześćdziesięciu lat, ale gdyby mu ktoś dodał siedem, byłby jeszcze daleko poniżej prawdziwego jego wieku. Miał do czynienia tylko z największymi fortunami, prowadził życie pełne wyrafinowanego komfortu, pijał wino tylko dobrych roczników. Jego egzystencja ograniczała się do małego luksusowego światka klubowego, ale mimo swego wieku nie gardził żadną okazją, aby zwabić w toalecie jakiegoś efeba, który przyciągnął jego wzrok.

Kapitan Terrell uważał, że pociągnąć Hansena za język zdolny był jedynie Lepski, zwykły policjant pozbawiony snobizmu, nieulegający magii bogactwa, a przede wszystkim ambitny.

- No co tam? - spytał Hansen miłym, melodyjnym głosem. Wyciągnął jedwabną, uperfumowaną chusteczkę i wachlował nią swój rasowy nos.

Lepski tłumaczył mu przyczynę swej wizyty szorstkim głosem policjanta. Sekretarz Klubu zmarszczył brwi.

Elliot Hansen był Anglikiem. Pełnił niegdyś funkcję majordomusa u hrabiego. Potem hrabia miał kłopoty z pewnym młodocianym skautem. Policja zainteresowała się wówczas także działalnością Hansena. Zmusiło go to do opuszczenia Wielkiej Brytanii... Ucieszył się, kiedy został sekretarzem klubu brydżowego, najbardziej ekskluzywnego na całej Florydzie.

Słuchał, co Lepski ma do powiedzenia. I nie wierzył własnym uszom. - Ależ, mój panie, to jest absolutnie nieprawdopodobne! Któryś z naszych pracowników?! No nie! To niemożliwe!

Lepski, który darzył taką samą antypatią homoseksualistów, jak Hansen policjantów, zniecierpliwiał się.

- Szukamy Indianina. Według rysopisu podejrzany ma dwadzieścia trzy do dwudziestu pięciu lat, gęste czarne włosy, nosi koszulę w kwiaty i niebieskie dżinsy. Czy wśród waszego personelu jest ktoś, kto odpowiadałby temu opisowi?

- Taki młody? - Hansen zmarszczył brwi. - Nie... nie... Wszyscy indiańscy pracownicy są w wieku dojrzałym. Pracują tutaj od lat. Tak, całymi latami. A jeśli chodzi o koszulę w kwiaty...

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. Śmiech ten zabrzmiał w uszach Łepskiego jak rżenie klaczy.

- No, dobrze, ale niech pan wejdzie w nasze położenie - ciągnął Lepski. - Dwoje członków Klubu zostało zamordowanych.

Trzeci popełnił samobójstwo z powodu śmierci kochanki. Zastanawiamy się, czy nie istnieje jakiś związek między mordercą i tym Klubem. Wiemy, że zbrodniarzem jest Indianin. Może któryś z waszych pracowników ma jakieś pretensje do członków Klubu?

Hansen uśmiechnął się z wyższością, odsłaniając wyborną sztuczną szczękę.

- Zapewniam pana, mój drogi, że idziecie całkiem fałszywym śladem. Absolutnie fałszywym! Ci ludzie są u nas zatrudnieni od lat. Kochają nas, nie ma pan pojęcia jak bardzo! Indianie są nadzwyczaj lojalni. *Kochają* nas, zapewniam pana.

- A jeśli któryś z nich miał jakieś pretensje do Klubu? - nalegał Lepski. - Może wbił sobie w głowę, że jest wyzyskiwany?

- Wyzyskiwany? - Hansen był wyraźnie urażony. - Nasz personel jest wspaniale traktowany. Tworzymy razem szczęśliwą rodzinę.

Lepski sapnął głośno. - I nigdy nie był pan zmuszony zwolnić jakiegoś pracownika? Kogoś, kto nie stanął na wysokości zadania, biorąc pod uwagę wasze wysokie kryteria?

Hansen bawił się złotym długopisem. Nagle ten wypadł mu z rąk i potoczył się pod biurko. Hansen zadrżał nieznacznie, jakby zabolął go ząb. Lepski nie omieszkął zanotować tej reakcji. Po długiej pauzie Hansen podniósł długopis i dalej się nim bawił.

- No tak, zdaje mi się... ale to nie jest nowa sprawa... tak, to możliwe - mówił wolno i jakby z niechęcią.

Pamiętał dobrze. Odprawił młodego Indianina. Kiedy to było? Cztery miesiące temu? Starał się zapomnieć o tej historii, ale teraz wspomnienie o tym zjawilo się z przerażającą jasnością. Jak on się nazywał? Toholo? Tak... Jego ojciec, który od dwudziestu lat pracował w Klubie, poprosił go któregoś dnia, żeby zatrudnił jego syna. Kiedy Hansen zobaczył młodego człowieka, zaangażował go. Czarujący chłopak, wspaniale zbudowany. Ale jaki dzikus! Kiedy Hansen uśmiechnął się do niego... byli sami w toalecie i spróbował go dotknąć... Sekretarz Klubu wzdrygnął się. Co za dzikus! To było okropne! Naturalnie, sprawa została załatwiona po cichu. Pomylił się całkowicie, jeśli chodzi o tego chłopca. Pozbył się go i usiłował wytłumaczyć staremu Toholo, że Poke nie nadaje się do Klubu, jest za młody. Stary patrzył wtedy na niego tak przeszywająco... Hansen, niezadowolony, kręcił się teraz na krześle. Czuł znowu to spojrzenie pełne pogardy.

W żadnym jednak wypadku nie może opowiedzieć temu okropnemu inspektorowi o Toholo. To niemożliwe! Przecież kiedy będzie próbował wyjaśnić... Nie! Nie ma mowy.

- Nie przypomina pan sobie żadnego Indianina, któremu musiał pan wypowiedzieć? - powtarzał Lepski, który wyciągnął już pewne wnioski.

Jego głos działał Hansenowi na nerwy.

- Od lat nikogo nie zwolniliśmy. Czy pan wie, jak to się tutaj dzieje? - Spojrzał na swego rozmówcę, potem odwrócił się. - Zwyczajnie starzeją się. Wtedy odsyłamy ich na dobrą emeryturę.

Lepski był teraz pewien, że coś jednak odkrył. - Czy ma pan spis personelu?

Hansen mrugnął powiekami, znowu wyjął jedwabną chusteczkę i wytarł skronie. - Oczywiście.

- A mógłbym go zobaczyć?

- Ależ zapewniam, że traci pan tylko czas.

Lepski zagłębił się w fotelu. Jego wąska twarz przypominała sępa. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Hansen.

- Płacą mi za to, żebym tracił czas. A pan wydaje się nie mieć ochoty na pokazanie mi tego spisu...

Hansen poczuł nagle, że ogarnia go słabość, i przybrał minę pełną godności. - Będę wdzięczny, jeśli zaoszczędzi mi pan tych impertynencji - odparł niepewnym głosem. - Jeśli chce pan obejrzeć spis, proszę bardzo.

Zimny błysk pojawił się w oczach inspektora. - Tak. Chcę go zobaczyć.

- Jest do pańskiej dyspozycji.

Hansen otworzył szufladę i podał Łepskiemu spis w skórzanej teczce. Inspektor studiował listę nazwisk, które nic mu nie mówiły, ale teraz był pewien, że Hansen stara się coś przed nim ukryć.

- Chciałbym mieć odpis tej listy - rzekł sucho, rzucając teczkę na biurko. - Musimy porozmawiać z tymi wszystkimi ludźmi.

- Oczywiście.

Hansen nie ruszał się z miejsca. Patrzyli na siebie i Lepski powiedział: - Poczekam.

- Oczywiście - powtórzył Hansen.

Wstał, wziął listę i lekko chwiejąc się na nogach, wyszedł z pokoju. W pięć minut później zjawił się z kartką papieru, którą podał inspektorowi. - Proszę, na nic się to panu nie przyda, ale... jest do pana dyspozycji.

Lepski przeczytał listę, po czym podniósł głowę i utkwiał w Hansenie lodowaty wzrok. - Brakuje jednego. Według spisu pracuje tu piętnastu Indian, a na liście jest tylko czternastu.

Hansen zmienił się na twarzy. - Proszę mi wybaczyć! Nie może sobie pan wyobrazić, jakie mam trudności z personelem. Moja sekretarka to istna idiotka.

- Pan pozwoli? - Lepski wyciągnął rękę po spis, który Hansen wciąż trzymał w ręku.

Sekretarz Klubu był teraz uderzająco blady.

Lepski porównał obie listy. - Toholo! Kto to taki?

Hansen zwilżył językiem suche wargi. - Zapomniała o Toholo? To dziwne! O naszym najstarszym pracowniku... do którego mamy całkowite zaufanie. Zapewniam, że może go pan skreślić. Ten Toholo pracuje u nas już dwadzieścia lat.

Lepski wstał. - To świetnie. I przepraszam, że panu przeszkodziłem. - Zatrzymał się na progu. - A nie sprawi panu kłopotu, jeśli pogadam chwilę z Toholo?

Hansen osunął się na fotel. Chwycił złoty długopis i wpatrywał się weń z napięciem. W tej chwili wyglądał bardzo staro.

- Proszę, niech pan idzie - odparł ochryplym głosem. - Znajdzie go pan w barze.

- A jak trafię do baru?

Hansen siedział wpatrzony w długopis. - W głębi korytarza, na lewo... - Jakoś się opanował. Muszę zrobić ten wysiłek, myślał. Nie pozwolić, żeby zniszczono moją

egzystencję, którą sobie tutaj zbudowałem. Podniósł głowę i spojrzął na inspektora wzrokiem, w którym malowała się rozpacz. - Ale zapewniam pana... pan... traci tylko czas.

- Wiem. Już mi pan to mówił. - Lepski wyszedł z pokoju. Hansen wypuścił długopis z ręki, strach tamował mu oddech. Dobrze to pamiętał... Dwadzieścia lat temu pewien życzliwy znajomy telefonował do niego, by ostrzec, że policja interesuje się jego osobą i że najlepiej będzie, jeśli wyjedzie z Anglii. Miał nadzieję, że nigdy już nie będzie przeżywał tego lęku przyprawiającego o mdłości.

Ale to powróciło tego dnia rano, kiedy Hansen właśnie otrzymał list, w którym żądano pięciuset dolarów, jeżeli chce pozostać przy życiu. List nosił podpis „Mściciel”.

*

Chuck jechał drogą prowadzącą do jednej z licznych plaż. Ta, którą wybrał, była najmniej uczęszczana z powodu piaszczystych wydm, ale stało tam już kilka wozów i ludzie kąpali się w morzu.

Zatrzymał buicka nieco na uboczu i zwrócił się do Meg, która siedziała jak sparaliżowana, odsunąwszy się jak najdalej od niego. Ani jedno, ani drugie nie otworzyło ust podczas tej krótkiej jazdy.

- Masz te papiery? - spytał.

Meg drżącymi rękami otworzyła torebkę, wyjęła kopertę i podała mu ją.

- Co takiego? Ty tam zaglądałeś? - powiedział, stwierdziwszy, że koperta jest otwarta.

- Fajnie, co? - dodał półgłosem, wyciągając pięć banknotów studolarowych. - Taki kawał forsy!

Meg zadrżała.

List Mściciela wyleciał z koperty i upadł na siedzenie.

- To także widziałeś?

Meg ścisnęła dłonie kolanami, niezdolna wymówić ani jednego słowa, nie odwracała wzroku od Chucka.

- I gdzie ty chciałeś jechać, mała? Do Miami? Potrząsnęła głową i odparła z wysiłkiem: - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - głos jej był szorstki, skrzypiący. - Odchodzę. Nie powiem nic, przyrzekam ci, ale muszę odejść.

- No jasne. - Chuck złożył banknoty i schował do kieszeni koszuli. - Nieźle wymyśliłeś... Ale to ci się nie uda!

Patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. - Przysięgam, że nic nie powiem. Pozwól mi tylko odejść. Ten chłopak nie jest normalny! Chcesz wejść w spółkę z Indianinem, który ma bzika? -

Znowu ścisnęła ręce kolanami. Kiwała się w przód i w tył. - Pomyśl, Chuck. Lepiej uciekajmy! To morderca! Błagam cię, posłuchaj mnie!

Duża, czerwono-biała piłka spadła z góry, odbiła się od buicka i zatrzymała się na błotniku. Chuck i Meg aż podskoczyli.

Ubrany tylko w spodenki mały chłopczyk, cały brązowy od słońca, przybiegł, żeby odzyskać swoją zabawkę. Kiedy miał już ją w ręku, uśmiechnął się do Chucka. - Przepraszam pana! - A po krótkiej chwili dodał: - Nie pobawiłby się pan ze mną?

- Oczywiście.

Chuck wysiadł z wozu, wziął piłkę z rąk chłopca, odbił ją kilka razy, po czym jednym kopnięciem posłał daleko w powietrze. Chłopiec krzychał z zachwytu i puścił się w pogoń za piłką toczącą się ku morzu.

Chuck wrócił do wozu.

- Miły ten smarkacz - orzekł. - Wiesz, co ci powiem? W jego wieku nie miałem piłki. Nigdy nie miałem nic na własność...

- Ja chcę odejść! - krzychała Meg przenikliwym głosem. - Słyszysz czy nie?! Odchodzę!

Chuck wziął do ręki list Mściciela, przeczytał go, potem zwrócił się do Meg: - Ty chcesz żyć, kiciuniu?

Meg zmartwiła. Odsunęła się jeszcze dalej od Chucka.

- Czy muszę ci tłumaczyć? Tb prawdopodobnie kompletny wariat. Nie masz szczęścia. Ja także nie. Jeśli chcesz wiać, zwiewaj, ale nie zajedziesz daleko. Kiedy się spikniesz z takim narwanym Indianinem, to już nie są żarty... Ale powtarzam, jak chcesz, nie krępuj się. Zastanów się tylko. Pewnie mogłabyś się dostać do Miami... Nie wiem zresztą, jak tam dojedziesz bez pieniędzy. Założmy jednak, że tak. Tylko jaki to interes znaleźć się w Miami z nożem w brzuchu albo dziurą w głowie! - Poklepał list. - Czytałaś, prawda? A więc sama postaw sobie to pytanie: czy chcesz żyć?

Meg gestem rozpaczy uniosła do góry włosy spływające jej na plecy. - Nie przestraszysz mnie! Wszystko mi jedno!

Chuck zaczął wycierać nos. - Wiesz, co ci powiem? Naprawdę, zaczynasz mnie nudzić. Idź... Pakuj manatki! Wysiadaj z samochodu. Ale zapamiętaj sobie jedno...Spojrzała na niego.

- Na twój pogrzeb nie przyniosę nawet zdechłego kwiatka - zakończył.

- Hm, proszę pana!

Chłopczyk zjawił się znowu. Chuck uśmiechnął się do niego szeroko.

- Chciałby pan jeszcze raz strzelić?

Chuck popatrzył na Meg. - No, to spadaj... ja idę pograć.

Wysiadł z wozu, kopnął piłkę, która wystrzeliła prosto w górę, i pobiegł wraz z chłopcem w kierunku morza. Piłka odbiła się znowu. Pozwolił, żeby chłopczyk ją podniósł, potem wyrwał mu ją z rąk, kopnął raz jeszcze i pobiegł za nią.

Meg obserwowała ich obydwu.

Osamotnienie, rozpacz, myśl o beznadziejnej przyszłości i strach przykuwały ją do miejsca. Siedziała w samochodzie, kiedy Chuck, skończywszy zabawę, powrócił powolnym krokiem.

*

Stragany ustawione w prostej półkilometrowej linii, zwrócone frontem do morza, tworzyły cały targ w Paradise City. Wszystkie miejscowe produkty - banany i pomarańcze łącznie z zółtami, a nawet gąbkami - oferowano tam klientom. Każdy stragan pokryty był barwnie ozdobionym daszkiem. Większość handlarzy stanowili Indianie.

Poke Toholo stał za stołem z pomarańczami, należącym do Indianina Jupitera Lucie. Ten wesoły człowieczek, otyły, okrągły jak balon, nienawidził bogaczy i policjantów, był jednak na tyle rozsądny, żeby trzymać się z daleka od wszystkiego, co mogłoby mu sprawić kłopot. W porcie miał opinię człowieka „pewnego”, bo o nic nie pytał i zajmował się tylko swoimi sprawami. Kiedy Poke przyszedł, by mu powiedzieć, że szuka jakiegoś bezpłatnego zajęcia, nie wahał się ani chwili. Znał ojca Poke'a i wiedział, że syn jest zbuntowany. Wiedział także, że Poke nie prosiłby o darmową pracę, gdyby nie musiał się ukrywać. Powiedział „zgoda” bez wahania.

Tak więc Lucie, widząc dwóch inspektorów złanych potem, zbliżających się do jego straganu, był przygotowany na wytłumaczenie im obecności Poke'a.

Zresztą policjanci nie mieli żadnych złudzeń co do wyniku swej misji. Dreptali w upale, zatrzymywali się przy kolejnych straganach, stawiali pytania i notowali nazwiska. Wiedzieli, że próby sprawdzenia zeznań Indian były po prostu stratą czasu.

- To mój kuzyn - powiedział Jupiter Lucie z niewinnym uśmiechem, odsłaniając złote uzębienie, kiedy inspektorzy zapytali go o jego pracownika. - To dobry chłopak... zupełnie taki jak ja. Nazywa się tak samo... Lucie. On jest Joe, a ja Jupiter.

Inspektorzy zapisali obydwa imiona i poszli dalej. Lucie i Poke uśmiechnęli się do siebie.

*

Inspektor Max Jacoby, któremu polecono przetrząsnąć okoliczne motele, miał więcej szczęścia.

Pani Bertha Harris nienawidziła policjantów, wszystkich bez wyjątku. Aresztowana trzydzieści lat temu w sklepie samoobsługowym, nigdy nie zapomniała, jak została potraktowana przez policjanta, który ją zatrzymał. Kiedy więc Jacoby zjawił się w motelu Welcome, postanowiła go podrażnić.

Jak zwykle jadła hamburgera. Lubiła hamburgery takie, jakie produkował stary Sam, kładąc do nich więcej czosnku niż mięsa, choć musiała się przy ich jedzeniu mocno ubrudzić.

- Szukamy Indianina - zaczął Jacoby, nie robiąc sobie żadnych nadziei. - Mniej więcej dwadzieścia pięć lat, gęste czarne włosy, wysoki, koszula w kwiaty i niebieskie dżinsy. - Od rana chyba z trzydzieści razy podawał ten rysopis, bez najmniejszych efektów dla śledztwa. Ale Jacoby był uparty. Taka jest praca w policji, powtarzał bez przerwy. - Czy człowiek odpowiadający temu opisowi mieszkał przypadkiem u pani?

Bercie odbiło się. Zasłoniła usta ręką. - Może zechce pan powtórzyć?

Jacoby uczynił to.

Jego rozmówczyni zastanawiała się, jej oddech zmieszany z wonią czosnku drażnił jego nozdrza.

- Ludzie przychodzą i odchodzą - rzekła wreszcie. - Gdybym pamiętała wszystkich moich lokatorów, zrobiłabym majątek w teleturniejach telewizyjnych. Wierzy mi pan?

Jacoby zdawał sobie sprawę, że ta stara, brzuchata kobieta nie ułatwi mu pracy. - Czy to znaczy, że Indianie zatrzymują się często u pani?

Bertha odgryzła kawałek hamburgera i żuła go, patrząc na policjanta bez wyrazu. - Nie... Tego nie mogę powiedzieć.

- To bardzo ważna sprawa - dodał teraz twardszym już tonem. - Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Pytam, czy młody Indianin nocował u pani?

Bertha małym palcem wydlubała kawałek hamburgera, który utkwiał jej między zębami trzonowymi. - A co mnie do waszego morderstwa? Ja nic o tym nie wiem. To policja ma obowiązek tym się zajmować.

- Pytam tylko panią, czy jakiś młody Indianin nocował ostatnio u pani?

Zaraz, tu chodzi o *morderstwo*... Bertha straciła nagle spokojny nastrój. Mimo odrazy do udzielania pomocy policji zrozumiała powagę sytuacji.

- No... tak, mieszkał u mnie jeden taki młody Indianin...

Minęło dziesięć minut, nim Jacoby'emu udało się wydobyć rysopis Indianina, który całkowicie odpowiadał opisowi człowieka poszukiwanego przez policję. Inspektor z trudem zachował spokój.

- Czy on wypełnił formularz?

- Jak wszyscy, robią to musowo - odparła z godnością Bertha, podając inspektorowi niechlujną książkę.

- Harry Lukon? To jego nazwisko?

- Tak.

- A tamtych dwoje?... Ten Jack Allen z żoną?

- Bardzo przyjemna młoda para. Oni po drodze wzięli go do swego wozu.

- Bungalow numer cztery i pięć... Czy tak? Bertha westchnęła. - Tak.

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Proszę się nie krępować... Niech się pan czuje jak u siebie w domu - odparła Bertha cierpkim tonem.

Jacoby zadzwonił do Beiglera, do komisariatu głównego. Sierżant wysłuchał go i zapewnił, że wyśle zaraz ludzi do motelu. -

I nie ruszaj się stamtąd, Max - zakończył. - To wygląda na interesujący ślad.

Jacoby odłożył słuchawkę.

- Chyba nie warto, żeby panu teraz składała dokładne wyjaśnienia - mruknęła Bertha z obrzydzeniem. - Za chwilę zaroi się tutaj od starszych glin.

Inspektor uśmiechnął się do niej. - A pani nie powiedziała nam jeszcze całej prawdy, pani Harris...

*

O tej popołudniowej godzinie luksusowy bar Klubu Pięćdziesięciu był pusty.

Kiedy Lepski wszedł, Boca Toholo zajęty był rozmieszczaniem oliwek, słodzonych migdałów i innych smakołyków w kryształowych pucharach. Za dwie godziny zacznie się tu prawdziwe piekło.

Boca Toholo był niewielkim, siwiejącym już, chudym człowieczkiem, o oczach czarnych jak węgiel. Na widok inspektora wchodzącego do ciemnej sali odłożył pudełko z migdałami i jego twarz, zmarszczona i opalona, straciła wszelki wyraz. Od razu zorientował

się, że to policjant. Sam fakt, że glina dotarł do tego sanktuarium, był ostrzeżeniem: sprawa była poważna.

Ale Boca Toholo miał czyste sumienie i bez zmrużenia powiek patrzył na Łepkiego.

- To pan jest Toholo?

- Tak, to moje nazwisko - odparł spokojnie stary.

- A ja nazywam się Lepski. Jestem z komisariatu głównego. - Lepski usiadł na jednym z taboretów, oparł się łokciami o błyszczący kontuar i obserwował uważnie Indianina, bez uśmiechu.

- Tak, proszę pana.

- Rozmawiałem właśnie z panem Hansenem. Mam wrażenie, że pamięć płata mu figle. Więc pomyślałem sobie, że pan może mi oddać pewną przysługę.

Barman napełnił migdałami inny puchar. Przez chwilę panowało milczenie, potem Lepski mówił dalej: - Zapytałem Hansena, czy pracował u was młody Indianin w wieku mniej więcej dwudziestu trzech lat, o gęstych czarnych włosach, a on nie był w stanie sobie go przypomnieć. Czy pan może mi odpowiedzieć na to pytanie?

Toholo uniósł głowę. - Czy mówi pan o moim synu?

Lepski nie przypuszczał, że pójdzie tak łatwo. - Pana syn? Jak to?... Pracuje tu w Klubie?

Stary Indianin potrząsnął głową. - Czekala go piękna kariera. To wspaniały barman. Lepszy ode mnie. Zna tę robotę. Ale pan Hansen uważał, że jest za młody, i odprawił go.

Lepski obserwował starca. Nienawiść lśniąca w granitowym spojrzeniu Toholo nie uszła jego uwagi. - I gdzie jest teraz pana syn, Toholo?

- Nic nie wiem, proszę pana. Opuścił Paradise City. Od czterech albo pięciu miesięcy nie mam od niego żadnych wiadomości. Spodziewam się, że znalazł dobrą pracę w jakimś barze. Zna się na tej robocie.

- A jak długo pracował tutaj, zanim go Hansen oddalił?

- Jak długo? Trochę więcej niż dwa miesiące.

- A czy poza panem Hansenem ktoś jeszcze uważał, że jest za młody do tej pracy?

- Nie, proszę pana. Nikt nie skarżył się nigdy na mego syna. Lepski zastanawiał się, przygryzając paznokieć dużego palca.

- Pana syn miał jakiś zatarg z panem Hansenem? - spytał wreszcie.

- To nie są moje sprawy, proszę pana. Chyba dobry strzał - pomyślał Lepski.

- Chciałbym, żeby mi pan coś powiedział o synu, Toholo. Dlaczego do pana nie napisał? Nie zgodzaliście się ze sobą?

Toholo przypatrywał się swoim chudym, ciemnym rękoma. - Czy on ma kłopoty, panie inspektorze?

Lepski zawahał się. Po zastanowieniu się doszedł do przekonania, że odsłaniając karty, może wszystko zyskać. Trzeba podjąć to ryzyko. - Słyszał pan o Mścicielu?

Barman podniósł oczy, jego spojrzenie spoczęło na twarzy Łepskiego. - Tak, proszę pana.

- Wiemy, że morderca jest Indianinem - ciągnął Lepski łagodnym głosem. - Zabił dwóch członków Klubu oraz kobietę związaną z trzecim. To człowiek nienormalny. Musimy go znaleźć, zanim znów kogoś zabije. Wiemy także, że jest młody. Szukamy śladu... Pytam więc, jakim chłopakiem jest pana syn?

Twarz starego zrobiła się szara. - Pan myśli, że mój syn mógł coś takiego zrobić?

- Nie mówię tego. Sprawdzamy wszystkich. Próbujemy odnaleźć Indianina, nie całkiem zdrowego na umyśle, który, jak się zdaje, ma wiadomości z pierwszej ręki o członkach Klubu... Co właściwie było między Hansenem i pana synem?

Z wyraźną rozpaczą na twarzy Boca Toholo ujął szklankę i wycierał ją tak długo, aż zaczęła błyszczeć. Lepski zanotował w pamięci, że ręce mu drżały.

- Ja nic nie wiem, proszę pana. Pan Hansen ocenił, że mój syn jest za młody, żeby tu pracować, to wszystko.

- Ma pan jakąś fotografię swojego chłopaka?

Barman zeszywniał. Postawił szklankę na barze i zmusił się do tego, żeby sięgnąć po drugą. - Nie, proszę pana. My Indianie rzadko się fotografujemy.

- A czy syn żył w zgodzie z członkami Klubu?

Lepski, który nie spuszczał starca z oczu, odgadł instynktownie, że jest on zdruzgotany tymi pytaniami. Wiedział, że jeśli wytrwa, ta rozmowa nie będzie stratą czasu.

- Co proszę? - zapytał Toholo ochryłym głosem. Policjant powtórzył pytanie. Tamten jakby cały się skurczył.

- Miałem nadzieję, że mój syn dostosuje się do warunków, jakie się tutaj stawia dobremu pracownikowi. Ale niekiedy trudno mu było nagiąć się do tego...

Lepski zastanawiał się nad tą odpowiedzią. - O ile dobrze zrozumiałem, to syn miał trudności ze znośnięciem postępowania tych bufonów naładowanych forszą?

Toholo był zaszokowany. - Nie, proszę pana... Absolutnie nie. On jest młody, a młodzi ludzie... - Zawiesił zdanie z gestem rezygnacji.

Lepski poczuł litość dla tego starego człowieka, który czynił tyle wysiłków, żeby nie skrzywdzić swego dziecka. - Czy syn miał już do czynienia z policją?

Ciemne oczy Indianina rozszerzyły się. - Nigdy, dzięki Bogu!

Inspektor milczał przez chwilę, potem zapytał: - A poza policją, czy on miał jakieś kłopoty?

Toholo postawił na kontuarze szklanke, którą wycierał, i zaczął się jej przyglądać. Łepskiego wzruszył smutek starego człowieka. Zapadło długie milczenie. Inspektor powtórzył pytanie.

- Mój syn ma ciężki charakter, proszę pana - odparł wreszcie Indianin chrapliwym głosem. - W domu był trudny. Musiałem poradzić się naszego lekarza. Rozmawiał z Poke'em. Młodzi są dzisiaj skomplikowani.

- A kto jest pana lekarzem?

- Moim lekarzem... - Toholo podniósł głowę - ...doktor Wanniki, ma się rozumieć.

Łepski zapisał nazwisko w notesie. Wychylił się i zajrzał Toholo głęboko w oczy.

- Panie Toholo, czy syn pana jest chory?

Nagle stary Indianin usiadł na taborecie i chwycił się obydwoma rękami za głowę. - Tak... Niech Bóg ma nas w opiece, jego matkę i mnie... Tak, to jest bardzo możliwe.

6

W tym samym czasie, kiedy policjanci przeprowadzali rewizję w obu bungalowach motelu Welcome, Łepski wracał do komisariatu.

Z rykiem syreny przeciskał się przez zatłoczony bulwar. Ponad wszystko lubił siłą torować sobie drogę wśród rollsów, bentleyów i cadillaców wielkiej finansjery. Syrena powodowała u kierowców panikę. Luksusowe samochody ustępowały Łepskiemu miejsca, a on tylko śmigał obok wypasionych bogaczy z czerwonymi policzkami, w nieskazitelnych ubraniach. To jest rekompensata za wyczerpującą pracę, jakiej wymagają od policjanta - myślał, zajeżdżając drogę rollsowi silver shadow, którego właściciela niemal sparaliżowało. Mało brakowało, żeby Łepski nie wychylił się do niego z okrzykiem „Z drogi, padalcu!”.

Wjechał na dziedziniec komisariatu, wyłączył syrenę, wytarł twarz wierzchem dłoni i wysiadł z wozu. Pobiegł, jak mógł najszybciej, przeskoczył kilka schodków i nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

Już dwie noce spędził poza domem i pięćdziesiąt osiem godzin nie myślał o żonie. Co więcej, od chwili kiedy ją opuścił, spał tylko cztery godziny. I to na łóżku polowym w dyżurce na policji!

Pokiwał głową i szybko szedł dalej. W pierwszej sali sierżant Charlie Tanner zajmował się jakimiś błahymi sprawami, które stanowią chleb codzienny każdego komisariatu.

- Charlie, czy pamiętałeś, żeby zadzwonić do mojej żony? - spytał Lepski, zatrzymując się gwałtownie przed biurkiem Tannera.

- Jak mogłem zapomnieć? - odparł kwaśno sierżant. - Nie musiałem do niej telefonować. To ona dzwoniła *do mnie*. Musisz z nią pogadać, bez przerwy blokuje telefon.

- Jasne. A była zdenerwowana? - Lepski zanurzył rękę we włosach.

Tanner zastanawiał się, ssąc końcówkę długopisu. - Nie wiem, co ty rozumiesz przez to słowo - odezwał się wreszcie. - Ale na mnie to ona zrobiła wrażenie tygrysy, której pszczoła wbiła żądło pod ogon.

Lepski przymknął oczy, po czym znów je otworzył.

- Słuchaj, Charlie... bądź kumplem, zadzwoń do niej i powiedz, że nie mam dla siebie ani chwili wolnej. Oddasz mi tę przysługę?

- Nie licz na to! - odparł Tanner z całą stanowczością. - Nie chcę, żeby mi popękały bębenki!

- Bębenki na pewno ci wytrzymają. Dzwoń do niej! Ja telefonowałem do twojej żony, kiedy ciebie przypiliło. Może to nieprawda?

Tanner zmieszał się. Pamiętał tę okropną historię - miał przygodę z pulchną blondynką i tylko nieprawdopodobne kłamstwa Łepskiego uratowały jego małżeństwo.

- To jest szantaż, Tom!

- Trudno, możesz wnieść skargę! - odparował Lepski. - Ale najpierw dzwoń do Carroll i załagodź sprawę!

Powiedziawszy to, Lepski wbiegł na schody. I niedługo później składał raport kapitanowi Terrellowi. Beigler też był przy tym. Gdy Lepski skończył, tamci dwaj wymienili spojrzenia.

- Dobrze, Tom... Pójdiesz do tego lekarza... jak on się nazywa? Wanniki? Jeśli ten chłopak jest tak chory, jak twierdzi jego ojciec, to jest naszym podejrzanym numer jeden. - Po tych słowach Terrell odwrócił się do Beiglera: - Poślij kogoś do domu Toholo. Niech znajdą jakąś fotografię tego młodzieńca i przy okazji odciski jego palców. - Wstał. - A ja przejdę się teraz do Klubu Pięćdziesięciu i pogadam trochę z niektórymi członkami.

Wracając schodami na dół, Lepski zobaczył Tannera ze słuchawką w dłoni. Sierżant dawał mu rozpaczliwe znaki.

Lepski stanął jak wryty. - Co się stało?

- Twoja żona!

Sam widok wzburzonej twarzy Tannera wystarczył, by Lepski dostał skurczów żołądkowych. Po chwili wahania wydarł koledze słuchawkę z ręki.

- Carroll? Właśnie chciałem dzwonić, kochanie. Ale na razie mam pracy powyżej uszu. Później zatelefonuję... Zgoda? Muszę natychmiast jechać...

- Lepski!

Głos małżonki przeszył mu mózg jak kula wystrzelona z rewolweru.

Skrzywił się, a potem rzekł zrezygnowany: - Tak... No, co tam, moje złotko? Tu jest urwanie głowy. Mam już tego gów... To znaczy, wiesz, jestem naprawdę skonany...

- Lepski, może byś skończył z tym gadaniem i zechciał mnie wysłuchać?

Inspektor usiadł na biurku Tannera i rozluźnił krawat. - Powtarzam ci, jestem skonany... Spałem tylko cztery godziny od chwili, kiedy się z tobą pożegnałem. Ja... Zresztą, cholera! Jestem naprawdę zajęty.

- Gdyby ci któregoś dnia wpadło do głowy, że jesteś wolny, wystąpiłabym o rozwód. A teraz lepiej się przymknij i pozwól mi powiedzieć kilka słów.

Lepski palcami wywiercał niemal dziury w biurku Tannera. - Słucham cię.

- Wracam właśnie od Mehitabel Bessinger.

Na te słowa świat zabarwił się na czerwono w oczach Łepkiego.

- Co... i ty jej pewnie znowu dałaś butelkę mojej whisky?

- Kiedy ty wreszcie przestaniesz myśleć tylko o picciu? Mehitabel wiedziała, że Mściciel jest Indianinem. Sama mi to powiedziała. Powtórzyłam ci, ale ty nie chciałeś mnie słuchać! Ona...

- Sekunda... Czy ty znowu dałaś tej cholernej wiedźmie butelkę mojej whisky?

- Lepski, ja tyle razy prosiłam cię, żebyś nie wyrażał się ordynarnie! Przerazony wyrazem twarzy inspektora Tanner instynktownie wyciągnął rękę do podręcznej apteczki.

- No dobrze... To co ta stara alkoholiczka widziała w swojej kryształowej kuli?

- Zabraniam ci tak ją nazywać! Na twoim miejscu wstydziłabym się wyrażać w ten sposób o damie w wieku budzącym szacunek.

Lepski wydał dźwięk, który miał wiele wspólnego z odgłosem, jaki wydobywa się z samochodu, gdy wysiada akumulator.

- Że co? Co to było? - Carroll była przyzwyczajona do różnych reakcji dźwiękowych męża, ale teraz niemal ją zatkało. - Wszystko okej, Lepski?

- Chyba tak.

- Czasami jestem o ciebie niespokojna. Jakbyś nie umiał się skupić... A skoro masz być sierżantem, musisz umieć się skoncentrować.

Lepski wytarł pot, który spływał mu z czoła. - Tak... masz rację. Mów dalej... Już się skoncentrowałem.

- Dzięki Bogu! Mehitabel mówi... ty na pewno mnie słuchasz? Lepski zrozpaczony tupął nogą tak mocno o podłogę, że aż schwycił go ból. Skakał więc na jednej nodze ku wielkiemu przerażeniu Tannera, który gapił się na niego wybałuszonymi oczami. - Tak, słucham - odparł, z nogą zawieszoną w powietrzu.

- Ona mówi, że masz szukać tego typa w pomarańczach.

- W czym?! - ryknął Lepski.

- Nie krzycz tak. Zachowujesz się wulgarnie. Powtarzam: ona mówi, że masz szukać tego typa w pomarańczach. Widziała to w kryształowej kuli.

- Świetnie! W pomarańczach? - Lepski westchnął ciężko. - Słowo daję, nareszcie coś interesującego. Dając taką wskazówkę, ma pewność, że się nie myli. Przecież cała ta przeklęta okolica cuchnie dokoła pomarańczami. Podała super ślad! I dlatego ma prawo do mojej whisky?!

- Powtarzam ci, co mi powiedziała. A już za pierwszym razem miała rację, tylko ty nie chciałeś jej wierzyć. Teraz po raz drugi naprowadza cię na ślad. Puść w ruch twoje szare komórki, Lepski!

- Zgoda, moje złotko, już się skupiam. A teraz muszę już iść.

- Próbuję ci pomóc w otrzymaniu awansu.

- No jasne... jasne... Dzięki! - Lepski zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Nie odpowiedziałas wcale na moje pytanie: czy ta stara przekupka dostała w nagrodę jedną z moich butelek whisky?

Po długim milczeniu Carroll rzekła lodowato: - Wiesz, czasem odnoszę wrażenie, że bęcwał z ciebie. - I rozłączyła się. Lepski odłożył słuchawkę i spojrzał na Tannera.

- Charlie, czy twoja żona powiedziała ci już kiedyś, że jesteś bęcwał?

Sierżant ze zdumienia otworzył usta. - Dlaczego miałaby mi to powiedzieć? Ona chyba nawet nie wie, co to znaczy.

- Ty masz szczęście!

Lepski zbiegł ze schodów po cztery stopnie naraz i zniknął w wozie.

*

Żar słoneczny lał się na nabrzeże i na prążkowane markizy handlarzy owoców. Było późne popołudnie i poważni klienci już odeszli. Od straganu do straganu wałęsało się jeszcze trochę kupujących, którzy liczyli na obniżoną cenę o tej porze. Wielki handel już jednak się skończył.

Jupiter Lucie poszedł na piwo do sąsiedniego baru, zostawiając Poke'a, żeby zajmował się handlem. Dzień był udany, zostało już tylko kilka skrzynek z owocami.

Z cienia wyłonił się Chuck i stanął przed straganem. Małymi oczkami rozglądał się niespokojnie po nabrzeżu. Indianin również. Wreszcie Chuck przysunął się bliżej.

- Są. Mam te pięćset dolarów!

- Dziewczyna nie miała kłopotów? Chuck potrząsnął głową.

Poke, nie spiesząc się, ważył pomarańcze.

- Jutro czeka ją dużo roboty. - Zdjął jeden owoc z wagi i wyszukał inny, mniejszy. - Będzie pięć wypłat.

Chuck przełknął ślinę. - Pięć?

- No tak, dwa i pół tysiąca dolarów. Sporządziłem instrukcję, gdzie je ma odebrać. Kartka jest na dnio torby.

Chuck skinął głową. Rozejrzał się na prawo, potem na lewo i uznając, że nikt go nie obserwuje, wsunął coś do ręki Poke'a. - O ile dobrze zrozumiałem, trzysta pięćdziesiąt dla ciebie i sto pięćdziesiąt dla mnie?

- No tak.

Chuck wziął torbę z pomarańczami i odszedł. A niedługo później Lucie wyszedł z baru i obydwoj z Poke'em zaczęli rozbierać stragan.

Trzeba było czekać na jutrzejszy dzień.

*

Kapitan Terrell miał szczęście. Kiedy wyszedł na plac przy Klubie Pięćdziesięciu, Rodney Branzenstein wyłaniał się właśnie ze swojego rollsa.

Branzenstein był jednym z członków założycieli Klubu. Znakomity brydżysta był również wybitnym adwokatem. Obaj uścisnęli sobie ręce.

- Co pan tu robi, Frank? Chyba pan mi nie powie, że chce się zapisać do tego przybytku?

- Przyszedłem po informacje - odparł Terrell. Branzenstein uśmiechnął się. - No, to jestem do dyspozycji.

Chodźmy przy okazji napić się czegoś.

- Wolałbym pogadać w pańskim szafowym wozie. Wydaje mi się, że wizyta policji w tym przybytku, jak pan to mówi, zrobi raczej kiepskie wrażenie.

- Może ma pan słuszność.

Wyprzedzając Terrella, Branzenstein podszedł do samochodu, otworzył drzwi i usiadł. Terrell obszedł dokoła rollsa i siadł obok adwokata.

- Wspaniały wóz! Telewizor, telefon, klimatyzacja, bar...

- Tb symbole powodzenia, pan wie. Między nami mówiąc, wolałbym prowadzić avisa. Ale słucham pana, Frank...

Terrell przedstawił mu sprawę.

- Poke Toholo? Tak, przypominam sobie. Dobrze prezentujący się chłopak. Potrafił przyrządzać najlepsze cocktaile w Paradise City. Problem polegał na tym, że ten stary pederasta Hansen nie potrafił trzymać łap przy sobie i chłopak musiał odejść.

- Tak przypuszczałem. A jaki był stosunek innych członków Klubu do tego chłopaka?

Branzenstein wzruszył ramionami. - Dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu z nich uważa kolorowych po prostu za małpy. Jeśli chodzi o mnie, to lubię Indian, ale większość członków Klubu traktuje ich jak wytresowane zwierzęta.

- A czy Toholo miał jakieś kłopoty z panią Dunc Browler? Branzenstein zmrużył oczy. - Muszę się zastanowić... Tak, istotnie. To była przykra, stara kobieta. Tylko dwie rzeczy miała w głowie: swoją suczkę i brydza. Któregoś dnia, jak pamiętam, grałem przy innym stole... Jakieś trzy miesiące temu... może trochę więcej... Krótko mówiąc, Toholo przyniósł drinki, a ona wtedy kazała mu wyprowadzić psa, żeby się wysusiał. Toholo odpowiedział, że nie może opuścić baru. Nie słyszałem całej ich rozmowy. Nie okazał się jednak tak usłużny, jak pani Browler sobie życzyła. Zapewne potraktowała go jak Murzyna.

- I co się stało?

- Tamci trzej partnerzy pani Browler powiedzieli Toholo, żeby wyszedł z psem i nie był bezczelny. No i wyprowadził psa.

- Jak nazywali się ci trzej gracze?

- Riddle, McCuen i Jefferson Lacey. Terrell zastanawiał się.

- Wygląda na to, że to wszystko się wiąże, co? - mruknął w końcu.

- McCuen, Riddle, jego przyjaciółka i pani Browler nie żyją. Chciałbym więc pogadać z Jeffersonem Laceyem.

Branzenstein skinął głową. - Nie ma problemu. Jest tu na specjalnych prawach. Ma w Klubie garsonierę. Chce pan, żebym go panu przedstawił?

- Odda mi pan wielką przysługę.

Ale kiedy Branzenstein zapytał portiera, czy Lacey jest u siebie, dowiedział się, że wyszedł przed półgodziną.

Ani Branzenstein, ani Terrell nie mogli domyślić się, że właśnie w tym momencie Jefferson Lacey, z twarzą zmienioną ze strachu, przyklejał kopertę z pięciuset dolarami pod automatem telefonicznym w hallu na dworcu.

*

Meg drwiła sobie ze wszystkiego, kiedy wchodziła do gwarneho hotelu Excelsior, którego klientelę tworzyli biedniejsi turyści.

Poprzedniego wieczoru Chuck zawiadomił ją, że rano będzie musiała zabrać pięć kopert z pięciu różnych kabin telefonicznych.

- Tym razem będziemy kapać się w forsie, mała - powiedział. - A ciebie czeka wielkie odkrycie. Wiesz, jakie?

Meg siedziała na brzegu łóżka ze wzrokiem utkwionym w wytarty chodnik i nie powiedziała ani słowa.

- No, co jest, mała? Masz watę w uszach?

Słyszac groźbę w głosie Chucka, podniosła głowę i zapytała obojętnie: - Jakie odkrycie?

- No, jesteś bliska zrobienia odkrycia podobnego do tego, którego dokonał... Jak mu tam? Kolumb... Dotarłaś do ziemi obiecanej... Znalazłaś opiekuna z forszą!

Popatrzyła na niebo, które widać było przez otwarte okno. Różowe chmury stawały się powoli purpurowe. Zachodziło słońce. - I tym opiekunem z forszą jesteś ty?

- Tak, właśnie ja - odparł Chuck, śmiejąc się. - Wszystkie dziewczyny na tym paskudnym świecie szukają opiekuna, a ty trafiłaś w dziesiątkę. Ty już znalazłaś... mnie!

Meg wpatrywała się dalej w chmury, które zachodzące słońce barwiło krwawym blaskiem.

Chuck zapalił znowu papierosa. - Bieda z tobą przez tę twoją pustkę w głowie. Ale na szczęście dla ciebie, ja mam rozum. Jutro odwiedzisz pięć kabin i z każdej zabierzesz pięćset dolarów. Ile to jest razem? No, powiedz mi całą sumę.

Meg wzruszyła ramionami. - A komu i do czego to potrzebne? Wiesz, nudzisz mnie.

Chuck uderzył ją. Upadła w poprzek łóżka z piekącym policzkiem.

- Powiedz, ile to jest razem! - krzyknął wściekły. - Ile to będzie, jak się doda.

Skierowała na niego spojrzenie, głaskała policzek. Od bladej skóry odbijał czerwony ślad palców Chucka.

- Nie wiem i gwizdżę na to!

Zamknęła oczy i otrzymała drugi policzek.

- Ile to jest razem, mała?

Z zamkniętymi oczyma czekała nieruchoma i drżała.

- Dobrze... Niech będzie... Jeśli jesteś taka głupia! - rzekł Chuck ze wstrętem. - Chcesz, żebym ci coś powiedział? Nudzisz mnie! Nie masz ani krzty ambicji. Jutro uzbierasz dwa i pół tysiąca dolarów! Wtedy pojedziemy razem. Z tą całą forszą.

Zrozumiała nagle, co znaczą te słowa, i zaświtał jej promyk nadziei Otworzyła oczy.

- A on? - spytała.

- Popatrz! A jednak masz coś w głowie - mruknął Chuck drwiąco. - Powiem ci: to są pierwsze inteligentne słowa, jakie powiedziałaś, odkąd cię znalazłem.

Znalazłem...

Meg pogrążyła się w kontemplacji brudnego sufitu. On mnie znalazł... Jak zabłąkanego psa albo zagubionego kota... Tak... istotnie taka była... Zabłąkana, zagubiona.

- No... czy ty przestaniesz się zachowywać jak głuchoniema i zaczniesz mnie słuchać?

Dobrze było tak wyciągnąć się na łóżku, wieczorny wietrzyk wpadał przez otwarte okno i pieścił jej policzek, płonący i bolesny. Nie wymagało to żadnego wysiłku. I nawet do słuchania brutalnego głosu Chucka niepotrzebny był żaden wysiłek.

- Ten Indianin to wariat, nie ma wszystkich klepek w porządku. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale on omal mnie nie zabił. Za pierwszym razem. Przypominasz sobie? Kiedy poszliśmy się kąpać.

Dlaczego zadaje sobie ten trud, żeby mi teraz o tym mówić? Tb nie było żadną rewelacją. Przecież ostrzegęła go, że Indianin jest chory.

- To wariat, zgoda, ale udało mu się wykombinować sposób na szybkie zdobycie forsy. Tylko to nas interesuje. Dlatego zostałem jego kumplem. Ale kiedy już będziemy mieli forszę, te dwa tysiące pięćset dolarów... żegnaj!

Meg pomyślała o domu. Nagle ujrzała wyraźnie ojca i matkę siedzących w nędznym pokoju przed telewizorem. Niekształtne ciało matki zagłębione w fotelu... Ojciec miał zwyczaj zsuwania protezy językiem i kłapięciem przesuwał ją z powrotem. Podczas oglądania matka zawsze zdejmowała pantofle. Miała duże stopy, zdeformowane przez nagniotki...

- Hej, mała!

Głos Chucka brutalnie przywrócił jej poczucie chwili obecnej. Ponury pokój z wilgotnymi plamami na ścianach, hałas portowy wdzierający się przez otwarte okno...

- Słucham.

- Jak tylko pozbierasz forszę, wsiadamy do jego samochodu i zwijamy żagle. Nie będzie mógł nic zrobić. Dwa tysiące pięćset dolarów...

Przypomniała sobie słowa Chucka: „Kędy się spikniesz z takim narwanym Indianinem, to już nie są żarty... Pewnie mogłabyś dostać się do Miami... Tylko jaki to interes znaleźć się w Miami z nożem w brzuchu albo z dziurą w głowie?”

Od tej chwili Meg przestała myśleć o śmierci, o cierpieniu, o policji. O czymkolwiek. Bo nic już nie miało znaczenia...

Hall w Excelsiorze zapchany był turystami, czekającymi cierpliwie jak stado baranów na autokar, który miał ich zawieźć do innego hotelu, równie ponurego jak ten, o równie pretensjonalnej nazwie.

Nikt nie zwracał uwagi na Meg, kiedy szła w kierunku kabin. Kabina numer 3 była wolna. Weszła, wsunęła rękę pod automat. Koperta przyklejona była taśmą. Oderwała ją i włożyła do torebki, nawet nie udając, że telefonuje. Gwizdała już na ostrożność.

Wyszła z hotelu, przeszła przez bulwar. Słońce paliło jej policzki. Wsiadła do buicka, otworzyła torebkę i rzuciła kopertę na kolana Chucka.

- Nie było kłopotów?

Widziała, jak odwrócił głowę w stronę hotelu, jego małe oczka biegały tam i z powrotem. Szczur schwyty w pułapkę... Jemu nie było wszystko jedno, myślała. Bał się, ale ona pozbyła się teraz wszelkiego strachu. Jeden punkt dla niej - napełniało ją to uczuciem lekkiego triumfu.

Patrzyła, jak rozdarł kopertę, przeliczył pieniądze. Gwizdnął cicho. Ten człowiek był uosobieniem strachu i chciwości. Niedojrzałość przebijała z jego opalonej twarzy i myśl Meg o beznadziejnej przyszłości, jaka czekała ją u boku Chucka, była ponura jak cafun opuszczony na twarz zmarłego.

- Teraz na dworzec - powiedział. - Kabina numer osiem. Ale tam nie będę mógł zaparkować. Będę kręcił się w kółko i zabiorę cię po drodze.

Jechał małymi uliczkami, żeby ominąć bulwar, gdzie panował duży ruch. Meg, nieruchoma, ścisnęła ręce kolanami, patrzyła niewidzącymi oczami w zakurzoną szybę.

- No, to ruszaj, mała.

Myśli Meg odbiegły o kilometry od Paradise City. Jej towarzysz musiał potrząsnąć nią brutalnie, żeby obudziła się z transu; dopiero teraz zaczęła doceniać bezpieczeństwo odległej przeszłości.

Weszła na dworzec, przeciskała się przez tłum, żeby dostać się do kabiny numer 8. Zabrała kopertę przyklejoną pod automatem, włożyła ją do torebki, wyszła i czekała przed wejściem.

W minutę później buick zwolnił. Wsiadła i Chuck od razu ruszył.

- I co, nie było kłopotów?

Znowu pocił się i rozglądał na wszystkie strony rozbieganymi oczami.

- Nie.

Gwizdnął cicho. - Cholera, to nie jest trudniejsze niż zrywanie czereśni.

Na najbliższym postoju, jaki udało się mu znaleźć, zatrzymał się.

- Dawaj!

Oddała mu kopertę. Kiedy ją rozdzierał, obserwowała sznur luksusowych samochodów. Twarze dobrze odżywione. Kobiety w okropnych kapeluszach, mężczyźni z popękkanymi żyłkami, tworzącymi jakby sieć pajęczą na policzkach. Ci ludzie żyją bezpiecznie, myślała. Czy to jest pełnia bezpieczeństwa - ogromne wozy, utuczone ciała, purpurowe twarze i kapelusze z kwiatami?

- Mamy już tysiąc dolarów - mówił Chuck, kładąc kopertę do schowka na rękawiczki.

- Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Tak wygląda opiekun nadziany złotem!

Skinęła głową, niemal wcale go nie słuchała. Wyciągnął z kieszeni papier, który znalazł na dnie torby z pomarańczami Poke'a.

- Jedźmy dalej! Hotel Adlon, kabina czwarta. Adlon? To ten trzeci budynek na prawo, co?

- Nie wiem.

- Ty byś coś wiedziała! - mruknął przez zęby. - W cholere, zawsze to ja muszę myśleć za dwoje.

Dziesięć minut później Meg wyszła z hotelu Adlon. Kiedy buick zatrzymał się, wsiadła i Chuck spojrzał na nią niespokojnym wzrokiem.

- Nie było kłopotów?

- Nie.

- Ten śmierzdel miał naprawdę genialny pomysł! - krzyknął Chuck, wciskając wóz na wolne miejsce.

Zgasił silnik i rozdarł kopertę.

- Tysiąc pięćset - mruczał. - Jeszcze dwa razy i pakujemy manatki. - Przeglądał listę. - Najpierw port lotniczy, kabina C. Potem dworzec autobusowy, kabina numer sześć.

*

Znalazł jakoś miejsce blisko wejścia na lotnisko.

- Pośpiesz się, mała. Ja tu zaczekam.

Meg oddaliła się szybko po pasie asfaltu i weszła do hallu. Był tam tłum ludzi. Nie troszczyła się wcale, czyją ktoś obserwuje. Jakiś mężczyzna wychodził właśnie z kabiny C. Spojrzał na nią, w jego oczach widniała dezaprobata. Wiek dojrzały, lekko zaokrąglony brzusek, garnitur jak spod igły... Ominęła go w przejściu, zawsze bała się takich typów.

Nie zadała sobie nawet tyle trudu, żeby zamknąć drzwi albo upewnić się, czy ten człowiek jej nie obserwuje, i wsunęła rękę pod aparat. Palce jej napotkały tylko metal.

Zesztywniała. Spróbowała raz jeszcze. Koperty nie było! Odwróciła się szybko, żeby spojrzeć na oszklone drzwi. Nie pomyliła się: kabina C.

- Na co pani tam czeka... Pani telefonuje czy nie? - krzyknął jakiś nerwowy głos.

Jeszcze jeden typek z brzuszkiem, zapięty na ostatni guzik - pomyślała, wychodząc. Dobry Boże! Jak ona nienawidziła tych obrzydliwców, wiodących szczęśliwą egzystencję, z ich zadowolonymi i pretensjonalnymi minami.

Pędem wróciła do buicka.

- Dobrze poszło? - spytał Chuck, zapalając silnik.

- Nie.

Ręka Chucka znieruchomiła. - To znaczy?

- Mówiłeś kabina C?

- Tak... nie zrozumiałaś mnie?

- Zrozumiałam, ale tam nic nie było.

Twarz Chucka stwardniała. - Nie próbuj tylko mnie bujać, ty zdziro!

Rzuciła mu torebkę na kolana. - Popatrz. Możesz sam iść i przekonać się. W tej kabynie C nic nie ma.

Chuck oddał jej torebkę. - Wracaj i przeszukaj wszystkie kabiny. Może to jakiś błąd.

- Idź sobie sam.

Uderzył ją pięścią w kolano. Skurczyła się z bólu, chwyciła nogę obydwoma rękami.

- Idź sprawdzić wszystkie kabiny! - zazgrzytał zębami. Meg wysiadła z wozu i poszła raz jeszcze tą samą drogą. Kolano bolało ją tak bardzo, że kulą.

Niemal wszystkie kabiny były zajęte. Ale teraz już drwiła sobie z tego, czy się z nią coś złego stanie. Otwierała drzwi, nie troszcząc się o to, czy ktoś telefonuje, odsuwała osobę, która się tam znajdowała, sięgała ręką pod automat i przechodziła do następnej kabiny. Na widok jej bladej twarzy i błyszczących oczu milkły protesty.

W ostatniej kabynie telefonował jakiś korpulentny jegomość, w kapeluszu tweedowym, z cygarem w zębach. Oparł się o ścianę, kiedy Meg pochyliła się, żeby sięgnąć pod aparat.

- Szukasz czegoś, malutka? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- W każdym razie nie ciebie, pedziu - odpowiedziała, odwracając się na pięcie.

Pobiegła z powrotem do buicka.

- Pusto - powiedziała, siadając.

- Cholera! Co się mogło stać? Myślisz, że jakiś idiota cię uprzedził?

Meg pocierała kolano, które wciąż ją bolało. - Nie wiem.

- Nie potrafisz nic innego powiedzieć? - warknął Chuck. - Tu chodzi o pięćset dolarów!

Włączył silnik i skręcił w stronę dworca autobusowego. Przez cały czas nie przestawał mruczeć i walić pięścią w kierownicę.

- Ty robisz sobie z tego tyle, co z zeszłorocznego śniegu, biedna kretynko!

Meg milczała. Siedziała skulona, z oczami wpatrzonymi daleko przed siebie i masowała kolano.

Kiedy przyjechali na dworzec, Chuck stwierdził, że nie ma się gdzie zatrzymać. Zwolnił, wyciągnął ramię i otworzył drzwi z prawej strony.

- Kabina numer sześć... Wyskakuj! Zabiorę cię, jak będę przejeżdżał.

Buick odjechał, a Meg zmieszała się z tłoczącym się tłumem w poczekalni.

W kabynie numer 6 telefonowała jakaś dziewczyna z twarzą jakby wykutą w kamieniu. Miała długie, jasne włosy, paznokcie ostre jak szpony. Wszystko, co nosiła na sobie, było kosztowne. W czasie rozmowy poruszała dłonią, na której błyszczały trzy brylanty.

Po chwili dziewczyna wyczuła, że ktoś ją obserwuje, i przestała gestykulować. Zaintrygowana osobką stojącą nieruchomo w brudnym swetrze, w poplamionych spodniach, z włosami zwisającymi w nieładzie, nie była w stanie się skupić. Wreszcie odwiesiła słuchawkę, pchnęła oszklone drzwi i obesła Meg dokoła, żeby się z nią nie spotkać.

Meg weszła do kabiny pachnącej luksusowymi perfumami. Koperta była na swoim miejscu.

Kiedy wychodziła, młody człowiek w żółtym swetrze z golfem, w białych spodniach, z długimi włosami, baczkami aż pod brodę - uśmiechnął się do niej.

- Poszukiwaczka skarbów? - spytał.

Kiedy indziej na widok takiego chłopaka zmiękłaby jak wosk. Teraz widziała w nim jedynie samca, źródło wszystkich zmartwień. Przeszła obojętnie obok niego. Chłopcy tego pokroju, czysti, zamożni, piękni, skończyli się dla niej. Oddalając się tak, miała wrażenie, że umiera.

Wróciła i oddała kopertę Chuckowi. Ten otworzył ją, wyjął pięć setek.

- Dwa tysiące - mruknął, zamyślając się nad czymś. Włożył kopertę do schowka. - Zwiewamy stąd, mała. Dwa patyki to lepiej niż nic. Wpadniemy tylko po rzeczy i potem prosto do Los Angeles...

Gdy jechali przez Paradise City, Meg patrzyła na mijane auta, na plażowiczów wylegujących się na piasku i na kramy z owocami, kiedy dotarli już blisko portu. Tam się zatrzymali.

Chuck sięgnął po koperty i wsunął je za koszulę.

- Wsiadamy... Spakujemy tylko plecaki.

W głosie jego wyczuwało się zdenerwowanie. Popatrzył na zegarek. Dwunasta czterdzieści pięć. Poranek był dzisiaj bardzo długi. Za pół godziny wjadą na autostradę numer 25: Belle Glade, Whidden, Buckingham, Nocatte, potem szosą 17...

Dwa tysiące dolarów, to lepiej niż nic!

Przeszli nadbrzeżem. Skręcili w cuchnącą uliczkę, gdzie znajdował się ich hotel.

Otyły Indianin siedział za biurkiem. Powiódł tylko wzrokiem za nimi, gdy wspinali się po schodach na piętro.

Dwa tysiące! - rozmyślał Chuck, idąc za Meg. I samochód! Ten szurnięty Indianin nie odważy się zameldować policji o zniknięciu wozu. A kiedy już ruszą w drogę, pozbędą się tego Poke'a na dobre! Z dwoma tysiącami dolarów w kieszeni!

Meg zatrzymała się na progu.

- No dalej... wchodź do środka - rzucił Chuck niecierpliwie. Odepchnął ją i wszedł do pokoju.

Poke Toholo siedział na łóżku i jadł pomarańczę. Gdy Chuck stał jak skamieniały na progu, Indianin wypluł pestkę prosto na podłogę.

- Ile przywozicie? - spytał. Jego ciemne oczy błyszczały.

*

W tym czasie, kiedy Meg czekała na dworcu, aż wyperfumowana dziewczyna skończy rozmowę przez telefon, kapitan Terrell doszedł do ostatecznego wniosku, że

Mścicielem jest Indianin, Poke Toholo. Odkładając na biurko ostatni raport, który właśnie przestudiował, usiadł wygodnie w fotelu i zapalił fajkę.

- Oto człowiek, którego szukamy - powiedział do Beiglera. - Teraz trzeba go znaleźć.

Raport policyjny nie zawierał żadnych wątpliwości. Przede wszystkim odciski palców znalezione w motelu były takie same jak odciski w małym pokoiku, w którym mieszkał Poke przy swoich rodzicach. Poza tym stwierdzono, że pod materacem w bungalowie ktoś ukrywał strzelbę. Był to dowód nie do podważenia, broń pozostawiła wgłębienie, a na prześcieradle znaleziono ślady smaru.

Ponadto rysopis przedstawiony przez Berthę Harris odpowiadał całkowicie opisowi, który Lepski otrzymał od doktora.

Doktor Wanniki miał przeszło osiemdziesiąt lat i słaby wzrok. Inspektor odniósł wrażenie, że szwankował również trochę na umyśle. Mimo dolegliwości, na które cierpiał, nie zawieszał praktyki, a Indianie przychodzili do niego, gdyż jeszcze ich dziadkowie leczyli się u doktora Wanniki.

„Poke nie jest złym chłopakiem - tłumaczył Łepskiemu. - Może trochę ciamajdo waty, ale wszyscy młodzi są tacy... Czy jest chory umysłowo? - Stary głaskał swój szorstki podbródek. Zapomniał się dziś ogolić. - Pan wie, jak wiele jest ludzi nie zrównoważonych. Nie powiem, że Poke... - Przerwał. Skierował na inspektora niespokojne spojrzenie, jakby nagle przyszło mu na myśl coś, o czym jeszcze nigdy nie pomyślał: - On ma jakby niedobry charakter...”

Na próżno Lepski zasypywał go pytaniami, nie mógł wydobyć z niego nic więcej, poza rysopisem odpowiadającym sylwetce Indianina z motelu Welcome.

- No dobrze... - dodał Terrell. - Wiemy już, kim on jest, ale dręczy mnie motyw tych zbrodni. Czy jest możliwe, że zamordował tych wszystkich ludzi jedynie dlatego, że poczciwa stara dama kazała mu wyprowadzić pieska?

- To wariat - odparł Beigler - ogarnięty żądzą krwi. Terroryzuje bogaczy. Nigdy nie można wiedzieć, co się wylęgnie w mózgu wariata.

- Dlatego musimy go szybko znaleźć.

- No tak. - Beigler był już przygotowany na to zadanie. - Mamy w Paradise City zarejestrowanych kilkadziesiąt rodzin indiańskich. Połowa Indian jest do siebie podobna jak bliźnięta, a druga połowa różni się tylko tym, że jest starsza. Najlepiej by było, gdybyśmy ogłosili, że chcemy pogadać z Poke'em Toholo. Trzeba działać wspólnie z radiem, telewizją i prasą. Może burmistrz zgodzi się przyznać nagrodę? Gdyby była znacząca, może udałoby się wypędzić wilka z lasu...

Terrell zastanawiał się nad tą propozycją.

- Indianie wszyscy trzymają ze sobą. On nie wie dotąd, że jesteśmy na jego tropie... - Przerwał, żeby zapalić fajkę. - Ale gdy się dowie, zniknie. Na razie czuje się dość bezpieczny, żeby działać otwarcie. Kiedy jednak się ukryje, niełatwo będzie go odszukać...

- Nie wtedy, gdy nagroda będzie wysoka - wtrącił Beigler, który wierzył w moc pieniądza.

- Ale przecież nasi ludzie sporo czasu ostatnio poświęcili na kontrolę kolonii indiańskiej... I co osiągnęli?

- Górę raportów. Mamy z tego chyba tonę papieru.

- I co zrobiłeś z tymi papierami?

- Przekazałem wszystko Jackowi Hatchee.

Terrell patrzył na Beiglera, mrużąc oczy z powodu kopczącej fajki. - To chytry pomysł, Joe.

- Zdarza mi się to od czasu do czasu - odparł Beigler z nutką zadowolenia w głosie. - Jeśli Jack nie potrafi nic wyciągnąć z tych raportów, nikomu to się nie uda...

Jack Hatchee, jedyny Indianin w policji miejskiej, pracował w archiwum. I mimo zaawansowanego wieku słynął z dobrej pamięci.

- To może już sprawdź, czy coś znalazł.

Beigler potrząsnął głową. - Sam nam to powie. Ma do przejrzenia górę papierów i nie należy do ludzi, których można popędzać. Lepiej zostawić go w spokoju. Wie, że to pilna sprawa.

Terrell ssał fajkę. Po dłuższej chwili namysłu zaczął przerzucać stos raportów leżących na biurku i znalazł wreszcie dwie kartki, które zaczął czytać, podczas gdy Beigler zapalał papierosa.

- No to czekajmy. Zobaczymy, czy Jack coś znajdzie - odezwał się wreszcie Terrell. - Bo jeśli roztrąbimy, że szukamy Toholo, roztoczą nad nim zasłonę dymną i nie uda nam się go znaleźć... - Przyrzędem do czyszczenia fajki uderzał w papier, który trzymał w ręku. - Ale jest jeszcze tamtych dwoje, Jack Allen z żoną. Wiemy, że Poke miał współnika. Według tego, co mówi ta Harris, mężczyzna i kobieta przyjechali razem z nim do motelu. Można się założyć bez ryzyka, że ta para jest z nim w zмовie. Mam tu opis tych dwojga i ich samochodu. Trzeba się zająć nimi, Joe. Jeśli ich znajdziemy, zaprowadzą nas do Poke'a. Niech chłopcy popracują nad tym. - Podał kartki Beiglerowi. - Ci dwoje muszą się gdzieś gnieździć. Niech sprawdzą wszystkie pokoje gościnne, pensjonaty i szukają buicka. Kiedy ich znajdziemy, złapiemy Tbholo.

Zadzwonił telefon wewnętrzny, Terrell nacisnął guzik.

- To pan, szefie? - odezwał się sierżant Tanner.

- Co się stało, Charlie?

- Jest u mnie pewna kobieta. Chce z panem mówić. Nazywa się Matilda Dobey. Tłumaczyłem jej, że pan jest zajęty, na co odpowiedziała, że ona także jest zajęta, ale ma coś bardzo ważnego.

- Spytałeś, o co chodzi?

- Tak... ona mówi, że mnie to akurat nic do tego - odparł Tanner z goryczą.

Terrell zawahał się, potem wzruszył ramionami.

- Dobrze, przyprowadź ją. Matilda Dobey... - Zwrócił się do Beiglera: - Mówi ci coś to nazwisko?

- Jeśli to ta sama, wolałbym, żeby mnie tu zaraz nie było - odparł Beigler, wstając. - Idę rozdać naszym zadania... - I opuścił szybko pokój.

Niedługo później sierżant Tanner zapukał i otworzył drzwi.

- Pani Dobey, szefie - zaanonsował, wsuwając tylko głowę do środka.

Terrell odsunął stos dokumentów, które zawałyły biurko, i westchnął zrezygnowany: - Wprowadź ją, Charlie.

Matilda Dobey była małą, drobną osóbką, dobiegającą osiemdziesiątki. Ubrana była czarno, schludnie i skromnie. Włosy miała białe jak śnieg i błękitne oczy o żywym spojrzeniu.

- Pan jest komendantem policji? - spytała, stając przed Terrellem, który wstał również i uśmiechnął się do niej swym najgorętszym i najmiłszym uśmiechem.

- We własnej osobie, pani Dobey.

Wyszedł zza biurka, żeby podać krzesło gościowi. - Proszę, niech pani siada.

Pani Dobey spojrzała na niego z uznaniem. - Dziękuję. Nie jestem już tak rześka jak dawniej, ale nie uważam się jeszcze za starą.

- Napije się pani kawy? - spytał Terrell, siadając.

- Nie, dziękuję, nie mam czasu. Nadłożyłam kawał drogi, niech mi pan wierzy. Muszę wracać i przygotować obiad Dobeyowi, w przeciwnym razie będzie się niepokoił.

- Czym mogę służyć? - spytał Terrell.

- Wracam z lotniska. Odprowadzałam wnuka na samolot. Chciałam potem zadzwonić do córki, żeby ją zawiadomić, że Jerry... to ten mój wnuk... odleciał szczęśliwie. - Umilkła na chwilę. - Nie chciałabym, żeby pan pomyślał, że zawracam głowę. Wiem, że kiedy ma się do czynienia z policją, trzeba mówić krótko. Prawda?

- Całkowita. - Wielką zaletą Terrella była cierpliwość. To była jedna z przyczyn jego awansu na komendanta policji.

- Córka pracuje w biurze. A moja siostra z Miami zajmuje się czasem Jerry'ego... Ale to chyba pana nie interesuje. Zgodziłam się wsadzić Jerry'ego do samolotu, bo córka nie mogła zwolnić się z pracy. Taka jest rola babć. Czyż nie tak?

Terrell skinął głową i palił fajkę. - Ma pani zupełną słuszność, pani Dobey.

- Córka też uważa to za rzecz naturalną. Młodzi są właśnie tacy. Ale ja się nie oburzam. Ani nie skarżę...

Terrell wytrząsnął fajkę do popielniczki. - I co, zatelefonowała pani potem do córki?

Czekając na odpowiedź, zaczął napełniać na nowo fajkę.

- No tak. Weszłam do kabiny i niech pan sobie wyobrazi, upadła mi torebka... - Jej pytające spojrzenie świdrowało Terrella. - Można powiedzieć, że to starość, ale to się przecież może zdarzyć każdemu.

- Oczywiście. Ja sam bywam nieraz niezręczny.

Pani Dobey patrzyła podejrzliwie na Terrella. - No, nie musi pan być aż tak uprzejmy...

- Hm, a więc upadła pani torebka...

Uśmiechnęła się miło. - Ja dobrze wiem, panie komendancie, że mówię czasem za dużo. Proszę mi wybaczyć. - Wygodniej usiadła na krześle, nim powróciła do głównego wątku: - Kiedy schyliłam się, żeby podnieść torebkę, zobaczyłam kopertę przyklejoną pod aparatem. - Otworzyła dużą, wytartą torebkę i wyjęła kopertę. - Wydawało mi się dziwne, że ktoś w tym miejscu umieścił kopertę. I pewnie źle zrobiłam, że tak zaraz ją otworzyłam. Ale inaczej to przecież skąd mogłabym wiedzieć, co w niej jest? Chociaż może trzeba było oddać ją pierwszemu spotkanemu policjantowi, bez otwierania? Pan myśli, że tak powinnam była zrobić?

- Co jest w tej kopercie? - spytał Terrell, nie odpowiadając na pytanie.

- Pieniądze, dużo pieniędzy. - Znowu spojrzała na niego. - Jak tylko je zobaczyłam, zrozumiałam, że nie powinnam była tego otwierać i że muszę przyjść do pana, a nie zwracać się do jakiegoś przygodnego policjanta. Taka suma jest czymś kuszącym, a policjanci nie są milionerami...

Terrell przełknął ślinę. - Może mi ją pani oddać. Dam pani pokwitowanie.

- Nie jest mi potrzebne - odparła, podając mu kopertę. - Chcę tylko już wrócić do domu i przygotować obiad mojemu Dobeyowi...

7

Poke Toholo rzucił resztę pomarańczy na podłogę. Kopnął ją obcasem pod łóżko. Wytarł palce o spodnie i wyciągnął rękę.

- Ile zebrałeś? - spytał.

Chuck posuwał się naprzód z taką miną, jakby się znajdował w pomieszczeniu pełnym nieczystości i obawiał się, że podłoga runie pod ich ciężarem.

Widok Indianina siedzącego na łóżku sparaliżował go. Przed dziesięcioma minutami widział się już za kierownicą buicka. Meg obok niego... z dwoma tysiącami dolarów w kieszeni. Ta brutalna zmiana losu stępiła jego refleks. Jakby ktoś jednym cięciem rozerwał jego szare komórki.

- Ile zebrałeś? - powtórzył Poke.

Chuck opanował się i umysł jego zaczął pracować. Zastanawiał się: czyżby ten wariat domyślał się czegoś?

Obserwował Poke'a - brązowa maska bez wyrazu, czarne błyszczące oczy - ale nic nie wskazywało na to, że podejrzewa zdradę.

- Jeden nie zapłacił - odparł Chuck ochryłym głosem. Uświadomił sobie, że Meg stała za nim. Posunął się o jeden krok naprzód, żeby mogła wejść.

Meg, nawet nie spojrzawszy na Poke'a, zbliżyła się do okna i usiadła na jedynym krześle z prostym oparciem. Ręka jej opadła w dół. Gest ten wyrażał taką obojętność, że Chuck miał ochotę ją spoliczkować. Przechyliła się, łokcie oparła o parapet okienny i pogрузzyła się w obserwowanie nabrzeża.

Poke spojrzał na twarz swego współnika. - Czy przypuszczasz, że to ci tak łatwo ujdzie?

Chuck zwilżył językiem wysuszone wargi. - Możesz ją zapytać... To ona zbierała koperty.

- Ale ja mówię do ciebie - rzekł Toholo.

Chuck wyjął powoli z kieszeni koszuli cztery koperty mokre od potu i rzucił je na łóżko.

- Jeden nie zapłacił. Ten z portu lotniczego. Kazałem Meg wrócić. Sprawdziła wszystkie kabiny.

- W porcie lotniczym? - Najwyraźniej się odprężył. - Hansen... Tak... Teraz ci wierzę. Hansen odmówił zapłaty, to normalne. Ale jednak zapłaci...

Chuck nie rozumiał znaczenia tych słów. Oparł się o ścianę i próbował odzyskać równowagę, obserwując Poke'a, który otwierał koperty i liczył pieniądze. Niedbałym ruchem rzucił sześć banknotów studolarowych w kierunku Chucka.

- Jutro będzie znów pięć. - Poke wyjął z kieszeni kawałek papieru i upuścił go na łóżko. - To jak dojna krowa, co?

- No - mruknął Chuck, podczas gdy Toholo wpychał resztę pieniędzy do kieszeni. - No tak... jasne.

Poke wstał i skierował się ku drzwiom, wymijając Chucka.

- Możliwe, że nie wszyscy zapłacą, ale większość przyniesie forszę w zębach. - Zajrzał Chuckowi prosto w oczy. - Bo się boją. Kiedy ludzie mają pietra, robią, co im się każe.

Po tych słowach wyszedł.

Zapadło długie milczenie. Przerwała je Meg, która nagle zapytała, nie odwracając się od okna: - Chcesz, żebym spakowała plecaki?

- Nie słyszałaś, co on mówił, nieszczęsna idiotko? - mruczał. - Odkładamy to do jutra.

- Naprawdę?

Powiedziała takim tonem, że posłał jej ostre spojrzenie. Ale ona dalej patrzyła przez okno. Włosy zasłaniały jej twarz. Na dźwięk jej głosu robiło mu się niedobrze. Nagle też uświadomił sobie, że sam nie miałby odwagi chodzić do kabin i zbierać pieniędzy. Zatkało go. Na samą myśl, że gliny mogłyby mu skoczyć na kark w chwili, kiedy wyjmował kopertę ze skrytki, oblał go pot.

Wziął papier, który mu zostawił Poke, i przebiegł wzrokiem:

Port lotniczy.....kabina B

Dworzec autobusowy... kabina 4

Dworzec centralny.....kabina 1

Excelsior.....kabina 2

Adlon.....kabina 6

Załóżmy - rozmyślał - że na tych pięciu tylko trzech zgodzi się bulić forszę. Tysiąc pięćset dolarów i sześćset, które mu Poke dzisiaj dał! Ale tym razem tutaj nie wróci. Jak tylko zainkasuje ostatnią kopertę - zwieją. To, że wrócili do hotelu po rzeczy, było oczywistym błędem.

- Słuchaj - powiedział. - Jutro bierzemy pieniądze i znikamy. Nie będzie już żadnego powrotu do tej nory. Jutro, jak tylko będziemy mieli forszę, uciekamy. A kiedy on się zorientuje, będziemy daleko za Paradise.

Odwróciła się do niego.

- Biedny z ciebie człowiek, Chuck - rzekła łagodnym głosem. - Sądziłam, że jesteś kimś. O tak. Kiedy cię spotkałam, myślałam, że jesteś kimś. Chyba jestem idiotką. I teraz już nie mam. Nawet mniej niż nic...

- Podzielimy się tymi dwoma tysiącami dolarów, dziewucho! To mniej niż nic? - odparł w złości Chuck. - Jutro będziemy wolni. I ty pójdziesz tam, co?

Znowu odwróciła się do okna. Łowcy gąbek wracali do portu. Jacyś trzej mężczyźni mocowali się z ogromnym żółwiem. Indianie z okrzykami podsuwali pomarańcze pod nos obojętnym klientom.

Chuck zbliżył się do niej, ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Jego ręce były mokre.

- Pójdziesz? - powtarzał, potrząsając nią.

- No jasne - odparła. Na widok jej pustego spojrzenia Chuck zwolnił uścisk. - Ale żebyś wiedział, jak mi to wszystko wisi. Ty opiekunie nadziany złotem. Ha, ha!

*

Poke zszedł tymczasem na dół i zatrzymał się przed biurkiem otyłego uśmiechniętego Indianina.

Właściciel hotelu nazywał się Ocida. Za jego puciołowatą i dobroduszną twarzą krył się przewrotny umysł. Hotel służył mu do zakamuflowania jego licznych interesów. Był to człowiek niezwykle aktywny. Miał konto w banku szwajcarskim. Stał na czele sieci handlarzy LSD, kontrolował dwadzieścia sześć prostytutek indiańskich, które oddawały mu czwartą część swych zarobków. Pobierał dwa procent od wszystkich transakcji dokonywanych w handlu owocami na podstawie starego kontraktu z syndykiem Mafii. Otrzymywał jeden procent dochodów producentów zupy z żółwia, gdyż wielu Indian pracowało w fabrykach konserw, a Ocida kontrolował większą część indiańskiej siły roboczej. Pobierał trzy procent dochodu z parkingu na nabrzeżu. Jeżeli nie otrzymał swojej części, samochody staczały się do wód portowych.

Wszehobecny i niewidoczny ze wszystkimi kombinacjami tej dzielnicy, był dostatecznie sprytny, by pozostać w cieniu.

Wystarczyło mu do szczęścia, żeby siedzieć w biurze tego nędznego hotelu, dłubać w zębach i z uśmiechem na ustach przeprowadzać w myślach obliczenia. Na niego pracowali inni. Jego kapitały płynęły do Berna w Szwajcarii. Dla Ocidy pieniądze były tym, czym obraz Picassa dla miłośnika sztuki. Posiada się je, gromadzi, podziwia dla pomnożenia swej radości.

Ocida lubił Poke'a Toholo. Wiedział, że jest on niebezpiecznym człowiekiem, ale jeśli dla utrzymania się przy życiu eksploatuje się ten świat złożony z głupców, trzeba być niebezpiecznym człowiekiem.

Wiedział, że Poke Toholo i Mściciel to jedna osoba, znał bowiem doskonale świat przestępczy Paradise City. Uważał, że to genialny pomysł dobrać się do skóry białym, cenił przecież genialność we wszelkich formach.

Wiedział również, że Poke jest trochę zwariowany. No i cóż z tego? Jest całe mnóstwo ludzi nie całkiem normalnych, którzy dokonali rzeczy wybitnych. Pomyłony czy nie, chłopak, który wpadł na pomysł terroryzowania białych bogaczy dla zdobycia pieniędzy, zasługiwał na uznanie Ocidy.

Kiedy więc Poke stanął przed nim, Ocida ofiarował mu jeden ze swoich najbardziej promiennych uśmiechów.

- Potrzebna jest mi spluwa - mruknął Poke.

Ocida przechylił się. Z małego pudełka wyjął wykałaczkę z gęsiego pióra i wsunął między zęby w złotych koronach, nie spuszczać oka ze swego rozmówcy.

- Jakiego rodzaju?

- Dobra. Trzydziestka ósemka. Precyzyjna.

Ocida wytarł wykałaczkę o rękaw i włożył ją z powrotem do pudełka.

- Pistolety drogo kosztują, Poke. Masz pieniądze?

- Mogę zapłacić sto dolarów.

Ocida podziwiał ludzi, którzy się go nie bali - wcale nie byli liczni. Poke do nich należał.

- No, poszukaj mi czegoś.

Ocida wstał i zniknął na zapleczu. Niedługo wrócił z paczką zawiniętą w papier pakunkowy, przewiązaną sznurkiem. Położył ją na biurku.

Widząc, że Poke wkłada rękę do tylnej kieszeni, potrząsnął przecząco głową. - To mnie nie kosztowało ani grosza. Po co więc miałbym ci kazać płacić?

Ale Toholo położył banknot studolarowy na biurku i wziął paczkę.

- Jeśli czegoś chcę, płacę za to - powiedział sucho i wyszedł na ulicę zalaną morderczym słońcem.

Uśmiech Ocidy zniknął. Otyły Indianin długo oglądał banknot, zanim wsunął go do kieszeni koszuli. Według niego, nigdy nie powinno się dawać pieniędzy bez potrzeby. Taka była jego filozofia życiowa. Podrapał się w pucołowaty policzek. Ten chłopak jest chyba bardziej chory, niż przypuszczał.

*

A więc mamy już motyw - powiedział Beigler, oddając Terrellowi list z żądaniem haraczu.

- Sprawy posunęły się znacznie dalej, niżby tego wymagała reakcja na niewłaściwe potraktowanie przez starą babę. Ciekawe, ilu członków Klubu Pięćdziesięciu otrzymało taki list... Rozumiesz? Ludzie przerażeni tym, co się stało, mogli być łatwo szantażowani i płacili, żeby ratować swoją skórę, wcale nam o tym nie mówiąc.

Beigler zapalił nowego papierosa.

- Nie można im tego brać za złe, szefie. Jeśli ma się do czynienia z takim bandziorem, sprawa jest bardzo poważna. Trzy trupy wystarczyły. A my nie zrobiliśmy zbyt wiele, by podtrzymać odwagę naszych kochanych starszków, prawda?

Terrell potaknął. I dodał:

- Pójdę zobaczyć, co z Hansenem. Trzeba mu będzie dać ochronę, prawdziwą ochronę. On przecież zapłacił, ale Poke nie otrzymał pieniędzy. Indianin jest przekonany, że Hansen odmówił zapłaty, zechce się więc zemścić. Ty wyznacz dwóch ludzi do pilnowania Klubu. Jeden od frontu, drugi od tyłu. Mają też kontrolować wszystkich Indian wchodzących i wychodzących z tego budynku.

Terrell zszedł na dół, na tyły komendy, gdzie postawił swój wóz, a Beigler ruszył do pokoju inspektorów. W biurze nie było nikogo. Wszyscy wyszli na poszukiwanie rzekomego Allena i jego żony. A sprawa ochrony Hansena nie mogła przecież czekać. Beigler, choć niechętnie, zadzwonił do kapitana Hemmingsa, szefa policji w Miami, by go poprosić o posiłki.

- Posłałem wam już piętnastu ludzi - odparł Hemmings. - Sądzicie, że my tutaj nie mamy nic do roboty?

- Będę wdzięczny, jeśli mi pan podeśle chociaż dwóch. Wrócą natychmiast, jak tylko dwaj moi ludzie będą wolni.

- Chce pan usłyszeć moje zdanie, Joe? Gdybym to ja prowadził tę sprawę, ten czerwonoskóry siedziałby już pod kluczem. Frank pieści się z tą całą aferą. Ale to jego dystrykt, nie mój... Nie będę się wtrącał.

Beigler opanował się z godnym pochwwały wysiłkiem.

- Kapitan Terrell wie, co robi - odparł.

Słyszając jego zduszony głos, Hemmings uprzytomnił sobie, że zganił właśnie zwierzchnika swego rozmówcy.

- Ależ oczywiście, to jasne - zapewniał pośpiesznie. - Zgoda, pošę wam dwóch ludzi. A jeśli u nas przypadkiem wybuchnie epidemia morderstw, liczę na waszą pomoc! - zaśmiał się sucho. - O ile będziemy zmuszeni zwrócić się do was, chociaż coś takiego raczej się nie zdarzy.

- Nie życzę wam tego.

Beigler wiele dałby za to, żeby mógł telefonicznie pošuć kopniaka w pulchne siedzenie Hemmingsa. Ale takie cuda się nie zdarzają.

- W ciągu godziny ten wasz typek dostanie ochronę - przyrzekł Hemmings.

Ale posiłki przyszły zbyt późno. W tym czasie, kiedy Terrell stał unieruchomiony w korku na jezdni, a Hemmings dawał skierowanie dwóm inspektorom do Paradise City, Poke Toholo uderzył...

*

Była czternasta trzydzieści. O tej porze podawanie obiadów już zakończono. Personel indiański Klubu posilał się właśnie w obszernej kuchni w suterenie. Sporo członków Klubu powróciło już też do swych zajęć, a reszta drzemała w salonie.

Poke wiedział o tym. Wiedział również, że o tej porze Elliot Hansen wycofywał się do swego biura i pozwalał sobie na czterdziestominutową sjęstę. Ze względu na swój delikatny system nerwowy sekretarz na własny koszt kazał dać obicie dźwiękoszczelne. O tym także wiedział Poke.

Kiedy zbliżył się do wejścia służbowego, dwóch inspektorów z Miami bez entuzjazmu udało się właśnie w drogę do Paradise City, a w odległości dwóch kilometrów od Klubu Pięćdziesięciu czerwone światło zatrzymało Terrella.

Poke szedł cicho słabo oświetlonym korytarzem. Dźwięk rozmów służby siedzącej w kuchni dochodził do jego uszu. Zdjął jedną z białych marynarek wiszących na wieszaku. Była dla niego trochę za obszerna, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nikt go nie zauważył, kiedy przechodził obok otwartych drzwi części gospodarczej. Minął ciemną salę jadalną i wyszedł na korytarz. Kiedy zbliżał się do baru, zwolnił kroku. Był tam jego ojciec i mył szklanki z cierpliwością i usłużnością, która wyprowadzała Poke'a z równowagi.

Młody Indianin zatrzymał się i długo przyglądał się ojcu; ponad wszystko chciał wejść do baru i chwycić ojca w objęcia. Ale był to luksus, na który nie mógł sobie pozwolić. Musiał ruszać dalej.

Minęli go dwaj członkowie Klubu - elegancy, najedzeni, z cygarem w ręku. Nie zauważyli Poke'a. Kto zwraca uwagę na kolorowego w białej marynarce? Był anonimowy jak

mucha na ścianie. Dotarł do drzwi biura Hansena. Nawet się nie odwrócił, żeby się upewnić, czy nikt go nie obserwuje. Nacisnął delikatnie klamkę i wszedł. Drzwi zamknęły się z lekkim szmerem.

Elliot Hansen siedział przy biurku. Zazwyczaj spał o tej porze, ale za bardzo się bał, żeby móc zasnąć. Świat, który sobie zbudował, trzeszczał w posadach i Hansen miał uczucie, że niebawem runie na niego.

Podniósł oczy i zobaczył Indianina w białej marynarce, uczynił gest zniecierpliwienia.
- Nie wzywałem cię! Co ci przyszło do głowy, żeby tak tu wejść...

Wtedy poznał Poke'a i ze zdławionym westchnieniem skulił się w fotelu. A Poke skierował na niego pistolet. Lekki uśmiech rozjaśnił jego ciemną twarz, kiedy nacisnął cyngiel.

Na widok czerwonego kwiatu, który rozrastał się na ramieniu Hansena, Poke zorientował się, że broń znosi na prawo. Druga kula trafiła prosto w usta sekretarza, rozbijając jego olśniewające uzębienie, a trzecia rozprysnęła kawałki mózgu na papiery.

Taki obraz przedstawił się kapitanowi Terrellowi, kiedy dziesięć minut później znalazł zwłoki.

*

Pot perlił się na czole sierżanta Beiglera i wściekłość błyszczała w jego oczach, kiedy wszedł do gabinetu Terrella. Szef powierzył mu niewdzięczne zadanie uporania się z prasą, zakazując udzielania jakichkolwiek informacji. I to reakcja dziennikarzy przyczyniła się poważnie do zwiększenia napięcia sierżanta.

- Czy ty wiesz, jak te sukinsyny nas nazywają? - krzyknął, zaciskając pięści. - Operetkowa policja!

- Zostaw to, Joe, nie zwracajmy sobie głowy drobnostkami. - Terrell był właśnie po rozmowie telefonicznej z Hedleyem; burmistrz był o krok od załamania nerwowego. Ale kiedy kapitan Terrell był pewien swych ruchów w grze, histeria i obelgi nie potrafiły zakłócić jego stoickiego spokoju. - Siadaj lepiej i napij się kawy.

Zapachniała mu świeżo i Beigler napełnił kartonowy kubek.

- Jutro prasa rozstawi nas po kątach - dodał, starając się uspokoić. - A wieczorne wiadomości... to dopiero będzie zabawa!

- Ale powiedziałeś im, że nie mamy nawet cienia śladu?

Beigler skrzywił się, przypomniawszy sobie te słowa. - Powiedziałem im.

Terrell zaczął nabijać fajkę. - To świetnie. Ilu ludzi wybrałeś?

- Sześciu. Czekają na korytarzu.

- To dawaj ich tutaj.

Z Łepskim na czele weszli inspektorzy - najlepsi, jakimi dysponował Terrell. Poza Łepskim byli to: Max Jacoby, Dave Farrel, Jack Wallace, Andy Shields i Alec Horn.

- Przynieście sobie krzesła - rzekł Terrell.

Przez chwilę trwało zamieszanie, spowodowane wnoszeniem krzesel. Wreszcie wszyscy policjanci usiedli.

- Orientujecie się w sytuacji - zaczął kapitan. - Wszyscy czytaliście raporty. Podejrzany numer jeden to Poke Toholo. Rzekomy Jack Allen z żoną pracują razem z nim i mogą nas do niego zaprowadzić. Macie ich rysopisy. Znalezienie ich nie powinno przedstawiać większych trudności, bo nie wiedzą, że ich szukamy. Dziennikarzom oświadczyliśmy, że nie trafiliśmy na żaden ślad, a jak długo prasa będzie nas uważała za operetkowych policjantów, tak długo nasze trio nie będzie się wcale niepokoiło. I tego właśnie chciałem. - Przerwał, by zapalić fajkę. - Jestem pewien, że większość członków Klubu Pięćdziesięciu była szantażowana i że wszyscy zapłacili... Ale żaden się do tego nie przyzna. To są mięczaki, a zamordowanie Hansena przeraziło ich niezmiernie. Hansen też zapłacił, ale ktoś wcześniej znalazł te pieniądze. I wtedy Poke go zabił. Koperta z pieniędzmi, przyklejona pod telefonem publicznym, to naprawdę sprytny pomysł. Kabiny są na ogół oblegane przez użytkowników, schwytanie kogoś podczas zabierania takiej koperty byłoby rzeczą prawie niemożliwą, gdyby nie fakt, że posiadamy rysopisy trzech podejrzanych. Trzeba, żeby dalej wszystko odbywało się według tego samego scenariusza. Wiemy, że posługiwali się jedną z kabin telefonicznych na lotnisku i skoro nie wiedzą, że wpadliśmy na ich trop, mogą skorzystać jeszcze raz z tego samego miejsca. Max, Dave i Jack, ruszacie prosto na lotnisko. Sprawdźcie wszystkie kabiny. Jeśli zauważycie kopertę, nie ruszacie jej, tylko dajcie mi znać. I wszystko spokojnie, bez pośpiechu. Jak zwykli ludzie korzystający z telefonu. Pamiętajcie, że może was ktoś obserwować i że jeden fałszywy ruch grozi niepowodzeniem. Jasne?

Trzej mężczyźni potaknęli.

- Jeśli odkryjecie tam kogoś z podejrzanych, nie spuszczajcie go z oka. Bądźcie w kontakcie radiowym z Łepskim. Chcemy zgarnąć wszystkich. Gdy ujrzycie całą trójkę razem, aresztujcie ich. Ale ostrożnie, bo są niebezpieczni. Według mnie jedno z nich zajmuje się zbieraniem kopert... prawdopodobnie dziewczyna. Gdy będzie tylko jedna osoba, ona albo któryś z nich, śledzicie tego kogoś i pozostajecie w stałym kontakcie z Łepskim. Nie ma pytań?

Wszyscy trzej potrzęsęli głowami.

- Świetnie. To idźcie.

*

To Jack Wallace odkrył kopertę w kabinie B w porcie lotniczym. Poczł dreszcz podniecenia, oparł się o drzwi; szerokie plecy zasłaniały jego ruchy przed oczami ciekawskich. Wsunął rękę pod aparat, nakręcając równocześnie drugą numer na tarczy. Miał zamiar zadzwonić do żony, ale kiedy dotknął koperty, przerwał i nakręcił inny numer. Tym razem Terrella.

- Znalazłem, szefie - zawiadomił. - Kabina B.

Terrell odetchnął głęboko, jego założenie okazało się słuszne. - Brawo, Jack. Tb biegnij prosto do Łepskiego.

Wallace odwiesił słuchawkę i wyszedł, rzuciwszy spojrzenie na starą kobietę, która czekała niecierpliwie na zwolnienie kabiny.

Lepski siedział przy kierownicy, z podłączonym radiem. Rozległ się głos Terrella: - Jack znalazł kopertę w kabinie B. Teraz kolej na ciebie, *Tom*. Powodzenia!

Lepski włożył rękę pod marynarkę i pogłaskał rękojeść swojej trzydziestki ósemki. - Zrozumiałem, szefie. Dam panu znać, jak tylko będzie coś nowego.

Rozłączył się. Wtedy zjawił się Wallace.

- Zawiadom resztę ludzi, Jack - rozkazał Lepski. - Ja tymczasem rozejrzę się w środku.

Wyszedł z wozu i przez ogromny parking ruszył do poczekalni. Szedł niedbałym krokiem w tłumie przechodniów. Mijając kabinę, rzucił okiem na starszą kobietę w kabinie B, potem wszedł na górę schodami, prowadzącymi na galerię, skąd dało się obserwować cały hall. Tutaj mieściła się cała obsługa techniczna. I z tego miejsca świetnie widać było kabinę B.

- Przepraszam, ale pan nie może tutaj zostać - powiedziała młoda dziewczyna. - Ta część jest zarezerwowana dla personelu portu lotniczego.

Lepski odwrócił się. Przed nim stała ładna brunetka, ubrana w żółtą bluzkę i czarną minispódniczkę, strój stewardes linii lotniczych Paradise City. Jego oczy odruchowo skupiły się na jej nogach, a kiedy to odkryła i chrząknęła, on już był policjantem.

- Kto tu jest kierownikiem? - spytał, pokazując swoją odznakę.

Kilka minut później siedział już w biurze, z którego przez oszklone drzwi widać było kabinę B, samemu pozostając niewidocznym.

Lepski był przyzwyczajony do czekania. Cztery pierwsze godziny upłynęły w żółtym tempie. Któryś z jego ludzi wchodził co jakiś czas do kabiny, żeby sprawdzić, czy koperta jest na swoim miejscu. Przez te cztery godziny pięćdziesiąt trzy osoby skorzystały z telefonu. Ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, Lepski liczył wchodzących do kabiny. Nikt z nich jednak nie odpowiadał rysopisowi trzech podejrzanych. Po pięciu godzinach zmienił go Jacoby i Lepski zdrzemnął się na łóżku polowym, które dał mu do dyspozycji kontroler lotniska.

Śniła mu się stewardesa. Zdumiały go wygibasy, których dokonywała, a przecież byle co nie wprawiało Łepskiego w zdumienie. Był bardzo rozczarowany, kiedy się obudził i sen się skończył.

*

Zaraz po wypiciu porannej kawy Chuck zostawił buicka na stacji obsługi dla sprawdzenia wozu. Kazał nalać do pełna benzyny, skontrolować ciśnienie w oponach i akumulator. Mechanik powiedział, że dobrze by było zmienić dwie świece; zostały zmienione. Chuck miał przed sobą długą drogę, nie wolno mu było w niczym zdać się na przypadek. Był to ostatni akt. Dwa tysiące dolarów i samochód oznaczały dla niego inną egzystencję. Umysł jego był zbyt leniwy, aby Chuck zastanawiał się, co się z nim stanie, kiedy wyczerpie się forsa. Żył tylko terażniejszością. Pieniądze można w końcu zawsze zdobyć. Wystarczy tylko rozejrzeć się. Po co troszczyć się o jutro?

Buick był teraz w świetnym stanie. Chuck ustawił go więc na nabrzeżu. Popatrzył na zegarek: dziesiąta czterdzieści trzy. Jeszcze pół godziny i przystąpi do akcji. Stał w słońcu i studiował notatkę Poke'a. Port lotniczy postanowił zostawić na sam koniec. Wprost stamtąd będzie mógł wyjechać na autostradę numer 25, a potem wyruszyć w kierunku Los Angeles! A więc pierwszy etap to hotel Adlon.

Umówił się z Meg - leżącą jeszcze w łóżku, kiedy wychodził - że spotkają się na nabrzeżu. Zapalił teraz papierosa i przysiadł na słupku cumowym. Łodzi poławiaczy gąbek już nie było w porcie. Stały tylko jachty, motorówki i łódki tych wszystkich bogaczy. Strząsnął popiół z papierosa do tłustej od wycieków wody i wydmuchał nos, wyraźnie z siebie zadowolony.

Chuck nigdy nie czytał gazet, nie słuchał radia. Żyjąc w swym światku zamkniętym i ograniczonym, nie wiedział o zabójstwie Hansena ani o wrzawie, jaką to morderstwo wywołało w prasie.

Jak dojna krowa, mówił Poke.

Chuck uśmiechnął się z przymusem. Nie bardzo jednak udał mu się ten uśmiech.

Taka dojna krowa czasem też ubodzie... Zastanawiał się, jak zareaguje Indianin, kiedy stwierdzi, że sam został wydojony.

Gdy minęła jedenasta Chuck podszedł do wozu nonszalanckim krokiem. Na wybrzeżu było teraz mnóstwo ludzi: Indianie, rybacy, turyści obładowani kamerami, marynarze należący do załóg luksusowych statków. W barach zaczynano pić wódkę, pierwszą tego dnia. Grupa turystów, stojąca na skraju mola, asystowała przy wyładunku statku pełnego homarów.

Z tłumu wynurzyła się Meg i wsiadła do buicka. Miała na sobie biały poplamiony sweter i zniszczone spodnie, długie sztywne włosy opadały jej na ramiona.

Chuck usadowił się za kierownicą, uruchomił wóz i powiedział: - Świetnie, mała.

Starał się mówić swobodnie, ale nie był wcale pewny siebie. Dwie najbliższe godziny kryły w sobie niebezpieczeństwo. Czy Poke jest u tego swojego handlarza owocami? Niespokojnym wzrokiem Chuck ogarnął zatłoczone nabrzeże.

Meg nie odezwała się ani słowem, zerknął na nią z ukosa. Zdawało się, że już się uspokoiła. Ręce jej nie drżały i to wprawiło Chucka we wściekłość. Zbyt była flegmatyczna; nagle zrozumiał, że kpiła sobie ze wszystkiego. Takie nastawienie jest niebezpieczne. Kiedy komuś wszystko jest obojętne, łatwo się naraża. Oczyma wyobraźni widział policjanta chwytającego Meg na gorącym uczynku. Na tę myśl dostał czkawki ze strachu.

- Jak tylko zbierzemy forszę, zwiewamy. Pojedziemy do Los Angeles. W tym mieście można się zabawić. Z dwoma tysiącami dolarów w kieszeni zafundujemy sobie niejedno!

Meg wciąż milczała, patrzyła prosto przed siebie, jej twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu; Chuck miał niezmierną ochotę uderzyć ją w tę spokojną twarz. Ale nie był to właściwy moment.

Pomyślał o wczorajszej nocy. Zapragnął jej tak mocno. A ona leżała pod nim jak kłoda. Nic, co jej robił, nie podniecało jej i kiedy już sam był po wszystkim, stoczył się z niej z odrazą.

Teraz, kiedy wycofywał z parkingu, nagle zdecydował, że ma dość Meg. Puści ją kantem, dokładnie tak samo jak Indianina. Kiedy zgarną wszystkie koperty i znajdą się na autostradzie numer 25, zatrzyma się i każe jej wysiąść. Z dwoma tysiącami dolarów - a nawet jeśli trochę mniej, gdy nie zbiorą całej sumy - znajdzie na pewno dziewczynę, która będzie się inaczej zachowywała wobec niego niż ta śnięta marzycielka. *Mniej niż nic!* Czyż nie tak wyraziła się o nim? Postanowione. Puści ją kantem. Ale dopiero kiedy zbierze wszystkie koperty.

- Zaczniemy od hotelu Adlon. Kabina szósta. Słyszysz mnie?

- Tak - mruknęła Meg.

Chuck opuścił zatłoczone nabrzeże i skierował buicka w boczną ulicę, zdążając do wielkiego bulwaru.

*

Policjant O'Grady stał na skrzyżowaniu przy bulwarze. Cała policja pilnująca ruchu otrzymała odpowiednie rozkazy i rysopisy. Rozkazy były wyraźne: żadnej interwencji, tylko meldować. Na widok zakurzonego buicka O'Grady natężył uwagę. Kiedy samochód zrównał się z nim, rzucił okiem na Chucka i Meg. Rozpoznał ich od razu dzięki rysopisowi, którego wyuczył się na pamięć. Z ogromnym trudem zwalczył pokusę: zatrzymać wóz i aresztować tych dwoje. W wyobraźni widział już swoje zdjęcie we wszystkich gazetach... Może nawet zrobiliby z nim wywiad w telewizji. Ale myśl, w jaką wściekłość wpadłby Beigler, uśmierzyła jego zapał. Buick włączył się w gęsty potok samochodów krążących po bulwarze, a policjant uruchomił nadajnik radiowy.

Beigler czekał na tę właśnie informację i natychmiast zaalarmował patrol numer 4.

Policjanci Hurn i Janson siedzieli w zaparkowanym aucie przy bulwarze. Wyprężyli się na dźwięk głosu Beiglera, płynącego z głośnika: - Jest X50. Buick rocznik '63, granatowy, numer 55789, jedzie w waszym kierunku. Powtarzam: to X50. Ruszacie za nim, ale rezygnujecie, gdyby coś sugerowało, że was zauważył. W wozie jadą mężczyzna i kobieta. Powtarzam: zostawiacie go, gdyby zaistniało ryzyko, że mogą was zauważyć.

Kod X50 wskazywał wyraźnie, że chodzi o operację „Mściciel”. Hurn uruchomił wóz. Przez radio płynęły dalsze rozkazy. Beigler alarmował kolejne posterunki.

- Nadjeżdżają - oznajmił Janson.

Hurn był gotowy do ruszenia w pościg. Kiedy mijał ich buick, obydwaj policjanci mieli dość czasu, żeby przyjrzeć się Chuckowi i Meg. Hurn wśliznął się między rollsa i cadillaca. Kierowca rollsa zatrąbił. Potem dopiero zauważył, że to samochód policyjny. Udał, że przypadkiem oparł się o klakson, kiedy Janson spiorunował go wzrokiem.

Buickowi udało się przejechać skrzyżowanie, nim zapaliło się czerwone światło. Hurn zaklął, ale musiał się zatrzymać.

- Wpadliśmy. Żeby sobie utorować drogę w tym tłoku, trzeba by włączyć syrenę. Stało się... Odjechali. Zgubiliśmy ich.

Powiadomił Beiglera o swym niepowodzeniu.

*

Chuck - nie zdając sobie sprawy, że został odkryty - skręcił w prawo, w następną przecnicę. Stał blisko hotelu Adlon.

- Idź, mała, ja poczekam tutaj.

Meg weszła do hotelu. Koperta była w kabinie szóstej. Wyszła, wsiadła do wozu i włożyła łup do schowka na rękawiczki.

Potem dokładnie to samo powtórzyło się w Excelsiorze. Tam również wszystko poszło gładko.

Chuck, którego ogarniało coraz większe upojenie, odjechał szybko w kierunku dworca, kiedy druga koperta znalazła się obok pierwszej.

- No, to naprawdę jak dojna krowa - mruczał do siebie. - Jest już tysiąc dolarów. Zatrzymamy się jeszcze trzy razy i będziemy mieli komplet w kieszeni!

*

Wóz patrolowy numer 6 zasygnalizował, że właśnie minął ich buick i jedzie w przeciwnym kierunku. Ruch był jednak zbyt wielki, żeby dało się zawrócić, i tamci zniknęli.

Beigler pochylił się nad planem rozłożonym w jego gabinecie. Ustaliwszy miejsce, w którym widziano buicka po raz ostatni, uprzedził wozy numer 1 i 2, że samochód podejrzanych jedzie w ich kierunku.

*

Chuck bocznymi uliczkami kierował się w stronę dworca; wozy numer 1 i 2 czekały na próżno. Nie był w stanie zaparkować na dworcu, objeżdżał więc budynek dokoła. Z niepokojem. Jakiś dociekliwy gliniarz mógł go przecież zatrzymać i zacząć wypytywać, na co tutaj czeka... Dopiero za czwartym okrążeniem zabrał Meg. Twarz jego złana była potem, kiedy się zatrzymał.

- Ale się guzdrałaś! - zazgrzytał zębami, kiedy Meg usiadła obok niego. - Masz kopertę? - spytał, ruszając z miejsca.

- Tak.

Otworzyła schowek i położyła szybko trzecią kopertę na dwie poprzednie.

- Uf! - Chuck wytarł czoło wierzchem dłoni. - Poczekaj chwilę... - Zamarł jakby, a potem jego twarz rozjaśnił uśmiech. - No, to jest półtora tysiąca! A teraz dworzec autobusowy.

Pojechał boczną ulicą na Seaview Boulevard.

*

Kolejny patrol zauważył buicka, którego tłok zmusił do wolnej jazdy, i zaalarmował Beiglera, a on z kolei zawiadomił wóz numer 2. Ale samochód policyjny tkwił w korku. Kierowca odpowiedział, że nie może nic zrobić bez uruchomienia syreny. Beigler zaklął. Do szaleństwa doprowadzała go myśl, że bulwar jest zatłoczony bandą próżniaków, paradujących w swoich pięknych limuzynach, i przyglądających się plażowiczom.

*

Meg wysiadła i weszła na dworzec.

Kabina numer 4 była zajęta przez młodą kobietę, około trzydziestki, która była uosobieniem wszystkiego, co budziło w Meg największą nienawiść i pogardę: obrączka na palcu, fryzura od miejscowego fryzjera, sztuczna biżuteria. Miała pewnie małe dziecko i w tej chwili opowiadała o nim, oczywiście nie przyznając się, że mały jest potworkiem, który zatruwa jej życie. Mąż to pewnie nieciekawa figura, interesuje się jedynie pieniędzmi i grą w golfa, drżąc ze strachu na myśl o utracie pracy. Na domiar wszystkiego mocno gestykulowała. Ple-ple-ple. Jej ostry śmiech przenikał przez zabrudzoną szybę. Ple-ple-ple!

Meg straciła cierpliwość, odsunęła kobietę, sięgnęła ręką pod aparat, znalazła kopertę, oderwała ją i włożyła do torebki.

- Coś podobnego! - krzyknęła tamta, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- Pieprz się! - rzuciła Meg, odchodząc. Chuck czekał niecierpliwie.

- Nie było kłopotów? - zapytał, kiedy rzuciła kopertę do schowka.

Popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

- Myślisz, że gdybym miała kłopoty, siedziałabym tutaj? Gwizdnął przeciągle. Dwa tysiące dolarów!

- Co się z tobą dzieje? - zwrócił się do Meg, kiedy już jechali na lotnisko. - Chyba możesz mi, do cholery, powiedzieć?

- Sama chciałam wiedzieć - odparła. - I to bardzo chciałam to wiedzieć!

Wkrótce uwolni się od niej, pomyślał. Ta dziewczyna jest tak samo anormalna jak ten Indianin! Ale jakie to ma znaczenie? Jeśli wyzwoli się i od niej, i od niego?! Następny postój to port lotniczy. I nawet gdyby tam nie było żadnej koperty, miał już dwa tysiące sześćset dolarów! No! Nieżle już można sobie poradzić z taką forszą!

Duży zegar ścienny w hallu portu lotniczego wskazywał dwunastą piętnaście, kiedy tam się zjawili.

Chuck znalazł miejsce wśród innych samochodów, stojących za ogrodzeniem rozległego parkingu. Kiedy gwałtownym ruchem pociągnął za ręczny hamulec, woń własnego potu uderzyła go w nozdrza.

- Ruszaj, mała... To już ostatnia! Idź po nią! Meg wysiadła z wozu i poszła w kierunku budynku.

Chuck upewnił się najpierw, że nikogo nie ma w pobliżu, potem wyjął koperty ze schowka na rękawiczki i rozciął je nożem. Banknoty spływały potokiem na jego kolana.

Dojna krowa! Jak zrywanie czereśni! Prosta sztuczka!

Przeliczył pieniądze, wsunął je wszystkie do jednej koperty. Tamte trzy zgniótł i zrobił z nich kulę, którą rzucił pod tylne siedzenie. Brzuchata koperta powędrowała następnie do schowka.

Jeśli ostatnia operacja się uda, stanie się właścicielem trzech tysięcy stu dolarów!

No! No! No!

Uderzył pięścią w kierownicę.

Przychodź! Przychodź już, biedna idiotko! Szybko, żeby można stąd zniknąć.

Zaczął rozmyślać o chwili, kiedy zatrzyma się na skraju drogi, otworzy drzwi i wyrzuci ją z wozu. Już widział, jak stoi w głębi szosy z oczyma utkwionymi w oddalający się samochód.

Cholera! Będzie niezły ubaw!

*

Lepski trwał na swoim lotniskowym posterunku od godziny jedenastej. Nic dotąd się nie działo, jak informował go Jacoby. Koperta wciąż znajdowała się na miejscu. Inspektorzy, których zmienili inni, właśnie powrócili.

- Można tak czekać tygodniami - powiedział Lepski gorzkim tonem, zapalając papierosa i lokując się w fotelu.

- Pójdę po kawę, co? - Jacoby gotował się do wyjścia. W tym momencie usłyszeli głos Beiglera w radio i obydwaj zeszywnieli. - Mężczyzna i kobieta... Biali, ale bez Indianina... zauważono ich. Możliwe, że jadą na lotnisko... Wozy patrolowe straciły chwilowo ich ślad...

- Zejdź do hallu, Max! - rozkazał Lepski, kiedy Beigler skończył. - Może teraz już się zacznie.

Po odejściu Jacoby'ego Lepski zaalarmował pozostałych kolegów, by byli czujni.

Dopiero jednak o dwunastej piętnaście długie oczekiwanie przyniosło owoce.

Jacoby pierwszy zauważył Meg. Po chwili Lepski także już widział, jak pewnym krokiem zmierza w kierunku kabin. Obserwował ją uważnie: wysoka, zaniedbane jasne włosy, ponura mina, cera ziemista... Kiedy otworzyła drzwi kabiny B, sprawa była jasna - to kobieta, której szukali. Wziął do ręki nadajnik.

- Można by pomyśleć, że umówiła się na randkę. Blondynka, biały sweter, błękitne spodnie. Weszła do kabiny. Nie aresztujcie jej... Śledźcie tylko z daleka.

Lepski przerwał i wyszedł z biura, zbiegł schodami do hallu. Dziewczyna oddaliła się, wymachując torebką. Jacoby deptał jej już po piętach.

Lepski pobiegł do kabiny w chwili, kiedy wchodził już tam jakiś korpulentny jegomość.

- Policja! - warknął Lepski, odsuwając tamtego ramieniem. Wsunął rękę pod aparat. Koperty nie było. Zrobił pół obrotu, minął faceta, który patrzył na niego oczyma dużymi jak podstawki, i pobiegł do Jacoby'ego.

- To ta kobieta! - Włączył nadajnik: - To ona! Uwaga, wychodzi!

Stanął przy wejściu w pełnym słońcu, śledząc wzrokiem dziewczynę, która szła na parking. Skinął z aprobatą głową na widok Jacoby'ego, który przechodził na ukos ulicę, żeby dostać się do samochodu.

- Dave, ona idzie przez parking. Czekaj na nich przy wyjściu północnym. Buick o numerach 55789. Jedź za nimi, jeśli tamtędy wyjadą. Andy! Ty osłaniaj wyjście południowe!

Lepski skończył i ruszył do wozu Jacoby'ego. Inspektor przez radiotelefon dawał instrukcje sześciu osobom na patrolach w promieniu kilometra wokół lotniska.

Kierowcy wiedzieli, co mają robić. Każdy z nich ruszał w stronę jednego z wyjazdów z miasta. Tb było ich zadanie. Trzy samochody, które znajdowały się na lotnisku, miały jechać za buickiem, gdyby wracał do Paradise City.

W końcu głos Dave'a Farrella rozległ się z głośnika: - Wyjście północna. Wyjeżdżają z miasta. Jedziemy za nimi. Tom i ja.

- Ruszamy! - orzekł Lepski, a Jacoby już był gotów.

*

David Jackson junior położył się spać pijany i kiedy obudził się, wcale jeszcze nie był trzeźwy. A tego dnia miał przecież jechać na lotnisko po matkę. Przylatywała z Nowego Jorku, żeby go odwiedzić. Kochał ją bardzo, ale wiele dałby za to, żeby wybrała sobie jakiś inny dzień, nie nazajutrz po balu w Hotelu Hiszpańskim. Ale tylko ona mogła zażegnać

konflikt pomiędzy nim a ojcem, który bliski był wydziedziczenia go z milionowej fortuny, uznając syna za wałkonia.

Skoro wreszcie się obudził, z trudem wygrzebał się z łóżka - jazda na lotnisko, by powitać starą matkę, była teraz rzeczą najważniejszą, nawet gdyby miało to zaszkodzić jego zdrowiu. Usta miał wysuszone, jakby były z drewna, czuł się jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa. Aby złagodzić dręczącą go migrenę, zaraz po usadowieniu się w jaguarze, model E, otworzył butelkę teachera, którą trzymał zawsze w samochodzie, i pociągnął potężny łyk.

Spojrzał na złotą omegę i stwierdził, że ma tylko kwadrans, by się dostać na lotnisko, jeśli chce zdążyć przed przylotem samolotu.

Smak szkockiej na zębach jakby zupełnie go odmienił. Zjechał z bulwaru na złamanie karku, z szybkością wyścigowca walczącego o Grand Prix, ale przy tym bez odrobiny zdrowego rozsądku.

Trzykrotnie uniknął wypadku dzięki rozwadze innych kierowców. Wreszcie wy dostał się z tłoku, wjechał na drogę wiodącą na lotnisko, z całej siły naciskając pedał gazu. Wóz skoczył wyraźnie do przodu. Znowu rzut oka na zegarek, była dwunasta trzydzieści.

Jednak kiedy się jedzie dobrze ponad sto na godzinę, jest rzeczą szaloną odwracać oczy od jezdni, a fatalną - patrzeć na zegarek.

Ogromna maska jaguara rozbiła się o bok granatowego, zakurzonego buicka, który wjeżdżał akurat na autostradę, opuszczając lotnisko.

Siła uderzenia wypchnęła buicka dalej na autostradę, prosto pod kolejny samochód, który nie dał rady się zatrzymać i walnął w niego, rozbijając sobie przy tym chłodnicę.

Jaguar wypadł z drogi, wylądował na dachu i w jednej chwili zaczął płonąć. Ale David Jackson już nie żył, kiedy ogień zaczął przekształcać jego ciało w zwęgloną masę.

Chuck widział pędzącego na niego jaguara, nie zdążył jednak zareagować. Poczł uderzenie, potem szyby rozleciały się z hukiem, podobnym do eksplozji granatu.

Kaprys losu spowodował, że drzwi wydarte z zawiasów otworzyły się. Drugi kaprys: Chuck wyleciał z wozu i upadł jak kot na cztery łapy.

Leżał w tej pozycji i patrzył z przerażeniem na kałużę krwi, która powiększała się wokół niego. Wiedział, że to z niego płynie krew. A jednak mimo bólu, mimo strachu, wiedząc, że umrze z upływu krwi, myślał jedynie o kopercie leżącej w schowku na rękawiczki, w buicku. Ogromnym wysiłkiem woli stanął z trudem na nogi. Słyszał niewyraźne ostrzeżenia, krzyki. Nie troszcząc się o to, podszedł, chwiejąc się, do poharatanego auta i zaczął grzebać w schowku.

Rzeka płonącej benzyny trysnęła z jaguara na pochyłą jezdnię, podobna do pomarańczowego węża, i dotarła do buicka w chwili, kiedy zakrwawione palce Chucka zacisnęły się na kopercie.

Dziurawy zbiornik samochodu eksplodował.

Chuck wyleciał w powietrze, ubranie na nim płonęło. To, co z niego zostało, rozbiło się o tylne koła przewróconego jaguara.

8

W momencie kiedy trzeci samochód, który padł ofiarą zderzenia, przekształcił się w płonąca żagiew, kiedy Lepski i Jacoby torowali sobie drogę przez tłum, przyglądający się wypadkowi z otwartymi ustami, kiedy czarny dym pochłonał zwłoki Chucka, jakaś ciemna ręka zamknęła się na przegubie Meg, żeby ją wyrwać z płomieni. Meg doznała silnego wstrząsu.

Odłamki szkła oszczędziły ją, ale zderzenie było tak silne, że dziewczyna miała uczucie, iż mózg jej płynie wewnątrz czaszki. Zdawała sobie sprawę, że ktoś ją ciągnie, ale z trudem mogła zdobyć się tylko na to, żeby powłóczyć nogami. Czowała się oślepią. Dreszcze przebiegały jej ciało. Jakieś postacie ocierały się o nią, kiedy ten Indianin wyciągnął ją z tłumy. Ludzie patrzyli na nią, potem odwracali się i przenosili swoją uwagę na płonące samochody.

Gdy eksplodował zbiornik z trzeciego wozu, tłum cofnął się i Meg osunęła się na kolana. Postawiono ją jednak na nogi, ręce szorstkie i mocne ujęły ją w pól. A potem chyba zemdlą.

Indianin, który ją uratował, schylił się, wsunął ramiona pod kolana Meg, przerzucił ją sobie na plecy, głową na dół, i szedł dalej pośród tłumy. Kłęby czarnego dymu, które wyrzucały z siebie płonące samochody, osłaniały go.

Ci, którzy przypadkiem zwrócili na niego uwagę, sądzili, że udziela pomocy dziewczynie kompletnie zalanej. Smród spalonego ciała, żar płomieni i gęsty dym były znacznie bardziej interesujące niż widok Indianina dźwigającego brudną hippiskę. Gapie odsuwali się, żeby go przepuścić, a kiedy ciało Chucka zaczęło się palić, rzucili się naprzód.

*

To Dave Farrell, który był świadkiem karambolu przy północnym wylocie autostrady, zawiadomił Beiglera.

- Przed chwilą zdarzył się poważny wypadek. Szosa jest całkowicie zablokowana. Potrzebna nam pomoc. Z powodu tego buicka 55789. Służba pożarowa lotniska włącza się już do akcji. Powstał ogromny korek. Powtarzam, potrzebna nam jest pomoc...

W tym czasie Lepski, a tuż za nim Jacoby, przepychając się przez tłum i dym, zbliżyli się do buicka, który zamienił się w pochodnię. Płomienie otoczyły zwłoki Chucka, leżące na tylnej osi wywróconego jaguara. Żar był tak intensywny, że obaj inspektorzy nie mogli się zbliżyć.

Z wyciem syren nadjechała straż pożarna i strażacy zaatakowali natychmiast płonące samochody strumieniami piany.

Minęło kilkanaście minut, nim Lepski mógł złożyć raport. Kiedy skończył, Beigler rozkazał wrócić mu do komisariatu głównego, zostawić na miejscu jedynie kilku kolegów do pomocy w przywróceniu normalnego ruchu.

*

W wysokiej kabinie piętnastotonowej ciężarówki Indianin, który uratował Meg, czekał cierpliwie z rękoma na kierownicy, aż policja oczyści ulicę.

Dziewczyna leżała na podłodze, zwinięta w kłębek, niewidoczna. Nie odzyskała przytomności i kierowca, który nazywał się Manatee, patrzył na nią z niepokojem.

Był to szczupły mężczyzna z typowo indiańskimi oczami i czubem czarnych włosów, które przypominały miotłę. Miał dwadzieścia siedem lat, żonaty, ojciec czworga dzieci, zarabiał na życie uczciwie, prowadząc ciężarówkę Ocidy: przewoził skrzynki z pomarańczami z targu na lotnisko. Manatee odsiedział też trzy lata za kradzież z pobiciem. Bez Ocidy, który wiedział, za jakie sznurki pociągnąć, nie dostałby pozwolenia na prowadzenie ciężarówki i prawdopodobnie umarłby z głodu wraz ze swoją rodziną. Świadomy długu zaciągniętego u Ocidy, odczuwał ogromną wdzięczność dla swego dobroczyńcy. Nie istniały też żadne tajemnice dla Indian z portu: większość z nich wiedziała, że Poke Toholo uruchomił jakąś intratną kombinację i terroryzował białych z Klubu Pięćdziesięciu, niejeden chętnie robiłby to samo, gdyby tylko miał dość rozumu, wyobraźni i tupetu. Ponieważ Poke przyjaźnił się z Ocidą - co więcej, żył w serdecznych stosunkach z Jupiterem Lucią, u którego Manatee zaopatrywał się w pomarańcze - dlatego też Manatee uważał Toholo za przyjaciela.

Rozpoznał buicka Poke'a, kiedy Chuck opuszczał port lotniczy. Słyszał, że Toholo związał się z dwójgim białych, domyślił się, że kierowca i dziewczyna siedząca obok niego byli tymi właśnie, o których opowiadano.

Podczas wypadku samochodów jego ciężarówka stała na poboczu. Manatee wyładował właśnie dwieście skrzynek pomarańcz. Był trochę zmęczony i zatrzymał się, żeby wypalić papierosa. Kiedy samochód Poke'a zapalił się, Manatee ogarnęło przerażenie. Zobaczył dziewczynę, którą siła wybuchu wyrzuciła z buicka. Kierowany instynktem, zabrał się wtedy do działania.

Teraz leżała u jego stóp ze zmarniałą twarzą, blada, z przymkniętymi oczyma. Manatee zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił. Może lepiej było się do tego nie mieszać. Może była ciężko ranna. A stan jej wymaga przewiezienia do szpitala...

Położył rękę na plecach Meg i potrząsnął nią delikatnie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego nieprzytomnie. W pierwszej chwili sądziła, że to Poke pochyla się nad nią, szybko jednak zdała sobie sprawę, że nie zna tego człowieka. Uświadomiła sobie również, że leży w kabinie ciężarówki, i próbowała się podnieść. Wtedy przypomniała sobie o wypadku, o tej strasznej krótkiej chwili, kiedy ujrzała Chucka wyrzuconego z wozu, a twarz jego poraniona była odłamkami szkła.

- Już lepiej, proszę pani? - spytał Manatee. - Czy jest pani ranna?

Czy jest ranna? Poruszyła się. Nie odczuwała najmniejszego bólu.

- W porządku. A co się stało... z nim?

- Myślę, że się spalił.

Meg przebiegł dreszcz. Po chwili jakoś się odprężyła i oparła o brudne siedzenie kabiny. Była wolna! Może zacząć od zera. Będzie mogła... Trzęsała się cała i ujęła głowę obiema rękami, zszkowana tym wszystkim.

Manatee widział, że na szosie zaczął się normalny ruch. Zapalił silnik. Ta zwłoka kosztuje go przecież pieniądze.

- Chce pani, żebym ją odwiózł do szpitala? - spytał przestraszony widokiem trzęsącej się Meg.

- Nie.

- Znalazłem pani torebkę. Zgubiła ją pani, gdy tak omdlała. Leży obok pani.

Meg próbowała opanować drżenie. - Dziękuję.

- Nie trzeba się martwić. Zawiozę panią do portu, zgoda?

- Tak... dziękuję.

Ciężarówka włączyła się w potok samochodów, którym zamaszystymi ruchami kierował zmęczony i spocony policjant.

*

Mieliśmy ich już w rękę, kiedy ten wściekły jaguar z piekła rodem wyleciał jak z procy i popsuł nam całą akcję - żalił się Lepski. Terrell słuchał go. Podobnie jak Beigler, siedzący na parapecie.

- Trudno - rzekł kapitan. - Tamten typ nie żyje. A co się stało z dziewczyną?

- Była w samochodzie - odparł Lepski. - Widziałem, jak wsiadła. Potem nastąpiło zderzenie. Gęsty tłum zasłaniał wszystko, trudno wyobrazić sobie zamieszanie. Chyba pięćset osób tłoczyło się w miejscu katastrofy. Udało się jej uciec niemal z naszych rąk.

Lepski wiedział, że musi znaleźć usprawiedliwienie. Bardzo tego nie lubił.

- A więc wracamy do punktu wyjścia - stwierdził Beigler bezbarwnym, zrezygnowanym głosem.

Terrell wpatrzony w fajkę zastanawiał się. Wzruszył ramionami.

- Tak. Trzeba pogadać z Hedleyem. Musimy zastosować poważne środki. Spróbuję przekonać burmistrza, żeby wyznaczył wysoką nagrodę. Ludzie muszą wiedzieć, że chodzi nam o Poke'a Toholo. Należy zablokować ulice i przeczesać całą dzielnicę Indian, musimy go koniecznie znaleźć.

Ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu wszedł Jack Hatchee ze służby w archiwum. Był to wysoki Indianin, potężnie zbudowany, z siwiejącymi włosami i gęstymi wąsami. Miał czarne oczy o bystrym spojrzeniu intelektualisty, potrafił sobie zaskarbić szacunek całego kierownictwa policji. Wystarczyło podać mu nazwisko, rysopis i jakąś wskazówkę techniczną - na co kiwał tylko głową, bo Hatchee nigdy się nie spieszył - i wracał wcześniej czy później z rzeczową odpowiedzią.

W zamieszaniu spowodowanym ostatnimi wydarzeniami Terrell zapomniał o nim, ale teraz na jego widok ogarnął go spokój, jaki odczuwa chory, kiedy wchodzi do niego kompetentny lekarz.

- Co nowego, Jack?

- Przejrzałem wszystkie raporty, szefie. Wybacz mi chyba pan, że trwało to tak długo, ale było ich bardzo dużo. Jedna rzecz zwróciła moją uwagę: Jupiter Lucie nie ma kuzyna.

- Kto to jest Jupiter Lucie?

- Indianin, właściciel dobrze prosperującej firmy. Zajmuje się eksportem owoców cytrusowych i ma stragan w porcie. To jeden z ważniaków tej dzielnicy. Mądry, sprytny. Kombinuje też nielegalnie, ale zawsze potrafi się tak urządzić, żeby nie mieć kłopotów. Kiedy Lawson i Dodge byli u niego podczas sprawdzania Indian w porcie, ktoś stał razem z nim za

ładą. Jupiter Lucie oświadczył wówczas, że to jego kuzyn. A Lucie ma dwóch braci i siostry, ale żadnego kuzyna.

Słyszając te słowa, Lepski przypomniał sobie nagle wyrocznie starej Mehitabel Bessinger, którą przekazała mu żona: „Szukajcie tego człowieka w pomarańczach”.

Ta jasnowidząca ujawniła też, że przestępcą jest Indianin, i miała słuszość! Czyli...!

Lepski wpatrywał się uważnie w Hatchee. - Czy ten Lucie handluje pomarańczami?

Powiedział to zduszonym głosem, tak że Terrell i Beigler odwrócili się w jego stronę.

- I to na dużą skalę.

- To on! Boja... - Zamilkł nagle. Na myśl, że opowie Terrellowi i Beiglerowi o wizycie żony u Mehitabel, jasnowidzącej, która wróży z kryształowej kuli, oblał go zimny pot. Wyobrażał sobie, jak zareagowaliby na to obaj jego przełożeni.

- Masz jakiś pomysł, Tom? - spytał Beigler ożywionym tonem.

- To raczej przecucie - Lepski kręcił się zmieszany na krześle. - Tak czuję...

Terrell i Beigler odwrócili się szybko do Hatchee. Przecucia ich nie interesowały, liczyły się fakty.

- Dobrze. Skoro Lucie nie ma kuzyna... przyjrzyjmy się temu z bliska. - Terrell zwrócił się ponownie do Łepskiego: - Przejdź się do straganu tego Lucie i pogadaj z rzekomym kuzynem.

Lepski nie wątpił ani na chwilę, że ten, z którym miał pogadać, to sam Poke Toholo. Stara pijaczka wyłopała wprawdzie jego wódkę, ale dała dobrą wskazówkę; był pewien, że i druga odpowiada prawdzie.

- Szefie... ja myślę, że to będzie Poke Tbhoho - rzekł, patrząc prosto w oczy Terrella. - Ale dobrze... Sprawdę. Tylko dokąd mnie to zaprowadzi? Nie znam Toholo. Nigdy go nie widziałem. Żaden z nas go nie widział. Ryzykuję, że wpakuje mi ołów w brzuch. Chociaż może to być naprawdę jakiś „przyszywany kuzyn”, którego wypuścili z więzienia i Lucie wziął go pod opiekę. Ale jeśli to Toholo, mogę rozpętać prawdziwą burzę i wszystko zniszczyć.

- On ma rację - powiedział Hatchee spokojnym głosem. - Jeśli to jest Toholo, będzie duży problem.

Terrell skinął głową. Z jego zachmurzonej twarzy trzej policjanci wyczytali, że robi sobie wyrzuty, iż sam nie pomyślał o takiej ewentualności.

- No tak...

Terrell zastanawiał się jeszcze przez chwilę, potem sięgnął po słuchawkę.

- Charlie, spróbuj mnie połączyć z Rodneyem Branzensteinem... Tak, Branzenstein... Powinien być w Klubie Pięćdziesięciu.

Niedługo później Branzenstein był już przy telefonie.

- Czy ja mogę pana prosić o pewną przysługę? - zapytał go Terrell. - Zechciałby się pan zabawić w policjanta?

- Coś podobnego! - Tamten wybuchnął śmiechem. - Zabawić się w policjanta! Co pan przez to rozumie?

Terrell mu wyjaśnił.

- Tak, oczywiście, że poznam Poke'a Tbhola w każdym miejscu. Czego pan ode mnie oczekuje?

- Wyślę kogoś, kto wskaże panu stragan handlarza Lucie. Przejdzie się pan przed kramem i rzuci okiem, żeby sprawdzić, czy jest tam Toholo. Ale bardzo ostrożnie. Indianin nie może zauważyć, że pan go poznał.

- Rozumiem. Będę miał okazję do rozprostowania nóg. Niech pan przyśle swego człowieka. Czekam.

- On się zgadza - rzekł Terrell, odkładając słuchawkę. - Jack, pojedziesz do niego do Klubu Pięćdziesięciu. Zaprowadzisz go do portu i pokażesz stragan Jupitera Lucie, ale sam się nie ujawniaj... Tom, ty będziesz osłaniał Branzensteina. Chociaż nim tam dotrzecie, port będzie już otoczony. Wykonać!

Po odejściu Hatchee i Łepskiego, Terrell zerknął na Beiglera.

- Obawiam się, że nie będzie łatwo to przeprowadzić. Na nabrzeżu jest zawsze mnóstwo ludzi. Jeśli znajdą Toholo, może dojść do bałaganu. Wiemy, że on ma przy sobie broń.

Otworzył szufladę, wyjął plan nabrzeża w dużej skali, studiował go dość długo, po czym zaczął na nim kreślić jakieś znaki ołówkiem.

- Każ patrolować wszystkie ulice, które zaznaczyłem, Joe. Jeśli tym młodym Indianinem jest Toholo, musimy go mieć żywego lub umarłego.

Beigler skinął głową. Zabrał plan i udał się do swojego pokoju. Przez radiotelefon zaalarmował swoich ludzi i rozkazał, by ustawili się w szerokim półkolu i zamknęli w ten sposób dostęp do dzielnicy portowej.

*

Rodney Branzenstein pierwszy wysiadł z wozu policyjnego, za nim Lepski i Hatchee.

- No dobrze, panowie - rzekł władcym tonem. - Pokażecie mi tylko miejsce, gdzie może być ten Indianin, resztę już zostawicie mnie. Wiem, o co chodzi kapitanowi Terrellowi. Jeśli to będzie Toholo, wyjmę chusteczkę i wytrę nią szyję.

Było wiele rzeczy, których Lepski nie lubił. Między innymi bogatych adwokatów jeżdżących rollsami i zamieszkujących dziesięciopokojowe apartamenty. Branzenstein działał na niego jak czerwona płachta na byka.

- Jasne, ale z przodu czy z tyłu?

Branzenstein ujrzał wrogość w błękitnych oczach policjanta.

- No, to wytrę czoło. Górną część głowy... to chyba prostsze - szydził. - Zrobię, o tak!
- wyjął chusteczkę nieposzlakowanej czystości i wytarł czoło. - Pasuje?

Nienawiść Łepskiego podskoczyła o kilka kresek.

- Teraz tak! - odwrócił się do kolegi, który rozbawiony, spokojnie obserwował tę scenę. - Pójdę pierwszy, Jack. Dziewiętnasta budka na prawo, tak?

- Zgadza się.

Lepski zmieszał się z tłumem i zaczął liczyć kramy. Przed dziewiętnastym jakiś biały rozmawiał z otyłym Indianinem. Nieco dalej stał inny Indianin, ten był młody. Lepski, przechodząc, zmierzył go wzrokiem, wbijając sobie jego rysy i sylwetkę w pamięć, wyćwiczoną jak u każdego dobrego policjanta. Mógł to być Poke Toholo, ale trzeba poczekać, aż go zidentyfikuje Branzenstein.

Hatchee poprowadził Branzensteina w stronę morza, oceniając, że pozostawił Łepskiemu już dość dużo czasu. Przeszli wśród tłumu ludzi jakieś sto metrów, po czym Indianin zatrzymał się.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pana. Czy widzi pan tam słup do cumowania? Stragan stoi dokładnie naprzeciw tego słupa.

Adwokat spojrzał na słup i skinął głową. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Co on tutaj robi w tym słonecznym żarze? Bawi się w detektywa? Dobry Boże! Jest przecież jednym z najlepszych adwokatów... zaraz, chyba raczej najlepszym adwokatem w Paradise City! I dał się namówić do udzielenia pomocy policji w zidentyfikowaniu pomyłonego Indianina? A może idzie prosto na śmierć?!

Hatchee, który zauważył jego nagłą błądź i wahanie, zorientował się, że ogarnął go strach, i powiedział spokojnym głosem: - O, ten słup, proszę pana, dokładnie przed nami...

Branzenstein uprzytomnił sobie, że jest zły zimnym potem.

- Tak... tak... Nie jestem ślepy!

- Dobrze. Lepski będzie pana ubezpieczał. To najlepszy strzelec w naszym wydziale.

Hatchee przypuszczał, że w ten sposób doda tamtemu otuchy, tymczasem zdarzyło się coś całkiem odwrotnego: świadomość, że ktoś go będzie ubezpieczał, pogłębiła jedynie przerażenie Branzensteina.

A więc może być strzelanina! Wielkie nieba! Był już gotów wycofać się z całej gry, gdy nagle zauważył, że stary Indianin obserwuje go spokojnym, ale przenikliwym wzrokiem. W jednej chwili opanował się. Nie ma mowy, żeby ten kolorowy odgadł, że się boi!

- Bardzo dobrze - rzekł ochryłym głosem. - Idę. I skierował się w stronę słupa.

Wmieszał się w gęsty tłum. Hałas, krzyki handlarzy, gardłowe głosy turystów zwiększały jego napięcie. Doszedł do słupa. Naprzeciw ciągnął się sznur straganów załadowanych owocami. Z bijącym sercem Branzenstein szedł dalej. Nagle przerażenie jego tak wzrosło, że nie mógł spojrzeć na stragany. Odwrócił się do nich plecami i w zamyśleniu patrzył na opalizującą wodę.

Obserwujący go Lepski jęknął w duchu. Czy ten nadęty pajac ma zamiar oklapnąć?

Sam stał w cieniu uliczki z arkadami, która prowadziła do najlepszej restauracji rybnej w porcie. Zapach smażeniny skręcał mu kiszki. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od wielu godzin nie miał w ustach nic takiego, co by zasługiwało na miano posiłku. Znów skupił uwagę na Branzensteinie. Co się z tym bufonem dzieje? Jakby jakiś amator stawiał pierwsze kroki na scenie...

Adwokat odwrócił się twarzą do straganów. Lepski spostrzegł, jak robi się sztywny, wytrzeszczył oczy, potem wyjął chusteczkę i wytarł nią czoło.

Inspektor nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś zachowywał się tak głupio. Przez tę nienaturalną pozę ściągnął na siebie uwagę turystów, którzy zareagowali tak, jak zwykle reaguje tłum, gdy jakiś przechodzień zacznie nagle gapić się głupio na niebo: niemal jednocześnie dziesiątki twarzy zwróciły się ku straganom. Lepski zdusił w ustach przekleństwo.

*

Poke Toholo stał oparty o skrzynkę. Jupiter Lucie rozmawiał o interesach z intendentem Hotelu Hiszpańskiego. Biały chciał z nim zawrzeć umowę na dostawę ośmiu skrzynek pomarańcz dziennie. Targowanie się szło im jednak kiepsko. Toholo nie był zainteresowany tą sprawą i zerkał wciąż na swój tani zegarek. Chuck powinien już być zebrać wszystkie koperty.

Ale czy można mu ufać?

Pięć kopert... dwa i pół tysiąca dolarów.

Poke zamyślił się, wziął pomarańczę i ścisnął ją między palcami. Sam ten jego pomysł był dobry, ale kolor skóry zmusił go do posłużenia się Chuckiem i dziewczyną. Nie miał złudzeń. Wiedział, że od momentu, w którym skorzystał z ich pomocy, pieniądze automatycznie znalazły się w niebezpieczeństwie. Przypomniał sobie, jak Chuck wszedł do pokoju, w którym czekał na niego. Strach i zaskoczenie widoczne na twarzy Chucka ostrzegły Indianina, że tamten chce go oszukać.

Zabrać wóz i zniknąć z pięcioma kopertami było rzeczą dziecinnie łatwą.

Czując sok spływający mu po przegubie dłoni, Poke zorientował się, że zdusił pomarańczę zaabsorbowany myślami, które go dręczyły. Wyrzucił resztki owocu i wytarł rękę o dżinsy.

Lucie i intendent doszli do porozumienia. Wymieniali teraz uśmiechy i uściski dłoni.

Poke skierował spojrzenie na bulwar. Opalizujące aureole mazutu pływały po wodzie. I wtedy zobaczył Branzensteina.

Od razu poznał tego tłustego, wystrojonego adwokata. Jako barman w Klubie Pięćdziesięciu Toholo musiał znosić pobłażliwość, którą się ten człowiek afiszował w odniesieniu do Indian. Branzenstein był niby zawsze uprzejmy wobec niego, ale ta grzeczność irytowała Toholo jeszcze bardziej niż bezczelność innych członków Klubu. „Kolorowi są w końcu także ludźmi” - Poke słyszał, jak mówił do swoich przyjaciół. Przypomniał sobie, w jaki sposób adwokat skarcił pewnego dnia donośnym głosem Jeffersona Lacey'a, który gardził Indianami: „Trzeba przyznać, są pracowici i inteligentni. Co by się stało z Klubem bez nich? Lubię ich. To dzielni ludzie... No wiesz, Jeff! To już jest głupi argument, jeśli wolno mi się tak wyrazić! Przyjąć ich w poczet członków Klubu? Nie chcemy przecież także widzieć wśród nas Murzynów, prawda?”

Poke, kipiąc z wściekłości, obserwował niezręczną pantomimę Branzensteina.

Toholo byli katolikami. Kiedy mieszkał w domu, Poke chodził z ojcem na niedzielną mszę. W półmroku kościoła, w nastrojowym, chybotliwym blasku świec obserwował ojca, klęczącego obok niego, i udawał, że się modli. Spokój, który czytał w twarzy starego, zwróconej do ołtarza, napełniał rozpaczą serce Poke'a. On sam nigdy nie zazna tego spokoju. Przypomniał sobie fragment kazania pewnego nie bardzo natchnionego księdza: „I to był pocałunek Judasza: czas pogodzenia się ze zdradą”.

Kiedy Branzenstein spojrział mu w twarz, Poke zrozumiał, że go poznał. A gdy tamten wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć nią czoło, zorientował się, że adwokat go zdradził.

W jego mózgu spaczona komórka błysnęła jak oślepiająca błyskawica, jak flesz.

Poke rozejrzał się gorączkowo na prawo i na lewo, niczym zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo. Wiedziony instynktem wyczuł, że gdzieś w pobliżu ukryta policja czeka na ten sygnał.

Jupiter Lucie notował zamówienie w zeszycie. Klient, zadowolony z targu, oddalił się.

*

Lepski widział, jak Branzenstein wykonuje chusteczką jakieś esy floresy. A więc ten Indianin to Poke Toholo. Włączył radio.

W tej samej chwili Poke wsunął rękę pod stragan i jego ciemne palce zacisnęły się na rękojeści pistoletu kaliber 38, leżącego na półce. Cienkie wargi chłopaka skrzywiły się w dzikim grymasie, który odsłonił zęby.

Lucie uniósł głowę, przerażony obłąkanym, morderczym wyrazem twarzy Poke'a, rzucił zeszyt i cofnął się skulony.

- Branzenstein zidentyfikował Toholo - meldował Lepski przez mikrofon. - Zielone światło dla rozpoczęcia akcji!

Wykonawszy polecenie Terrella, Branzenstein poszedł dalej. Targany strachem, cały drżał. Teraz kolej na policję, myślał. Nigdy więcej nie zgodziłby się zrobić czegoś podobnego. Idąc dalej w tłumie spacerowiczów, pomyślał nagle, że przez całe tygodnie będzie opowiadał podczas obiadów, jako znakomitą anegdotkę, wydarzenia tego dnia. Wyobrażał sobie reakcję przyjaciół, kiedy im wyjawi, w jaki sposób przyczynił się do schwytania Mściciela.

W tym momencie - właśnie wtedy, kiedy jego napięcie zelżało i rozkoszował się już z góry zdumieniem swego audytorium - kula z trzydziestki ósemki roztrzaskała mu kark.

Lepski, skupiony na słowach Terrella, oderwał na chwilę wzrok od Branzensteina. Usłyszał strzał, zobaczył jeszcze, jak adwokat runął na ziemię; odwrócił momentalnie głowę w stronę straganu, ale Toholo zniknął.

Inspektor stanął wobec dylematu: zakomunikować, co się stało, czy rzucać się w pogoń za Toholo?

Korzystając z chwili wahania, Indianie z innych kramów usiłovali stworzyć zamieszanie, aby umożliwić chłopakowi ucieczkę. W jednej sekundzie powstała panika, przepychanie się, chaos. Indianie, pozornie przerażeni, biegali na wszystkie strony, co powiększało jeszcze rozgardiasz.

Lepski zrozumiał, że ściganie Toholo jest pozbawione wszelkiego sensu, nawet gdyby wiedział, w którą stronę uciekł Poke. Falujący tłum, dzielący go od straganu Jupitera Lucie,

tworzył barierę nie do przebycia. Dwóch Indian, udając przerażenie, wywróciło już stragan konkurenta i prawdziwa rzeka pomarańcz potoczyła się aż do stóp inspektora.

Lepski zdecydował się wówczas na złożenie raportu.

*

Kiedy wszystko już było jasne, w komisariacie głównym Terrell i Beigler spojrzeli na siebie. Kapitan nigdy nie okazywał zmieszania, ale Beigler, widząc, jak nagle blednie i spogląda dzikim wzrokiem, zrozumiał, że i tego mocnego człowieka można wyprowadzić z równowagi.

- Czy port jest otoczony, Joe? - spytał Terrell, wstając. Beigler podniósł się również. - Tak.

- Dobrze. To wypłoszymy go z nory.

Terrell otworzył szufladę, wyjął swoją trzydziestkę ósemkę. Przymocował ją pod kurtką.

- Szefie... - zaczął Beigler niepewnym głosem - może ja tam pójść. Ktoś musi tutaj zostać. Będą telefony...

Terrell spojrzał ostro na niego. - Obejmuję kierownictwo akcji w terenie - odparł sucho. - Ty tutaj zostaniesz. Posłałem przyjaciela na śmierć. To jest teraz moja sprawa osobista.

I powiedziawszy to, wyszedł.

Po chwili wahania Beigler wezwał Lepskiego przez radiotelefon i obwieścił mu: - Szef pojechał do was, Tom. Uważa, że jest odpowiedzialny za śmierć Branzensteina. W stanie, w jakim teraz jest, gotów się narazić na kule... Zrozumiałeś mnie?

- Zrozumiałem - odparł tylko Lepski i rozłączył się.

*

Uczucie satysfakcji zmieszanej z nienawiścią ogarnęło Poke'a na widok padającego na ziemię Branzensteina. Ale teraz też musiał szybko gdzieś się ukryć. Trzymał jeszcze palec na cynglu, kiedy powziął konkretną decyzję.

Zgiął się we dwoje, odepchnął gwałtownie Jupitera Lucie i rzucił się w kierunku pobliskiego kramiku z najróżniejszymi rzeczami.

Właściciel, stary osiemdziesięcioletni Indianin, Micco, sprzedawał wszystko, począwszy od łuków i strzał, skończywszy na skórach aligatora, poprzez naszyjniki ze sztucznej biżuterii. Był jednym z ludzi Ocidy, który finansował ten kramik. Stary należał do donosicieli informujących Ocide o tym, co się dzieje w porcie.

Micco, gdy rozległ się strzał, siedział na progu swego małego kramu i nawlekał perły. Kiedy Poke przebiegł koło niego i ukrył się w głębi, Micco dalej robił naszyjnik. Wiedział, że za kilka chwil bulwar zaroi się od policjantów. Był świadkiem zabójstwa, czynu głupiego i występnego. Ale czyn ten popełnił Indianin. Znał Poke i wiedział o jego kombinacji od Ocidy, który bardzo był ubawiony, kiedy mu o tym opowiadał, a stary kiwał głową z aprobatą. Ale teraz Poke okazał się kompletnym wariatem i fakt ten zaniepokoił Micca. Do tego wszystkiego Toholo jest Indianinem.

Micco, bliski przyjaciel ojca Poke'a, współczuł staruszkowi. Toholo-ojciec będzie cierpiał, kiedy się dowie prawdy. Prędzej czy później Toholo zostanie złapany. To jest nieuniknione. Ale Indianie powinni trzymać się razem. Jak policja przyjdzie do jego sklepiku, a przyjdzie na pewno - podniesie głowę, zrobi głupią minę i uda, że jest głuchy. W końcu ma przecież osiemdziesiąt lat. W tym wieku Indianin może być głupi i głuchy.

W chwili kiedy Poke wszedł do sklepu i pchnął drzwi prowadzące na piętro, Micco czuł się już całkiem pewny siebie.

Dzielnica portowa to prawdziwe kretowisko z mnóstwem wyjść. Poke wiedział o tym. Przed kilkoma miesiącami zbadał dokładnie cały ten teren. Indianie nigdy nie stawiają pytań. Niektórzy byli zaintrygowani widokiem Poke'a zwiedzającego ich mieszkania, wspinającego się na dachy, biegającego uliczkami cuchnącymi zgnilizną. Ale to nie był ich interes. Może ten chłopak zwariował? Oni sami musieli zarabiać na życie. Po co zawracać sobie jeszcze głowę?

Poke zdawał sobie teraz sprawę, że pragnienie, które popchnęło go wtedy do przeprowadzenia tego rekonesansu, było bardzo cenne.

Policja wiedziała, że jest Mścicielem, wcale w to nie wątpił. W jakiś sposób zorientowali się, że pracuje u Jupitera Lucie. A przed zarzuceniem sieci gliniarze musieli go zidentyfikować. Zwrócili się więc do Branzensteina, żeby go zdradził.

Wspinając się do okienka dachowego, Poke był bardzo ucieszony, że zabił jeszcze jednego bogacza, jednego z tych nierobów z Klubu Pięćdziesięciu.

Wydostał się na dach, gdzie zatrzymał się na dłuższą chwilę w prażącym słońcu, by wszystko przemyśleć. Jego umysł pracował teraz jak mózg człowieka, który nie wie, w jaką stronę zwrócić się stronę.

Wreszcie postanowił iść do Ocidy. Chuck powinien był już wrócić do hotelu, razem z pieniędzmi. Poke nie miałby tu już wówczas nic do roboty i mógłby wyjechać z Paradise City. Bogatszy o przeszło dwa i pół tysiąca dolarów! Grubsza łapówka przekona barmana hotelu Panama w Miami, żeby go wziął na wspólnika. Taka praca przyniesie mu dwieście

dolarów tygodniowo samych napiwków. A barman z Panamy przyrzekł mu tę posadę za tysiąc dolarów.

Poke nie wiedział przecież, że szuka go cała policja Florydy. Myślał, że będzie bezpieczny, skoro tylko opuści Paradise City.

Podszedł ostrożnie na skraj dachu, żeby zobaczyć, co się dzieje na bulwarze rojącym się od ludzi. Wyglądał jak mrowisko, które ktoś kopnął nogą. Kobiety krzyczały. Ludzie potracali się łokciami. Nadjechała karetka, której syrena rzucała w niebo przenikliwą skargę. Setki zdeptanych pomarańcz, po których ślizgali się gapie, utworzyły jakby dywan wokół zwłok Branzensteina.

Pomimo zamieszania Poke poznał Jacka Hatchee i zorientował się w jednej chwili, że ten człowiek stanowi dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo. Ten glina jest Indianinem. Zna tę dzielnicę równie dobrze jak on.

Poke wahał się przez chwilę, po czym oparł lufę pistoletu na ramieniu, starannie wycelował w głowę Hatchee i nacisnął spust.

*

Zajmij się tym bajzlem, Jack - powiedział Lepski. - Ja...

Nie dokończył zdania. Widział, jak Hatchee zachwiał się i smuga krwi zaczerwieńiła jego siwe włosy. Usłyszał huk wystrzału w momencie, kiedy kolega upadł na ziemię.

Lepski zakręcił się wkoło. Coś się poruszyło na dachu jednego ze sklepików, ciągnących się wzdłuż nabrzeża. Chwycił broń, jednym płynnym ruchem wyjął pistolet z kabury i strzelił.

W tej samej chwili Andy Shields wyskoczył z tłumy.

- Jest tam na górze! - krzyknął Lepski. - Szybko!

Dave Farrell zbliżył się, torując sobie łokciami drogę w tłumie. Lepski wskazał mu palcem Jacka Hatchee, którego potężnym ciałem wstrząsały drgawki. - Zrób to, co trzeba, Dave.

Potem pognął do kramiku Micca, za nim Shields. Nie przebiegł tak nawet dziesięciu kroków, kiedy pośliznął się na pomarańczy i upadł jak długi - na chwilę stracił oddech. Shields usiłował go podtrzymać i runął na niego w chwili, kiedy Lepski, klnąc, próbował stanąć na nogach.

*

Lepski swoim strzałem o mały tylko włos chybił celu.

Kula gwizdnęła koło uszu Poke'a i trafiła w komin. Odpryski cementu dosięgły twarzy Indianina, kiedy się schylił. Jeden drasnął go w lewy policzek pod okiem, ranka zaczęła krwawić. Zgięty we dwoje, z chusteczką przyłożoną do twarzy, Toholo przebiegł przez taras i schodami bezpieczeństwa wydostał się szybko na wąską, cuchnącą uliczkę. Stał, rozejrzał się, skręcił w prawo i zaczął biec. Zręcznie jak kot przeskoczył przez mur z cegieł, wpadł w inną uliczkę, znów się zatrzymał, tym razem zwrócił się w lewo, nie przestając biec. W głębi uliczki dostrzegł otwarte drzwi. Gdy dopadł do nich i wskoczył do środka, ujrzał strome schody. Wspiął się na górę, gdzie przy progu siedziała mała Indianka i bawiła się lalką. Poke stanął, popatrzył na nią i poszedł dalej. Dziecko przerażone widokiem pistoletu, który Poke ścisnął w rękę, i zakrwawionej chusteczki, nie wydało z siebie głosu.

Na końcu przejścia znajdowały się inne drzwi. Poke je otworzył i wyszedł na światło dzienne. Zgięty we dwoje, przebiegł szybko przez taras, znieruchomiał przed kolejnym okienkiem, po czym wśliznął się przez nie i znowu pogрузzył się w ciemnościach, nie troszcząc się o krwawe ślady palców, jakie pozostawił na szybie.

Nie robiąc żadnego hałasu, wszedł na jakieś strome, wąskie schody i dotarł do innej uliczki, znów przeskoczył przez mur i wylądował na podwórku, gdzie Indianka o bujnych kształtach, siedząc na skrzyni, skubała kurę. Na sekundę spojrzenia ich skrzyżowały się, potem kobieta schyliła głowę i dalej skubała ptaka, a Poke minął ją i wszedł do chaty, w której mieszkała. Stamtąd przedostał się na inną uliczkę, jeszcze raz przeskoczył przez mur i wreszcie stanął na tyłach hotelu Ocidy. Ranka przestała krwawić, schował splamioną krwią chusteczkę do kieszeni. W przejściu zatrzymał się, nasłuchując, potem szedł dalej i otworzył ostrożnie drzwi prowadzące do salonu Ocidy.

Stary siedział rozparty w wytartym fotelu, ręce oparł o swe tłuste uda i rozmawiał z Manatee, który przyszedł przed chwilą.

Trwało kilka sekund, zanim Poke rozpoznał w półmroku gościa Ocidy. Szybkim ruchem wsunął pistolet do tylnej kieszeni, wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

Ocida poruszył się w fotelu. Tym razem nie uśmiechał się i unikał jego wzroku.

- Twoje sprawy źle się dla ciebie układają, Poke - powiedział. - Manatee wszystko ci powie...

Kierowca ciężarówki przedstawił mu lakonicznie to, co się zdarzyło na lotnisku. Poke słuchał z błyszczącymi oczami.

- Ten biały nie żyje? Manatee skinął głową.

- A samochód?

- Wrak.

- A ta dziewczyna?

- Wysadziłem ją na nabrzeżu. Poszła gdzieś sobie.

Poke zastanawiał się. Czy pieniądze spłonęły razem z buickiem? Czy Meg je zabrała? Ogarnęła go wściekłość. Wskazał palcem drzwi. - Zmiataj!

Manatee popatrzył na Ocide, który skinął potakująco głową. Wtedy wyszedł.

Przez dłuższą chwilę zalegała cisza, wreszcie Ocida rzekł spokojnym głosem: - Musisz stąd iść, Poke. Żałuję, że się to tak skończyło. To był dobry pomysł. Ale ten wypadek to prawdziwy pech.

Poke popatrzył na otyłego Indianina. - Potrzebuję pieniędzy. Muszę mieć chociaż tysiąc dolarów.

Ocida zadrżał. To wyraz twarzy Poke'a i blask w jego oczach ostrzegły go, że znajduje się w niebezpieczeństwie.

Pomyślał o pistolecie, który leżał w pierwszej szufladzie biurka, o kilka kroków od niego. Automatyczny colt czterdziestka piątka. Kupił go od sierżanta piechoty, nie sądząc, żeby mu się miał kiedyś przydać. Był z niego dumny. Od czasu do czasu czyścił go i oliwił.

I teraz, badając twarz Poke'a, doszedł do przekonania, że ta broń, jeśli uda mu się do niej dostać, może go ocalić. Nagle też nabrał przekonania, że życie jego wisi na włosku. Zrozumiał, siedząc w swym koślawym fotelu, że nim się dostanie do pistoletu, Poke go zabije. Trzeba trochę blefować, pomyślał.

- Gdybym miał taką sumę, dałbym ci. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, twój ojciec i ja. Z przyjemnością ofiarowałbym ci te pieniądze.

- Nie troszcz się tak o mego ojca... dawaj lepiej forszę.

Ręka Poke'a zniknęła za jego plecami i kiedy się znów pojawiła, ścisnęła pistolet.

Ocida potrząsnął głową i zbliżył się do biurka. W momencie kiedy otwierał szufladę, w której leżał colt, Poke przytknął mu lufę swej broni do pleców i otyły Indianin zrozumiał, że przegrał. Otworzył drugą szufladę, w której trzymał pieniądze. - Proszę. To wszystko, co mam. Obsłuż się.

Poke odepchnął go, porwał gruby plik i wsunął za koszulę, po czym szybko cofnął się do drzwi.

Ocida wciąż się czuł zagrożony i nie ruszał się z miejsca. - Poke, pamiętaj, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, twój ojciec i ja - powiedział nieco drżącym głosem.

- Otwórz teraz górną szufladę. No już... otwieraj!

Obaj długo na siebie patrzyli. Obłęd lśnił w oczach Poke'a. Ocida z sercem walącym jak młotem otworzył powoli pierwszą szufladę. Toholo zobaczył colta leżącego na bibułce poplamionej oliwą.

- Dobrzy przyjaciele, naprawdę? - krzyknął, naciskając cyngiel.

Huk wystrzału rozległ się w całym domu i wydostał na zewnątrz.

Ocida runął na podłogę, a Poke podskoczył do biurka, wziął colta, zostawił swój pusty już pistolet i wybiegł z pokoju.

*

Na odgłos strzału inspektor Alec Horn, pilnujący tego sektora, wszedł w uliczkę, przy której stał hotel Ocidy. W tym samym momencie wybiegł z budynku Poke Toholo.

Na ułamek sekundy Horn zawahał się, nie był pewien, czy młody Indianin jest Mścicielem. Ale na widok colta, który Poke ścisnął w dłoni, strzelił.

Poke jednak strzelił ułamek sekundy wcześniej. Kula trafiła inspektora w bark, padł na ziemię.

Pocisk Horna też zranił Toholo w lewe ramię, chłopak zrobił pół obrotu i kręcił się jak ślepiec. Pod wpływem bólu stracił równowagę. Po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że jest ścigany, i ogarnęła go panika. Kopnięciem otworzył drzwi rozpadającego się piętrowego budynku, który stał na końcu uliczki, i zataczając się, wszedł w ciemny korytarz. W głowie jego kołatała się tylko jedna myśl: ukryć się. Stanął przed jakimiś schodami, wbiegł na górę po cztery stopnie na raz. Zatrzymał się na piętrze. Na prawo znajdowały się tylko drzwi. Nie było żadnego okienka. Zrozumiał, że sam wpakował się w pułapkę.

Drzwi otworzyły się, uniósł broń do góry.

Młoda Indianka, z ospowatą twarzą, wysoka i szczupła, z koroną warkoczy dookoła głowy, wyszła na próg i na widok Toholo stanęła jak wryta.

Skierował na nią colta, oboje patrzyli na siebie. Z palców Poke'a spływała krew, która utworzyła na podłodze małą kałużę.

- Zrób mi opatrunek - rozkazał, wskazując na ranę, wciąż grożąc dziewczynie coltem.

Z wybałuszonymi oczami skinęła głową i weszła do izby, dając znak Toholo, żeby poszedł za nią.

*

Manatee, wypędzony przez Poke'a, wycofał się niedaleko, do magazynu Ocidy. Bał się o swego chlebowawcę. Usłyszawszy huk wystrzału, zrozumiał, że jego obawy były uzasadnione. Kiedy potem zobaczył Toholo, biegnącego jak strzała przez hall, pognął do

salonu. Dreszcz przerażenia wstrząsnął nim na widok trupa leżącego na podłodze z wydętym brzuchem. Manatee odwrócił się i wybiegł tylnymi drzwiami. Huknęło znowu, w chwili kiedy Poke i Horn wymienili strzały.

Manatee rozejrzał się ostrożnie i wtedy właśnie zobaczył Poke'a, jak wchodzi do ostatniego domu, mieszczącego się w tej samej uliczce.

Ranny policjant z trudem próbował się podnieść.

Gdyby Poke nie zabił Ocidy, Manatee nie pomyślałby nawet, żeby go zdradzić, ale tym zabójstwem Toholo przeciął więź łączącą go ze wspólnotą indiańską, której braterstwo osłaniało go. Zbliżył się do policjanta, w momencie kiedy Lepski i Shields przeskakiwali przez mur.

Lepski zdążył odepchnąć broń kolegi. - To nie ten!

Odsunął też Manatee i ukląkł przy Hornie, któremu udało się usiąść, choć krzywił się z bólu.

- Jesteś ciężko ranny?

Horn potrząsnął głową. - On uciekł w tamtą stronę. Lepski spojrzał badawczo w ślepią uliczkę.

- Zajmij się nim, Andy. Ściągnij pomoc przez radio. A tamten musiał chyba przeskoczyć przez mur.

- Panie! - odezwał się Manatee, który stał cały czas oparty o ścianę w uliczce. - On wszedł do ostatniego domu tam w głębi. Jest tylko jedno wyjście, przez te drzwi. Znam ten dom. Mieszka tam wnuczka Ocidy.

Lepski patrzył na Manatee, zastanawiał się, czy może mieć do niego zaufanie. Wiedział, że wszyscy Indianie trzymają się razem. Może ten człowiek chce go podejść, żeby dać Poke'emu czas do ucieczki.

- On zabił mojego szefa - nalegał Manatee, jakby odgadując myśli Lepskiego. - To wariat. Teraz musicie go aresztować, on tam jest!

- Jesteś pewien, że nie ma tam innego wyjścia? Manatee potaknął.

Dwaj nowi policjanci pojawili się na szczycie muru.

- Zajmijcie się Alekiem - rozkazał Lepski. - Andy, chodź, przyskrzynimy go!

Z bronią w ręku pobiegli obydwaj i zatrzymali się przed drzwiami.

Lepski wszedł pierwszy, a Shields go osłaniał. Lepski dostrzegł plamy krwi na podłodze i podniósł wzrok na wąskie schody.

Wycofał się za drzwi i włączył radio. Terrell potwierdził odbiór. Lepski zameldował mu o przebiegu wydarzeń i określił, gdzie się znajdują.

- Osaczyliśmy go, szefie - zakończył. - Wykurzimy go teraz z Andym.

- Nie może uciec?

- Nie. Jest w pułapce.

- Dobrze, poczekajcie na mnie, Tom. Chcę go sam aresztować.

Lepski skrzywił się, przypomniał sobie ostrzeżenie Beiglera, który kazał mu trzymać Terrella z dala od Toholo. - Zrozumiałem, szefie.

Przerwał połączenie, wahał się długo, wreszcie zwrócił się do Shieldsa: - Chodź... aresztujemy tego gnojka.

Po chwili już cichutko zaczął wstępować na schody.

*

Młoda Indianka Manee skończyła bandażować ramię Poke'a. Toholo siedział na łóżku podczas tego zabiegu i obserwował małeńki pokoik, gdzie panował piekielny upał. Drzwi były cały czas otwarte. Ogromny krzyż wisiał na ścianie nad łóżkiem. Na jego widok Toholo odwrócił wzrok, dręczyły go wyrzuty sumienia. Krzyż przypominał mu ojca. Widział, jak klęczą obok siebie w kościele, świece rzucają złotawy blask, w powietrzu unosi się zapach kadzidła. Stała mu przed oczami twarz ojca tchnąca spokojem.

- Ty jesteś Poke Toholo, syn najlepszego przyjaciela mojego dziadka - powiedziała Manee, odsuwając się. - Idź do niego. On ci pomoże uciec. Jeszcze nigdy nie odmówił pomocy.

Poke przyglądał jej się z powagą.

- Twoim dziadkiem jest Ocida? - poderwał się z łóżka, otworzył szeroko oczy.

Manee podniosła głowę. - Ależ tak. Idź do niego. On ci pomoże.

Dzika rozpacz ogarnęła Poke'a. Od dawna obawiał się, że nie jest całkiem zdrowy na umyśle. Nie chciał się z tym pogodzić, że samą siłą woli nie jest w stanie się wyleczyć. Nagle zrozumiał, że jest naprawdę chory. Dlaczego zabił Ocidę? Gdyby poprosił, żeby go ukrył, Ocida zgodziłby się i Poke byłby bezpieczny.

Ból szarpał mu ramię. Siedział nieruchomo z pistoletem na kolanach, wiedział, że to koniec. Nie ma już dla niego pomocy ani odkupienia.

*

Dziesiąty stopień na schodach był zmurszały. Poke wbiegał na górę, biorąc po kilka stopni na raz, i nie zauważył tego. Ale pod ciężarem Łepskiego schodek załamał się z głośnym hukiem. Na szczęście Lipski trzymał się poręczy i opierając się o nią, udało mu się wyciągnąć nogę. Zaklął tylko półgłosem. Wiedział jednak, że ten hałas go zdradził.

Szybko przebiegł ostatnie stopnie i znalazł się na pustym podeście. Na prawo drzwi były otwarte. Gestem kazał się cofnąć Shieldsowi, przycisnął się do muru, trzymając pistolet w ręku.

Promienie słońca wpadały przez okno, kreśląc na podłodze lśniący, zakurzony prostokąt.

Shields przykucnął trzy stopnie niżej, żeby osłaniać Łepkiego.

*

Poke skurczył się, usłyszawszy hałas. Szybko odwrócił głowę ku otwartym drzwiom, przez które można było zobaczyć kawałek podestu, i podniósł do góry colta. Przerazona dzikim wyrazem jego twarzy Manee cofnęła się.

Lewą ręką Toholo wyjął zza koszuli pieniądze, które ukraść z szuflady Ocidy, i rzucił je na łóżko.

- Wybacz mi - zwrócił się do dziewczyny. - Jestem chory, bardzo chory. Coś w mojej głowie jest nie tak. - Wskazał palcem pieniądze. - Teraz ta forsa jest twoja. Ja... - zawahał się na chwilę - zabiłem twego dziadka. Ta forsa jest twoja. Zabrałem ją. Należy do ciebie!

Łepski, który posuwał się naprzód, plecami przyciśnięty do muru, zatrzymał się, żeby posłuchać, co się dzieje.

Manee patrzyła na plik banknotów leżących na łóżku, na kapie wątpliwej bieli. Nigdy w życiu nie widziała tyle pieniędzy. Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

- To moje?

Myśli zaczęły spiętrzać się w jej głowie. Jeśli są to naprawdę jej pieniądze, otworzy się przed nią nowe życie. Ten pokój, smród i hałas portowy, te błędzące ręce, które dotykały jej spódnicy, kiedy obsługiwała klientów w restauracji, biali marynarze, których musiała sprowadzać do siebie, kiedy potrzebna jej była nowa suknia... wszystko to - i wiele jeszcze innych rzeczy - przestanie istnieć dzięki tym pieniądzom.

- Weź je - mówił Poke, patrząc na nią.

- To naprawdę moje? - W żaden sposób nie mogła w to uwierzyć.

- Zabiłem twego dziadka. - Poke zdawał sobie sprawę, że dziewczyna go nie słucha. Myślała tylko o pieniądzach, które pożerała wzrokiem. Nagle poczuł, że jej nienawidzi. - Bierz i uciekaj!

Porwała chciwie pieniądze i wybiegła na podest.

Łepski chwycił ją wtedy za przegub i pchnął w kierunku Shieldsa, który położył rękę na ustach młodej Indianki.

Poke, siedząc na łóżku, wpatrywał się w drzwi. Wszystko, czego nienawidził, zaczęło mu wirować w głowie: Klub, niewolnicza uległość ojca, bogacze, aroganci, zbrodniecy...

Często myślał o śmierci. Najśłodsza jest śmierć, kiedy człowiek gaśnie - jak lampa, gdy obniży się knot. Wówczas światło zmniejszyłoby się, a w końcu zniknęłoby zupełnie. Ale nie było knota, który można by skrócić...

Kiedy ujrzał cień Łepskiego, padający na prostokąt świetlny, odwrócił się twarzą do krzyża i nagle, przepełniony nadzieją, wsunął lufę colta do ust i nacisnął cyngiel.

*

Pani nie nudzi się sama? - padło nagle. Meg zeszywniała, podniosła głowę.

Od dwóch godzin siedziała na kamiennej ławce na końcu portu, jedynym jej towarzyszem był rybołów, który kręcił koła nad jej głową.

Otrząsnęła się już z szoku i zaczęła się zastanawiać, co teraz pocznie. Nie miała pieniędzy. Rzeczy jej zostały w hotelu; była pewna, że gdyby po nie poszła, otyły Indianin zażądałby pieniędzy za pokój. Poza tym ten Poke mógłby tam czekać. Nie mogła tam wrócić; nie miała więc nic, tylko to, co nosiła na sobie.

Straciła swego pożądanego opiekuna. Bezsilnym gestem uniosła do góry włosy, które spływały jej w nieładzie na plecy. Trzeba znaleźć kogoś innego, kto kupiłby jej trochę niezbędnych łaszków. Zawsze znajdzie się jakiś chłopak, który będzie jej pomagał tak długo, jak długo będzie mu posłuszna.

„Czy pani nie nudzi się sama?” Dokładnie tych samych słów użył Chuck, kiedy ją poderwał. I tak się zaczął ten straszliwy koszmar.

Przyglądała się chłopakowi, stojącemu obok niej, i myślała: co za połamaniec!

Wysoki, przeraźliwie chudy, jego twarz okalała broda jak kolia, nosił okulary z tak grubymi szklami, że zniekształcały oczy. Szara koszula z rozpiętym kołnierzem wpuszczona w czarne spodnie; talię cienką jak osa otaczał szeroki skórzany pas ze sprzączką z matowej miedzi.

Ale chłopak był przynajmniej czysty, jak zauważyła Meg. Możliwe więc, że ma pieniądze: tacy niechlujni jak ona przeważnie nie mieli grosza.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Och - rzuciła. - A skąd się pan tu znalazł?

- Zobaczyłem panią. Sprawiała pani wrażenie samotnej... - Szarpał brodę, jakby chciał na siebie zwrócić uwagę. - Czy pani jest sama?

Głos miał miękki, bez charakteru. Meg była rozczarowana. Chciałaby powiedzieć: trafiło mi się coś dobrego, ale nie odnosiło się to przecież nijak do tego typu.

W sytuacji, w której się znalazła, nie mogła jednak sobie pozwolić na zgrywanie się na niedostępną. - No tak, jestem sama.

- A mogę się przysiąc dla towarzystwa?

- Jeśli pan chce.

Obszedł ławkę dookoła i usiadł obok niej. - Jestem Mark Lees. A pani?

- Meg.

- Meg... tak po prostu? Kiwnęła głową.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Podniosła oczy i obserwowała ewolucje rybołowa. Gdyby dzięki jakiejś różdżce czarodziejskiej mogła połączyć się z tym ptakiem! Przelatywać oceany, spadać na ryby, być wolną, całkowicie wolną... to byłoby wspaniałe!

- Jesteś na wakacjach?

Zmarszczyła czoło i powróciła na ziemię... - Co?

- Czy jesteś na wakacjach?

- A ty?

- Nie. Wczoraj straciłem pracę. Zastanawiam się, co będę robił i dokąd pójdę. Usiłuję podjąć jakąś decyzję.

Nagle Meg ogarnęło lekkie współczucie. - To tak jak ja. Ja także usiłuję podjąć jakąś decyzję.

Popatrzył na nią, potem odwrócił oczy. Ukradkowe spojrzenie, ale Meg wiedziała, że zlustrował jej pełną pierś i wysmukłe nogi. Jakie to dziwne! Mężczyźni to naprawdę głupcy!

- Mam dość Paradise City. Życie jest tu za drogie. To dobre tylko dla bogaczy. Mam samochód. - Znów spojrzał na nią. - Miałem zamiar jechać do Jacksonville. Mam tam przyjaciela, który mógłby mi znaleźć pracę. - Znów rzut oka na piersi Meg. - Może chcesz skorzystać z mojego wozu?

Nie wahała się ani chwili.

- Dlaczego nie? - odparła.

Chłopak jakby się trochę odprężył, zaczął znów szarpać brodę.

- Wspaniale. To gdzie są twoje rzeczy? Pójdę po samochód i wrócę po ciebie.

Tferaz Meg z kolei zaczęła studiować sylwetkę chłopaka. Ani śladu ożywienia nie widać było na jego szczupłej twarzy. Przyglądał się swoim kościstym dłońmi, które trzymał na kolanach. Zawahała się na chwilę. A jeśli to jakiś maniak seksualny? Przez moment

rozważała tę możliwość, potem w myśli wzruszyła ramionami. Musi opuścić Paradise City. Jacksonville czy gdzie indziej, jakie to ma znaczenie?

- Nic nie mam - odparła. - Ani pieniędzy... ani rzeczy. Nic a nic.

Lubieżny uśmiech rozjaśnił wychudzoną twarz Marka Leesa.

- Wcale nie, bo jednak masz coś... jak wszystkie dziewczyny. - Wstał. - Chodźmy.

Szli w milczeniu wzdłuż nabrzeża w kierunku parkingu. Chłopiec zatrzymał się przed starym T.R.4. Nieźle poturbowanym.

Kiedy wsiadali, mruknął, nie patrząc na nią: - Mam ochotę kochać się z tobą... Chcesz?

Meg wiedziała, że to musi przyjść, i na myśl o tym połamańcu przeszedł ją dreszcz.

- A czy ty masz pieniądze?

- Jaki to ma związek? - rzucił bezbarwnym głosem.

- Zobaczysz.

Nagle ujrzała odbicie swej twarzy w szybie i skrzywiła się. Boże! Jak ona wygląda...!

I te włosy!

Otworzyła torebkę, żeby wyjąć grzebień, i zlodowaciała. Serce przestało jej bić. Na dnie torebki leżała duża brązowa koperta... Ta, którą wzięła z kabiny w porcie lotniczym. Wypadek zdarzył się tak nagle, że nie miała czasu włożyć jej do schowka, zupełnie wyleciało jej to z głowy.

Szybko zamknęła torebkę.

To pięćset dolarów!

Ten nygus obok niej nie mógł uruchomić wozu. Przekręcał kluczyk raz za razem, mrużąc do siebie.

Była wolna! Jak ten rybołów! Nie będzie musiała iść z tym typem!

Ma pięćset dolarów! Otworzyła drzwi i wysiadła.

- Hej! - zawołał chłopak, podnosząc głowę na dźwięk zamykanych drzwi. - Dokąd idziesz?

- Wszystko jedno dokąd, ale nie z tobą! - odparła, odchodząc. Wróciła na kamienną ławkę na końcu portu. Drżącą ręką rozdarła chciwie kopertę.

Wewnątrz nie było pieniędzy.

Przynajmniej jeden z członków Klubu Pięćdziesięciu zdobył się na odwagę.

Na kartce luksusowego papieru listowego z emblematem Klubu widniało tylko jedno zdanie: „Idź do diabła!”.